SIECI

PAULINA MATYSIAK:
DZIŚ NIE
ZAGŁOSOWAŁABYM
ZA RZĄDEM
TUSKA

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE
41 (619) 2024
7–13 października 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAROSŁAW
KACZYŃSKI
W EKSKLUZYWNYM
WYWIADZIE DLA „SIECI":

III RP WŁAŚNIE UPADŁA

ZNISZCZYŁ JĄ TUSK.

GDY WRÓCIMY DO WŁADZY,
WPROWADZIMY DUŻE ZMIANY
W PAŃSTWIE – MÓWI NAM
PREZES PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403 41
Numer w sprzedaży do 14 X 2024 r.

d64a508

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY (dawniej UPC)	
52	192	32	825	196	339 dekoder Mediabox	121 dekodery KAON i Horizon

eprasa.pl d64a508a41

To nie jest żaden atak na PiS, to atak na Polskę

Jeżeli ktoś miał jeszcze jakieś złudzenia, że brutalne i bezprawne represje, po które sięgnął Donald Tusk, to po prostu metoda walki politycznej z przeciwnikami, w minionych dniach powinien się z nich ostatecznie wyleczyć. Bo co obecnej władzy zrobiła polska nauka, czym zawinili eksperci, ściągnięci za rządów Prawa i Sprawiedliwości polscy naukowcy z całego świata? Tylko jedno – mieli się zajmować badaniem fundamentalnych dla przyszłości każdej gospodarki spraw związanych ze sztuczną inteligencją. Dlatego ich rozpędzono. Przecież od takich poważnych kwestii są naukowcy na Zachodzie, Polacy mają pogodzić się z rolą ubogich krewnych.

W sprawie sztucznej inteligencji władza coś tam ustąpiła pod wpływem presji społecznej, ale ogólny kierunek jest jasny: Polska hamuje, rezygnuje z ambicji. To szokujące, jak szybko zabito polskie marzenia o taniej energii atomowej, która w przyszłości podtrzyma nasz rozwój gospodarczy, o konkurencji z niemieckimi portami morskimi i lotniczymi, o sieci kolejowej, która oplecie cały kraj, o armii, która da nam polityczne bezpieczeństwo bez nerwowego oglądania się na Berlin knujący z Moskwą.

Wszystko to zostało ścięte i ucięte, zawsze w interesie Niemiec, pod obrzydliwie zakłamanym hasłem „rozliczeń z PiS". Tymczasem gdy spojrzymy na dane dotyczące poziomu życia Polaków, stanu państwa i gospodarki, tzw. pisowcom trzeba by dać odznaczenia i medale, bo podnieśli Polskę w każdej sferze, wydobyli z nędzy i poczucia beznadziei. Skończenie z hańbą III RP, którą były głodne dzieci, to tylko początek listy zasług.

W rzeczywistości to nie są żadne rozliczenia, to nawet nie jest atak na PiS – to jest atak na Polskę. Obecna władza bierze na celownik wszystko to, co budowało lub mogłoby zbudować naszą podmiotowość i siłę. Od patriotycznych elit skupionych i zorganizowanych wokół prezesa Jarosława Kaczyńskiego przez naukowców po inwestycje. Przestępstwem mają być budowa ośrodka pomocy poszkodowanym i wzmacnianie ochotniczych straży pożarnych. Gdy spojrzymy przez ten filtr, wszystkie działania rządzących stają się nie tylko zrozumiałe, lecz także przewidywalne. Nawet niezłe na tle Europy kształcenie podstawowe ma być zniszczone, stąd radykalne cięcie podstaw programowych i pomysły wdrożenia „nauczycieli od wszystkiego", znanych z biednego okresu powojennego.

W obliczu tych zagrożeń konieczna jest jedność i mobilizacja obozu propolskiego. Uważajmy na liderów i środowiska, także na krzykliwe media udające symetryzm, zaczynających dzisiaj rysować wizję nowej i lepszej partii patriotycznej, która mogłaby zastąpić PiS. Nic takiego nie istnieje i nie powstanie. Albo Polacy wspomogą Prawo i Sprawiedliwość, w tym finansowo, albo Tusk je zniszczy i wtedy nie będzie żadnej skutecznej formy organizacyjnej obrońców silnej Polski.

Co ważne, dostajemy kolejne potwierdzenia, że ta władza prześladuje polskich patriotów bezprawnie. Prokurator Krajowy i wszyscy delegowani przez niego nie mają żadnych umocowań prawnych. Tak naprawdę Tusk rządzi jak Kiszczak z Jaruzelskim – policją. Na tym, a nie na konstytucji, opiera się jego władza.

Ta czarna dla polskiej państwowości noc prędzej czy później jednak przeminie. Popełniane dziś przestępstwa zostaną ukarane, prześladowani ludzie doczekają się satysfakcji i zadośćuczynienia. Konieczna będzie także poważna przebudowa państwa, bo dziś nie mamy konstytucji, nie mamy praworządności. Dlatego na koniec polecam rozmowę z prezesem Prawa i Sprawiedliwości Jarosławem Kaczyńskim, którą zamieszczamy na stronach 19–24. Wynika z niej, że taki plan odbudowy Polski po rządach Tuska już powstaje. W morzu złych to bardzo dobra wiadomość.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl d64a508a41

SIECI

spis treści

25 Tanie chwyty premiera
Konrad Kołodziejski

42 Gorszący szantaż
Jan Rokita

54 O krok od wojny
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 DLACZEGO TUSK ZLEKCEWAŻYŁ POWÓDŹ?
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 ALKOCZUBKI
Krzysztof Feusette

9 NALEŻY SIĘ!
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 PRAWO? TYLKO DLA FRAJERÓW
Samuel Pereira

13 JAK SIĘ DOBRZE OBIECA, TO DAWAĆ NIE TRZEBA
Daniel Obajtek

14 WALIZKA STANISŁAWA PYRZANOWSKIEGO
Michał Korsun

16 „ZADANIOWCY" DS. NIEMIECKICH INTERESÓW
Arkadiusz Mularczyk

17 DEDOLARYZACJA?
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 WIDZIANE Z GDYNI
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

25 TANIE CHWYTY PREMIERA
Konrad Kołodziejski

29 PSL NA CELOWNIKU
Piotr Gursztyn

32 Z PAULINĄ MATYSIAK
rozmawia Dorota Łosiewicz

35 OPIŁOWYWANIE NAUKI
Marek Pyza

38 CZUŁY OPIEKUN
Stanisław Janecki

40 CZEGO MOŻE NAS NAUCZYĆ TRAGEDIA JULII?
Goran Andrijanić

OPINIE

42 GORSZĄCY SZANTAŻ
Jan Rokita

45 TO SŁOWA BUDUJĄ CZŁOWIEKA
Jan Polkowski

48 MIT ROZWOJU CZY REGRESU?
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

50 CZY WĘGRY BĘDĄ SIĘ BRONIĆ PRZED ROSJĄ?
Grzegorz Górny

52 PRZECIĄĆ WIĘZI
Aleksandra Rybińska

54 O KROK OD WOJNY
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

57 BOHATER, KTÓRY MOŻE WSZYSTKO
Jolanta Gajda-Zadworna

59 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

60 PATRZCIE NA UMIERANIE
Robert Tekieli

61 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

62 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

64 O POLICJI GRANATOWEJ I DRAMATYCZNYCH REALIACH II WOJNY ŚWIATOWEJ
z dr. Maciejem Korkuciem
rozmawia Stanisław Płużański

PODRÓŻE

67 TU FORTUNA KOŁEM SIĘ TOCZY
Piotr Ostrowski

70 FILMOWE SZLAKI: MICHAŁ DYMEK
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

73 SPORTOWCY I... WIARA
Ryszard Czarnecki

74 PŁASKIE (NIE)PRAWDY
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl d64a508a41

BRONISŁAW WILDSTEIN

Dlaczego Tusk zlekceważył powódź?

Pytał tygodnik „Sieci". Bo go to nie interesowało – odpowiadam.

Lidera PO nie zajmują problemy kraju ani działania w kierunku ich rozwiązania. Pomimo swojej żarłocznej ambicji Tusk nie ma ochoty rządzić. Chce panować. Tzn. pragnie sprawować najwyższe funkcje, napawać się spływającymi z nich splendorami, czerpać korzyści materialne i prestiżowe oraz wszelkie przewagi, jakie daje władza, ale nie ma zamiaru podejmować wysiłków na rzecz interesu Polski i Polaków oraz codziennego trudu stawiania czoła wyzwaniom, przed którymi staje państwo – a tym jest prawdziwe rządzenie.

Postawa lidera PO ma teoretyczną podbudowę, do której wielokrotnie się odwoływał. Płynąc w głównym nurcie, sekunduje przecież coraz mocniejszej integracji UE, czyli odebraniu kompetencji państwom członkowskim, które są coraz mniej państwami w tradycyjnym znaczeniu. Zgodnie z projektem reformy integracyjnej, którą pierwotnie partia Tuska entuzjastycznie poparła, choć on sam już jako premier, jak zwykle wyczuwając zmieniającą się koniunkturę, zaczął nieco kontestować, rządy krajowe sprowadzone zostałyby do organów administracyjnych. Już i dziś gigantyczna liczba regulacji spływających z Brukseli, a ustanawianych zwykle prawem kaduka, redukuje do tej roli władze krajów unijnych. Wyjąwszy naturalnie Niemcy i Francję, bez których zgody żadna dyrektywa nie zostałaby przyjęta. Rządy innych krajów mogą próbować sprzeciwiać się, ale skazuje je to na nierówny konflikt z europejskim układem.

Stosunek liberałów do państwa narodowego jest z zasady dwuznaczny, gdyż kwestionują oni jakąkolwiek mocniejszą wspólnotę, zwłaszcza narodową, której formą jest państwo. Skrajny ich odłam, libertarianie, uznają je po prostu za zło. Inni akceptują pod różnymi warunkami, ale nie przyjmują jego wartości i traktują jako rodzaj kontraktu, jakim, zgodnie z ich ideologią, mają być wszystkie międzyludzkie związki.

Znaczące jest przywoływanie ciągle przez nich totalitarnego zagrożenia, które podobno wpisane ma być w samą naturę państwa, co jest o tyle absurdalne, że był to objaw degeneracji tej idei. Dziś cierpimy na słabość państwa, co powoduje, że nie może ono spełniać swoich funkcji, a demokracja przekształca się w pozór.

Liberałowie nawołują do przekazywania jego kompetencji komu się da pod hasłem „uniezależniania" jego kolejnych segmentów. Jeśli wspólnota pozbawia się prerogatyw, oznacza to, że zaczyna chorować i zostaje podporządkowana dyktatowi silniejszych. Ciągle słyszymy o groźbie „tyranii większości", której nikt nigdy nie widział i we współczesnych warunkach trudno ją sobie wyobrazić w przeciwieństwie do doskonale znanej nam tyranii mniejszości, która była i jest naszym chlebem powszednim.

Demokracja liberalna to dziś oligarchia, czyli rządy nielicznych w swoim interesie. Establishment dba, aby wybierano wyłącznie jego przedstawicieli. Klasyczne ugrupowania zostały przezeń skolonizowane i wyznają lewicowo-liberalną ideologię, a jednocześnie w państwo i struktury międzynarodowe wbudowany został system bezpieczników, które interweniują, jeśli lud wybierze nie tak, jak należy. Władza jest rozproszona, a jej polityczny segment ma ogromne kłopoty z realizacją swojego programu, jeśli nie jest on po myśli oligarchicznego układu. Mogliśmy obserwować to w Polsce w trakcie rządów PiS. Pozostałe centra władzy: wielki biznes, potężne korporacje z prawniczą na czele, ośrodki opiniotwórcze, które wspólnie tworzą oligarchiczną sieć, są w stanie blokować reprezentację większości, zwłaszcza w Europie.

Ten stan rzeczy, w którym rząd raczej reprezentuje dominujące ośrodki, niż rządzi dodatkowo pasuje do charakteru obecnego premiera, który nie lubi się przemęczać. To była jego dystynktywna cecha, jeszcze kiedy pełnił funkcję wicemarszałka Senatu. Jako premier w stolicy spędzał zwykle pół tygodnia, aby po tym męczącym okresie udawać się na rekreację do Sopotu. Podobnie było z jego aktywnością jako przewodniczącego Rady Europejskiej, choć wtedy już nie w Sopocie się rekreował.

Do Polski wrócił, aby rozprawić się z populistami z PiS, tak by nikt już nie zagroził wiecznemu pokojowi liberalnej demokracji, a nie zajmować się powodziami czy innymi przyziemnymi kłopotami. Ma zapobiec politycznemu potopowi, a więc spacyfikować społeczeństwo i uniemożliwić kontestatorom, czyli populistom, przejęcie rządów. Przyzwyczajony jest do uspokajania rodaków i przekonywania ich, że jedynym zagrożeniem jest PiS. Przy okazji zbagatelizuje niejeden problem, a nawet katastrofę, ale nie to jest jego zmartwieniem. FJM (Front Jedności Medialnej) zadba, aby jako sukces pokazać każdą wpadkę premiera. Tusk będzie robił, co do niego należy, przy okazji odgrywając kolejne warianty wyuczonej roli: doglądając wszelakich przedsięwzięć, srożąc się na opieszałych urzędników, budząc optymizm w Polakach i przypominając im, że za każde zło odpowiedzialne jest PiS.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d64a508a41

Sygnalista nadaje

Śmieszy, tumani, przestrasza! Kto? Pan Twardowski z wiersza Mickiewicza? Nie, pan Tusk z kancelarii premiera. On też siada „w końcu stoła", podparty pod boki jak basza, i Czesławowi z PSL, który grał zucha, pokazał, gdzie jego miejsce. Dr Czesław Siekierski – bo o nim mowa – do tej pory myślał, że bycie ministrem rolnictwa sprawia, że człowiek jest kimś ważnym. Zwłaszcza gdy wcześniej było się posłem na Sejm przez cztery kadencje i również przez cztery kadencje eurodeputowanym. Ależ gdzie tam, prawdziwym zaszczytem jest być chłopcem na posyłki u Donalda Tuska. „Czesław, będę bardzo prosił, żebyś teraz pojechał do resortu i sprawę rozstrzygnął. Mam nadzieję, że przed końcem posiedzenia rządu będziemy wiedzieli od ciebie, jak sprawa została rozstrzygnięta" – zakomenderował ostatnio premier, więc Czesław bez słowa wstał, pojechał i chyba coś załatwił, bo jego pryncypał mógł ogłosić wiktorię. Wprawdzie Tusk ostatnio przegrał z bobrami, ale sromotnie rozgromił alkotubki. Widać, że podstawą zwycięstwa jest prawidłowe wskazanie wroga. Bobry były nie do pokonania, bo są lubiane przez wszystkich, a alkotubki popierają tylko pijacy. Jest jeden minister w obecnym rządzie, który mógłby podjąć się ich obrony, ale nie wiadomo, czy był wtedy w kraju.

Sytuacja jest nadzwyczajna – o czym wie każdy Silny Razem i każdy zadeklarowany wyborca Platformy Obywatelskiej, czyli co trzeci mieszkaniec Polski. Pozostałe dwie trzecie tego nie wiedzą, więc stale trzeba im to tłumaczyć. Otóż premier Donald Tusk to mąż stanu zesłany nam przez dobry los – jak niedawno napisał były redaktor naczelny „Trybuny" Janusz Rolicki. I ten mąż opatrznościowy jest urobiony po łokcie podczas przywracania praworządności. Tak bardzo, że jak sam powiedział, jego działania „mogą być nie do końca zgodne z literą prawa". I są tacy, którzy sypią piach w tryby, wkładają kij w szprychy, a nawet leją wodę na młyn. Zdemaskował się w tej roli sędzia Zbigniew Kapiński. Wydał orzeczenie na korzyść nie tego Dariusza, co trzeba. Prawomocny miał być Dariusz Korneluk, a Kapińskiemu wyszło, że Dariusz Barski. A już szczytem bezczelności było, gdy sędzia Kapiński głośno powiedział, że nie wyrazi czynnego żalu. Czy demokracja walcząca może tolerować taką zuchwałość?

Gdyby wzrok ***Włodzimierza Czarzastego*** zabijał, to posłanka ***Paulina Matysiak*** zginęłaby dokładnie w swoje 40. urodziny. Ale Pola przeżyła i może zaśpiewać Włodkowi: „Nigdy więcej nie patrz na mnie takim wzrokiem". A zabójcze spojrzenie to jedyna rzecz, którą Czarzasty mógł zrobić, gdy Lewica wraz z całą koalicją przegrała głosowanie w sprawie odwołania Matysiak z sejmowej komisji infrastruktury. Posłanka z Kutna ocalała dzięki temu, że cały klub PiS wyciągnął karty do głosowania i bezradny marszałek Szymon Hołownia musiał stwierdzić brak kworum. Najciekawsze było to, jak zachowali się partyjni koledzy i koleżanki posłanki, czyli przedstawiciele partii Razem. Trójka z nich, w tym lider Adrian Zandberg, próbowała wbić jej nóż w plecy. A czwórka ją broniła, bo też nie zagłosowała. Wniosek z tego jasny: już wiadomo, kto będzie aplikował o przyjęcie do Platformy, a kto próbował nadal być z Lewicą.

eprasa.pl d64a508a41

Lewica w ogóle nie miała dobrego tygodnia. Wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego ***Maciej Gdula*** otrzymał zadanie przejęcia i wyczyszczenia „pisowskiej przekręciarni" (według określenia polityków koalicji), czyli IDEAS NCBR. Ale okazało się, że „przekręciarnia" to szanowany w całym świecie ośrodek badawczy. Doszło więc do konfrontacji naturalnej głupoty reprezentowanej przez obecny rząd ze sztuczną inteligencją opracowywaną przez IDEAS NCBR. Po spektakularnej porażce rząd musiał się wycofać za pomocą sprawdzonego manewru, czyli „Donald się wściekł" i dobry car znów zrzucił całą odpowiedzialność na swych złych koalicyjnych bojarów.

„Gazeta Wyborcza" przerażona: Zygmunt Solorz nie chce oddać władzy w stworzonych przez siebie firmach. W tle opis demonicznego spisku PiS, który omotał Solorza, przez co telewizja Polsat wali w prawicę nie tak ostro, jak TVN i sama „Wyborcza". A powinna to robić i była na to szansa. Dorosłe już dzieci założyciela stacji zawsze się bowiem wstydziły, że telewizja ich taty nie jest tak fajna, jak wzór wszelkiej fajności, czyli TVN. Ich marzeniem było pogonienie tego całego „wieśniactwa", które ogląda Polsat. Ich tata, chłopak rodem z Radomia, nie ma takich kompleksów i zawsze tłumaczył, że nie warto robić podróbki TVN, gdy istnieje oryginał, a teraz na dodatek pojawił się klon pierwowzoru fajności, czyli przejęta neo-TVP. Jednak Dzieci uparcie chcą być fajne i mają dość tłumaczenia się przed przyjaciółmi z „warszawki". Tata im raz nawet ustąpił i zgodził się na zatrudnienie zwolnionego z TVN Edwarda Miszczaka. Odbiło się to jednak negatywnie na wynikach stacji i to jest całe wytłumaczenie tego rzekomego pisowskiego spisku.

Jeszcze raz o „Gazecie Wyborczej", bo tę sprawę trzeba odnotować. „GW" robi wszystko, aby prezes IPN Karol Nawrocki został prezydentem Polski. Może nie ma takich intencji, ale... Opublikowała artykuł, w którym oskarża go o straszne grzechy w młodości. Jako młody pięściarz boksował się z jakimiś bandziorami. Jako ochroniarz miał mieć szefa zomowca i sprowadzać panienki dla hotelowych gości itp. – same okropieństwa. Czytelnicy zwrócili jednak uwagę na to, kogo „Wyborcza" wytypowała do tropienia tych zbrodni. Otóż to Piotr Głuchowski, postać na swój sposób legendarna. „Lansował coś, co sam nazywał »obiektywnym zmyśleniem«. To taka sytuacja, która co prawda nie miała miejsca, ale mogłaby mieć" – opisał metody pracy „dziennikarskiej" Głuchowskiego jeden z branżowych periodyków. Mówiąc prościej: obiektywne zmyślenie równa się mitomania. Wygląda więc na to, że Nawrocki może liczyć na dużą życzliwość ze strony Agory, bo teraz trudno będzie uwierzyć, żeby pisali o nim coś innego niż „obiektywne zmyślenia".

Trochę szumu zrobiło się wokół najsłynniejszego sejmowego małżeństwa, czyli Kingi Gajewskiej i Arkadiusza Myrchy. Zostali skrytykowani za to, że biorą dwie dopłaty na wynajęcie mieszkania, mimo że oboje mieszkają w jednym lokalu. Nikt inny w Sejmie tak nie robi, ale bądźmy uczciwi – obok krytyków są też obrońcy. Klubowa koleżanka, ministerka zdrowia Izabela Leszczyna wytłumaczyła, że nic złego się nie dzieje, bo oboje posłowie żyją w bardzo ciężkich warunkach i zasłużyli na przywileje: „Państwo Myrchowie mają troje dzieci. Pan Myrcha jest wiceministrem, więc jest od rana do wieczora w pracy. Pani Kinga jest posłanką. Bardzo, bardzo aktywną". My z naszej strony radzimy państwu poselstwu, aby uzbroili się w cierpliwość. Na szczęście nie są politykami PiS, więc media nie będą ciągnęły tego tematu, zatem krytyka nie będzie ostra i szybko zostanie wyciszona.

Zbliża się rocznica wyborów, czyli prawdopodobny moment, w którym dobry car Donald wymieni najbardziej zużytych bojarów na mniej wyeksploatowanych. Wśród typowanych do wymiany najwięcej jest osób płci żeńskiej. Wymienia się tu bojarynię Leszczynę, Henning-Kloskę i ulubienicę twórców memów w polskim internecie, czyli wiceministerkę Zielińską. Do tego grona trzeba też dołączyć ministerkę edukacji. Barbara Nowacka musi być już bardzo słaba, skoro na wbicie noża pozwolił sobie jej wiceminister, i to koalicjant. Henryk Kiepura, kompletnie do tej pory nieznany reprezentant PSL, zakomunikował, że jego Stronnictwo nie poprze sztandarowego pomysłu pani minister, czyli ograniczenia nauki religii. O pomyśle było wiadomo od dawna, ale ludowcy milczeli. Można to wytłumaczyć tylko tym, że znają chińskie przysłowie: „Usiądź na brzegu rzeki i poczekaj, aż trupy twoich wrogów spłyną z jej prądem".

Janusz P. zatrzymany przez CBA. Zdarzenie bez znaczenia. Poza propagandowym, bo władza będzie mogła się na to powoływać, twierdząc, że ściga nie tylko pisowców. Ale trzeba tu dodać, że to wina samego ***Janusza P.*** Gdyby pamiętał słynne słowa Sławomira Neumanna, to nie spadłby mu włos z głowy: „Pamiętaj: jedna zasada jest dla mnie święta, k...a. Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a, jak niepodległości". A nie sposób przecież bronić człowieka, który ją opuścił i założył swój własny Ruch.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl d64a508a41

Alkoczubki

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Zebrałem was tutaj, aby...
Kosiniak-Kamysz: Wiemy, wiemy, wojsko jest przygotowane...
Tusk: Do czego?
Kosiniak-Kamysz: Do powodzi.
Tusk: Chrzanić powódź! Zresztą prognozy nie są alarmujące...
Siemoniak: Jezus Maria! A ja okno w piwnicy otwarte zostawiłem!
Tusk: I co?
Siemoniak: Ja tam plany operacyjne. Linię na Wiśle i wszystko. Czy Wisła wyjdzie?
Tusk: Zaraz ja wyjdę z siebie! Tłumaczę wam, że powodzi już nie będzie!
Kosiniak-Kamysz: Ostatni raz jak pan premier tak mówił, to się wały przerwały...
Tusk: Wyrwane z kontekstu.
Siekierski: Prawdopodobnie bobry wyrwały.
Tusk: A wy, kolego, co tu jeszcze robicie? Biegnijcie, działajcie, zróbcie coś!
Siekierski: Ale z czym?
Tusk: Telewizji nie oglądacie? Od rana o tym trąbią, tak jak prosiłem, a wy nic? Zostaliśmy zaatakowani!
Siemoniak: Przez bobry? K...a, wiedziałem!
Tusk: Jakie bobry? Dużo gorzej! Wróg jest podstępny i musimy działać błyskawicznie.
Hołownia: Kim jest wróg? Ja go od razu wcisnę w glebę.
Tusk: Alkotubki.
Siemoniak: Skąd oni są?
Tusk: One. To są saszetki z alkoholem!
Kierwiński: O, szepraszam, że się zapytam, a szy po nich jest pogłos? Bo ja mam niedługo spotkanie ze straszakami...
Tusk: Ty nie miałeś kraju odbudowywać?
Kierwiński: Miałem. Ale suuużba i poświęsenie kazały mi...
Tusk: Odsuń się trochę, bo autem będę jechał. Filmik muszę nagrać, że pokonamy to zło.
Hołownia: Ale jak to – alkohol w saszetkach? Przecież to się może z musem dla dzieci pomylić!
Kierwiński: Szerażające...
Tusk: O to chodzi! Saszetki są kolorowe!
Hołownia: Przecież ja bym to mógł dziecku kupić!
Siemoniak: Gdzie? Na monopolowym?
Hołownia: A skąd wiadomo, że oni tego oprócz soczków dla bobasów nie wyłożą?
Kierwiński: Szeba zakasać...
Tusk: Tak jest, zakasać rękawy i do roboty! Minister Siekierski poleci teraz sprawdzić, czy gdzieś w okolicy można to dostać, a my opracujemy plan dla mediów.
Siekierski: To ile wziąć?
Tusk: Ani jednej! Przecież jak ludzie zobaczą...
Kierwiński: A ja poproszę. Jakie są smaki?
Tusk: Uspokój się. Już wiem, czemu tylko raz cię na putinówkę zabrałem. Pardon, pokazówkę, sorry, sztab kryzysowy...
Siemoniak: A co my mamy robić?
Tusk: Wyślesz policję, skujecie producenta i oddacie bodnarowcom. Chyba że się wycofa.
Kierwiński: Ale jak? On to nielegalnie sprzedaje?
Tusk: Jeszcze by tego brakowało. Legalnie, ale mamy obecnie, przypominam, demokrację walczącą, więc to my ustalamy, co jest legalne, a co nie!
Hołownia: Właśnie, a to prawda, nasz prokurator krajowy jest nielegalny?
Tusk: A powiedziałem coś takiego?
Hołownia: No nie, ale Sąd Najwyższy...
Tusk: Najwyższy to jest Roman, a on nie uznaje ani Najwyższego, ani sądu, ani Trybunału Konstytucyjnego. I mogą go w zad pocałować, gdyż, no, kto podpowie? Może kolega Kierwiński?
Kierwiński: Gdyż... jest koniem?
Tusk: Nie. Gdyż jest szefem zespołu do spraw Norymbergi dla opozycji.
Kierwiński: A so się stanie, jak już wygramy? Mosze ja bym te tubki zuli... żuli... zutylizował z kolegą prawnukiem? Do rana ani pół saszetki nie zostanie.
Tusk: Sprawdzisz się na odcinku odbudowy, to niejedną sobie kupisz.
Kosiniak-Kamysz: Niby jak, skoro wycofamy?
Tusk: W Anglii są. No, ale tam ludzie potrafią czytać etykietki. A u nas? O proszę, nawet pan marszałek na monopolowym coś dla dziecka kupuje...
Hołownia: Ja? Nigdy w życiu!
Siemoniak: Przecież mówił pan marszałek, że alkohol mógłby maleństwu kupić.
Hołownia: Przez pomyłkę! Gdyby to między słodycze kładli!
Kierwiński: Właśnie tego szeba zakazać! Znajomy kiedyś sok herbapolu przez pomyłkę kupił i szlag go trafił!
Kosiniak-Kamysz: Na miejscu?
Kierwiński: Nie, na wynos.
Tusk: Zakażemy tego całkowicie. Nie po to, żeśmy taką zadymę rozpętali, żeby teraz się zawahać. Kto jest za całkowitym zakazem? Wszyscy za? Widzę jeden wstrzymujący...
Kierwiński: Musiałem wstrzymać, bo mnie się siku chce...
Hołownia: Morderca dzieci!
Tusk: O co chodzi?
Kierwiński: Bo ja się boję, że teraz saszetki, a później, jak panu premierowi wrogów zabraknie, to się za szklane weźmie.
Tusk: Czy ty jesteś totalnie nieprzytomny? W demokracji walczącej walczysz z tym, kogo możesz pokonać!
Hołownia: Czyli co? Możemy ogłosić pierwszy sukces koalicji?
Tusk: Najpierw mój filmik.
Siemoniak: Ma już pan premier przygotowany tekst?
Tusk: Oczywiście. „Saszetkowym skrytożercom mówimy nie!".
Kosiniak-Kamysz: To nie przejdzie...
Tusk: O, bardzo dobre. To nie przejdzie! Jak to mówią: no pasran...
Kierwiński: Nie, nie, tylko siku...

eprasa.pl d64a508a41

Należy się!

W kampanii PO zapowiadała apolitycznych fachowców. Tymczasem właśnie odbył się partyjny desant na Totalizator Sportowy

W kampanii wyborczej posłanka PO Kinga Gajewska, prywatnie żona wiceministra sprawiedliwości Arkadiusza Myrchy, krzyczała, że rząd Zjednoczonej Prawicy to PiS-ancjum z powodu liczby ministrów. Gdy okazało się, że obecny rząd jest znacznie większy od tego krytykowanego przez panią poseł, filmik zniknął z konta posłanki. Teraz okazało się, że małżeństwo polityków ma swoje prywatne PO-zancjum, bowiem pobierają z kancelarii Sejmu ryczałt na opłacenie mieszkania w stolicy. Każde z osobna wykorzystuje swój limit, czyli z pieniędzy podatników wspólnie dostają 7750 zł. Nie jest to nielegalne, bo parlamentarzystom, którzy nie mieszkają w Warszawie, przysługują pieniądze na wynajęcie mieszkania w stolicy. Pytanie tylko, czy przyzwoite, skoro pieniądze biorą oboje, a wynajmują raczej jedno mieszkanie. Pani Gajewska tłumaczyła, że i tak muszą dopłacać do wynajmu. Co więcej, para wcale nie ma daleko do pracy, ponieważ posiada dom pod Warszawą, więc dojazd nie byłby problemem. No, ale skoro się należy, to trzeba brać!

Rządowi Tuska należą się też porządne samochody. I właśnie rozstrzygnięto przetarg na limuzyny. Samochody audi z segmentu premium okazały się najkorzystniejszą ofertą – poinformowała „Rzeczpospolita". Audi A6, opisywane przez producenta jako wyznacznik „luksusu z każdej perspektywy", w wersji z napędem benzynowym na cztery koła, o wartości ok. 300 tys. zł każdy, zasiliły już parki samochodowe Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej oraz Ministerstwa Edukacji Narodowej. Przetarg na „długoterminowy najem samochodów na okres 24 miesięcy dla jednostek administracji państwowej" objął łącznie 77 pojazdów, które mają trafić do 24 instytucji, w tym Głównego Urzędu Statystycznego czy Urzędu Patentowego. Jednak ci, którzy oburzali się na zakup samochodów przez rząd Zjednoczonej Prawicy, dziś już nie widzą w tym nic zdrożnego.

„Rządzący chapią garściami, kupują fury, skóry i komóry" – grzmiał Tomasz Trela z Lewicy, gdy w pandemii PiS zmieniało rządową flotę. Zapytany o nowe samochody w Polsat News poseł Trela odparł: „Wie pan, ja pamiętam też, co było za czasów PiS. Oni też kupowali, ale jakoś nie rozdzierałem szat". Jednak Marcin Fijołek dobrze się przygotował do rozmowy i odparł: „Rozdzierał pan, to jest z pana cytat: »PiS chapie garściami. Rządzą to kupują: fury, skóry, komóry«". Okazało się, że teraz samochody po prostu im się należą: „Wychodzę z takiego założenia, że jeśli te samochody mają służyć tym, którzy reprezentują nasz kraj na zewnątrz, to dziwne by było, gdyby przyjechał tutaj poważny ambasador, poważny premier, a nasz minister wysiadłby z trabanta, który ma 40 lat, to brzmi bardzo niepoważnie". No wiadomo, byłby obciach. Z trabanta mógłby wysiąść co najwyżej Jarosław Kaczyński.

W kampanii PO zapowiadała też apolitycznych fachowców. „W spółkach z udziałem skarbu państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje a nie znajomości rodzinne i partyjne" – brzmiał tzw. konkret nr 68 Platformy. Tymczasem onet.pl opisał właśnie partyjny desant na Totalizator Sportowy. „Lokalni działacze PO, PSL i Lewicy, bliscy współpracownicy czołowych parlamentarzystów koalicji rządzącej, a nawet boiskowy kolega Donalda Tuska – tak wygląda lista beneficjentów najnowszych zmian w Totalizatorze Sportowym. Należąca w pełni do skarbu państwa spółka przeprowadziła w ostatnich miesiącach kadrową rewolucję, wyrzucając wszystkich regionalnych dyrektorów, a w ich miejsce powołując osoby z jasnymi politycznymi powiązaniami" – informuje portal. I to oczywiście nie pierwsza tego typu historia w tej kadencji. Podczas gdy Ministerstwo Aktywów Państwowych sprawę wyjaśnia, Dariusz Wieczorek, minister nauki, oznajmił w Radiu ZET, że partyjna legitymacja nie może eliminować z prawa do zajmowania takich stanowisk. Wiadomo! Z partyjną legitymacją to się nawet należy!

Dorota Łosiewicz

Szatan eksplodował

Rosja

Na kosmodromie w Plesiecku eksplodowała najnowsza rosyjska rakieta międzykontynentalna RS-28 Sarmat 2, znana na Zachodzie pod kryptonimem Satan 2. Stawia to pod znakiem zapytania zdolność Rosji do opracowania nowej broni.

Powstanie nowej rakiety zapowiedział Władimir Putin w 2018 r. „Cudowna broń" miała mieć imponujące parametry. Pojedynczy pocisk lecący z prędkością ponad 8 tys. km/h mógł przenieść 10 t ładunku – do 15 głowic nuklearnych – na odległość 18 tys. km. Dzięki tak znaczącemu zasięgowi rakiety mogły nadlecieć nad Amerykę nie tylko od strony bieguna północnego, lecz także z południa, gdzie Stany Zjednoczone nie mają skutecznego systemu obrony przeciwrakietowej. Dawało to Rosji przewagę w ewentualnej wojnie nuklearnej z Ameryką.

Szatan 2 został opracowany przez biuro konstrukcyjne im. Makiejewa. Miał zastąpić używany jeszcze od czasów sowieckich międzykontynentalny pocisk RS-36M Wojewoda (w kodzie NATO nazwany Satan 1). Putin przedstawiał nową rakietę jako najpotężniejszą broń w swoim arsenale. Miał to być „pocisk niszczący cały świat", „unikalna" rakieta niemająca żadnych „analogów". Broń atomowa była nawet parę lat temu święcona przez prawosławnych kapłanów. Jak się jednak szybko okazało, święcenie diabelskich rakiet przynosi skutki odwrotne od zamierzonych.

Szatan – pomimo szumnych zapowiedzi Putina – nie wszedł do służby na początku tej dekady. Rakietę trapiły nieustanne usterki i awarie. Z pięciu przeprowadzonych dotąd testów pocisku tylko jeden był udany. Piąta próba, do której doszło w połowie września, skończyła się spektakularną katastrofą. Ze zdjęć satelitarnych kosmodromu w Plesiecku na północy Rosji, gdzie odbywały się testy, wynika, że pocisk eksplodował na wyrzutni lub wkrótce po starcie.

Zniszczenia wywołane wybuchem są ogromne. Stanowisko startowe przestało istnieć, fala uderzeniowa zmiotła wszystkie budynki wokół wyrzutni, zaś w jej miejscu utworzył się głęboki krater. Eksperci przypuszczają, że najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofy była eksplozja paliwa zasilającego rakietę. To paliwo płynne, którego składniki po zetknięciu się ze sobą stają się silnie wybuchowe.

Moskwa nie przyznaje się do porażki i nie komentuje doniesień o eksplozji Szatana. Nic dziwnego, skoro katastrofa stawia pod znakiem zapytania obecną zdolność Rosji do opracowania i sprawnego wdrożenia do służby nowych pocisków międzykontynentalnych. Stanowi to nie tylko problem wizerunkowy, lecz także militarny. Szatan miał być przecież podstawową bronią strategicznych sił nuklearnych Rosji i jej głównym argumentem w walce z Ameryką.

Konrad Kołodziejski

Piraci za burtą

Czechy

W Czechach odbyły się wybory samorządowe połączone z wyborami do jednej trzeciej izby Senatu. Największymi przegranymi obu elekcji okazała się Partia Piratów, która nie zdobyła ani jednego mandatu senatorskiego, zaś w radach regionów uzyskała zaledwie 3 miejsca, choć wcześniej miała ich aż 91. Parę dni później premier Petr Fiala zdymisjonował ministra rozwoju lokalnego i cyfryzacji Ivana Bartoša [na zdj.], notabene przewodniczącego Partii Piratów.

Powodem nie była bynajmniej klęska wyborcza ugrupowania, lecz nieudolność szefa resortu. Bartoš był odpowiedzialny za cyfryzację pozwoleń na budowę, co miało przyspieszyć i uprościć proces wydawania dokumentów. Projekt miał być gotowy już w lipcu, lecz do dziś nie został uruchomiony. Spowodowało to wstrzymanie wydawania pozwoleń w całym kraju i olbrzymie niezadowolenie społeczne. Bartoš nie widział w tym jednak żadnego problemu, a nawet po przegranych wyborach wysunął w imieniu swojej formacji nowe żądanie: całkowitej legalizacji marihuany. W tej sytuacji premier nie miał innego wyjścia, jak zdymisjonować zadowolonego z siebie ministra.

W odpowiedzi urażeni piraci ogłosili wyjście z gabinetu Fiali i z koalicji rządowej. Ta ostatnia nie jest jednak zagrożona, ponieważ nadal dysponuje większością parlamentarną. Do tej pory posiadała 108 posłów w 200-osobowej Izbie Poselskiej, teraz będzie dysponować 104 mandatami, ponieważ piraci mają tam tylko czterech przedstawicieli.

Ugrupowanie Ivana Bartoša padło ofiarą własnej formuły. Partie programowych buntowników i anarchistów zazwyczaj źle wychodzą na rządzeniu. Są skuteczne w kontestowaniu istniejącego porządku, ale po dojściu do władzy demonstrują brak przygotowania i nieudolność. Tym samym tracą zaufanie i poparcie antysystemowego elektoratu. Przechodząc znów do opozycji, piraci mają więc nadzieję na poprawę wizerunku, który zepsuli, wchodząc do koalicji. Tylko czy wyborcy po raz drugi dadzą się nabrać na tę samą sztuczkę?

Grzegorz Górny

Fot. bitvcapture/Shutterstock.com, Shutterstock x2

eprasa.pl d64a508a41

Rewolucja pożera własne dzieci

Rich Lowry, redaktor naczelny magazynu „National Review", został oskarżony o użycie rasistowskiej obelgi podczas występu w programie Megyn Kelly Show. Wypowiedziane przez niego słowo „immigrants" w odniesieniu do napływających do USA Haitańczyków wybrzmiało na tyle niewyraźnie, by skojarzyć je ze słowem „nigger" („czarnuch"). A w dobie politycznej poprawności „słowo na n" jest niedopuszczalne jako rasistowskie.

Na Lowry'ego natychmiast spadły gromy oburzenia, odwołano jego wystąpienie na Uniwersytecie Stanowym Indiany, a dyrektor Badger Institute, prawicowego think tanku w Wisconsin, usunął go z listy współpracowników. „Tchórzostwo jest zaraźliwe" – grzmiał Lowry, komentując jego decyzję.

Ale nie jest to aż tak czarno-biała sytuacja, w której konserwatywny dziennikarz stał się ofiarą nietolerancji lewicy. Wymowna jest reakcja Paula Gottfrieda z „Chronicles", magazynu założonego w latach 80. przez Leopolda Tyrmanda i wyrażającego opinie tzw. starej prawicy. Choć przyznał on, że oskarżenia są bzdurne, to zupełnie nie współczuje Lowry'emu, tak samo jak nie współczułby gangsterowi, któremu skradziono pieniądze. Przypomniał, że to obecny naczelny „NR" i jego środowisko od dekad ograniczało pole otwartej dyskusji na prawicy. Jak również to, że 12 lat temu Lowry wyrzucił z pracy felietonistę niesłusznie oskarżonego o rasizm, a podczas fali ataków BLM na historyczne pomniki przyłączył się do zwolenników usuwania pamięci o konfederackim gen. Robercie E. Lee.

Pobrzmiewają tu echa ostrych sporów politycznych, które są tłem porażki neokonserwatystów i przyczyną pojawienia się Donalda Trumpa. Na początku lat 90. wydawca „NR" Bill Buckley wyrzucił z pisma Joe Sobrana, którego neokonserwatyści oskarżyli o antysemityzm. Był bowiem zbyt krytyczny wobec Izraela i opowiedział się przeciw wojnie z Irakiem. To Buckley przeprowadził wtedy na amerykańskiej prawicy ideologiczną czystkę eliminującą z niej „elementy antysemickie". Neokonserwatyści przeszli wcześniej z obozu liberalnego do republikańskiego jako dobrze zorganizowana kadra trockistowskich i marksistowskich rewizjonistów. Podtrzymując idee państwa dobrobytu i kulturowego modernizmu, przyjęli jedynie szyld konserwatyzmu do realizacji swoich celów. Zaczęli odgrywać ważną rolę podczas prezydentury Reagana i Busha, aby pod bokiem Busha juniora stać się kreatorami interwencjonistycznej polityki zagranicznej, eksportu demokracji i globalnego wolnego rynku, który doprowadził do deindustrializacji Zachodu i wzrostu chińskiej potęgi. Dziś Ameryka płaci za ich politykę wysoką cenę.

Fot. paulobalberto82/Shutterstock.com

Maciej Walaszczyk

USA

Gruzja

Pokusa zjednoczenia

Bidzina Iwaniszwili, założyciel ugrupowania Gruzińskie Marzenie, które rządzi krajem od 2012 r., zapowiedział, że jeśli w zbliżających się wyborach jego formacja uzyska konstytucyjną większość, to wówczas zmieni ustawę zasadniczą i przekształci kraj w federację na wzór Szwajcarii.

Jednocześnie ten oligarcha, uchodzący za faktycznie sprawującego rządy w Gruzji, zszokował opinię publiczną wezwaniem, aby Tbilisi przeprosiło secesjonistyczną Osetię Południową i zapowiedział proces byłego prezydenta Saakaszwilego, któremu chce postawić zarzut zdrady narodowej.

Wybory parlamentarne odbędą się w Gruzji 26 października, według ostatnich sondaży Gruzińskie Marzenie ma 32 proc. poparcia, podczas gdy główna siła opozycyjna – Ruch Narodowy – może liczyć na 20 proc. Obserwatorzy spodziewają się zarówno używania przez rządzących „resursu administracyjnego", czyli wpływania na pracowników sektora budżetowego, aby ci głosowali na obóz władzy, jak i licznych, nieprawidłowości, zwłaszcza na prowincji. Mimo że 85 proc. ankietowanych nie podziela opinii Iwaniszwilego, że winę za wywołanie wojny w 2008 r. ponosi Saakaszwili, to narracja na temat możliwości zjednoczenia Gruzji z separatystycznymi „republikami" Abchazji i Osetii Południowej może zapewnić głosy wyborców. Kandydujący z list Gruzińskiego Marzenia Guram Maczaraszwili wezwał Moskwę, aby ta „w geście dobrej woli" wycofała swoje wojska z Osetii Południowej. Kreml zapewne nie zdecyduje się na to, ale Moskwa wyraziła gotowość „pośredniczenia" w rozmowach ze zbuntowaną Abchazją.

Deklaracje Iwaniszwilego mają zapewne przekonać opinię publiczną, że jedynie władza prorosyjskiego i mającego coraz gorszą reputację w Europie Gruzińskiego Marzenia daje cień szansy na zjednoczenie kraju rozbitego od początku lat 90. Tym bardziej że dotychczasowa strategia wyborcza, w świetle której rządzący Gruzją obóz polityczny jest jedyną siłą gwarantującą pokój z Rosją, zdaje się już nie działać. W jednym z ostatnich sondaży 71 proc. badanych stwierdziło, że „czas dać szansę innej partii" na rządzenie krajem. Zagranie kartą zjednoczeniową może więc być ostatnim atutem Gruzińskiego Marzenia. Ewentualny sukces wyborczy tej formacji i dalszy dryf Gruzji w stronę Rosji zależy od postawy Kremla, który w najbliższym czasie musi zdecydować, czy przyjmie narrację zjednoczeniową Tbilisi.

Marek Budzisz

eprasa.pl d64a508a41

Prawo? Tylko dla frajerów

Samuel Pereira

Witajcie w Polsce, gdzie każdy, kto złamie prawo, zostanie ukarany. No, prawie każdy. Bo jeśli zrobi to premier, minister albo prokurator generalny, to nic im się nie stanie. Dlaczego? Bo to oni trzymają w rękach policję, wojsko i służby. Proste, prawda? Możemy się oburzać, odwoływać, twierdzić, że sędzia był ustawiony – to niczego nie zmieni. Złamiemy prawo, zapłacimy. Oni? Śpią spokojnie. Najlepszy przykład? Prokurator generalny Adam Bodnar. Sąd Najwyższy stwierdził, że nie miał prawa odsunąć prokuratora krajowego Dariusza Barskiego. Co zrobił Bodnar? Zignorował wyrok. Bez konsekwencji, bez wstydu. „Genialne" – można by rzec, bo przecież czemu przejmować się wyrokami sądów, skoro można je po prostu olać?

I tak właśnie wygląda dzisiejsza Polska. W teorii mamy sądy, trybunały, instytucje, które powinny kontrolować władzę. W praktyce rządzący ich nie uznają. Prawo jest dla nas, obywateli. Dla władzy? Raczej nie. Monteskiusz przewraca się w grobie wraz ze swoim trójpodziałem władzy. W uśmiechniętej Polsce władza wykonawcza robi, co chce, poza jakąkolwiek kontrolą, a sądy mogą sobie wydawać wyroki, które rządzących nie interesują. To, co kiedyś było fundamentem demokracji, czyli kontrola i równowaga, teraz staje się pustym zapisem. Mamy sytuację, w której władza robi, co chce, a niezależne instytucje są traktowane jak dekoracja. Ale spójrzmy na to pozytywnie – w końcu jeśli ktoś już musi złamać prawo, niech to będzie ktoś, kto ma pod kontrolą policję, prawda? Bo kto by chciał mieć problem ze swoimi służbami?

A teraz poważnie. Takie podejście do prawa grozi upadkiem demokracji. Bo jeśli władza nie ponosi odpowiedzialności, to jak daleko sięgnie jej bezkarność? Obywatele tracą narzędzia kontroli, a demokracja zamienia się w fasadę. Może dziś jeszcze się z tego śmiejemy, ale za chwilę obudzimy się w kraju, gdzie rządzący mają absolutną władzę, a my – zero praw. Z każdym dniem okazuje się, że z tą „uśmiechniętą Polską" to nie o uśmiech obywateli chodziło, bo tak naprawdę to oni się z nas śmieją.

PRL i złoty mercedes

Z aktorem Tomaszem Kotem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W jaki sposób oliwa pomaga w zbudowaniu ekranowej postaci?

Tomasz Kot: Można to ocenić, oglądając najnowszy film Xawerego Żuławskiego.

Płk Sikorski to postać fikcyjna, sklejona z cech i zachowań różnych oficerów, których spotykał na swojej drodze bokserski mistrz kochany przez ludowe masy. Gdzie w tym oliwa?

Reżyser stopował mnie na planie, rzucając to jedno słowo. Wcześniej ustaliliśmy, że muszę odebrać płk. Sikorskiemu swoją nadekspresję. Grając go, miałem sobie wyobrażać, że jest oblany oliwą spowalniającą reakcje, gesty, mimikę. Jeśli o tym zapominałem, wystarczyło hasło „oliwa".

Co aktor, który wcielał się m.in. w Ryśka Riedla czy prof. Religę, sądzi o filmowym Jerzym Kuleju?

Imponujące było to, jak Tomasz Włosok przygotował się do tej roli. Fizyczną gotowość – efekt mnóstwa treningów – było widać na każdym kroku. Miał to w ciele, w każdym mikroruchu i skutecznym ciosie na ringu.

„Kulej. Dwie strony medalu" to kolejna pańska ekranowa wędrówka w przeszłość. Jak się ma do tych wcześniejszych?

To przedziwne uczucie, bo jak grałem np. u Matuszyńskiego w „Żeby nie było śladów", spędzałem czas głównie w PKiN, którego mury same z siebie krzyczą PRL-em. Ważne, że PRL był tam bardzo prawdziwie przywołany, bo pojawiło się parę filmów, w których tamte lata stały się cukierkową cepelią. Nie pamiętam, żeby było wtedy kolorowo. Raczej jako dzieciaki wszyscy mieliśmy jednakowe, granatowe tenisówki... Tym bardziej kiedy na planie „Kuleja..." trafiłem na stadion Gwardii i poczułem ten charakterystyczny zapach, pomyślałem: „Super, że w realiach to jest takie siermiężne". Od takiego tła jeszcze mocniej odbijał się złoty mercedes Kuleja; z perspektywy PRL człowieka niebezpiecznego. Musiał się więc obok niego pojawić ktoś taki jak Sikorski.

Emocjonował się pan podczas przywoływanych w filmie słynnych bokserskich pojedynków?

Oglądając je, miałem ten sam komfort, co przy „Zimnej wojnie", przy której – owszem – musiałem się nauczyć dyrygować, ale to nie było to, co w przygotowania się do roli Zuli musiała włożyć Asia Kulig, miesiącami pracując z Mazowszem. Tu miałem podobnie, obserwując, jak Tomek Włosok wchodzi na ring z całą ekipą, z którą od pół roku ćwiczy i po prostu jest bokserem, jest Kulejem.

Fot. 49. FPFF w Gdyni

Jak się dobrze obieca, to dawać nie trzeba

„Prognozy nie są przesadnie alarmujące" – uspokajał premier 13 września. Już dwa dni później dewastująca powódź przetoczyła się przez południowy zachód kraju. Skala zniszczeń przeraża. Skala chaosu, niefrasobliwości, głupoty i charakterystycznego dla koalicji 13 grudnia niedasizmu również.

Przez kilka kolejnych dni mogliśmy na żywo śledzić spektakle sztabów kryzysowych, na których Tusk grzmiał, że trzeba, że nie wolno, że koniecznie, że natychmiast. Nie wynikało z tego nic poza upokorzeniem i zastraszeniem uczestników, którzy zastygali w urzędniczym osłupieniu i na wszelki wypadek tworzyli notatki oraz dokumenty chroniące ich stołki, zamiast chronić Polaków przez żywiołem.

Nie działało nic.

Nie było łączności, wobec tego miejscowi włodarze i mieszkańcy dowiedzieli się o przerwanej tamie z mediów albo wyglądając przez okno. Oczywiste jest, że bez ostrzeżenia nie zdołali uratować niczego.

Nie było koordynacji – Tauron zrzucił wodę ze zbiornika, ale nie poinformował Wód Polskich. A może i poinformował, ale e-mailem, czy tam pismem, a powinien zadzwonić (chociaż telefony podobno nie działały). A może wcale nie zrzucił, tylko sama się przelała – kto to wie?

Nie było zarządzania – wielu chętnych i gotowych do pracy ludzi (w tym strażaków ochotników i żołnierzy WOT) nie wiedziało, co robić, a nawet jak sobie sami zorganizowali zajęcie, to nie dostali podstawowego sprzętu – worków, łopat, piasku, rękawów przeciwpowodziowych, niczego. Nie było planu, więc ewakuację zarządzano w chaosie, na ostatnią chwilę, ciężko chore dzieci przewożąc w kajakach, a niepełnosprawnych na quadach.

Były za to usłużne media i premier z groźną miną brodzący po zalanych ulicach w otoczeniu speców od PR.

Fot. Archiwum autora

Ludzie tracą życie i swój dobytek, Tusk jak zawsze robi PR, Wody Polskie zdalnie walczą z żywiołem, nikt nie wie, co robić, zbiornik pęka, choć premier mu zakazał, a Ursula von der Leyen obiecuje gruszki na wierzbie

Fala powodziowa w końcu przeszła, zostawiając za sobą zdemolowane miasteczka i wsie. Odbudowa potrwa lata i będzie kosztować majątek. Henning-Kloska zaproponowała 200 mln zł niskooprocentowanych pożyczek, a premier zapowiedział 2 mld zł.

Dwa.

2 mld na odbudowę całych gmin i powiatów.

Na zniszczone drogi, mosty, oczyszczalnie ścieków, szkoły, szpitale, infrastrukturę kolejową, osiedla mieszkaniowe i wszystko inne – po nieprzesadnie alarmujących prognozach premiera w tej części Polski nie został przecież kamień na kamieniu. Spece od PR szepnęli szefowi rządu, że nie bardzo i trzeba wymyślić coś innego, bo te 2 mld wyglądają śmiesznie przy tarczach ochronnych, które sprawnie i szybko montował PiS.

Wtedy na pomoc ruszyła Ursula. Przewodnicząca KE z pompą przybyła do Wrocławia i w świetle przyjaznych (rzecz jasna) kamer ogłosiła niezwłoczne uelastycznienie krajom dotkniętym przez powódź 10 mld euro (z czego 5 mld dla Polski) z unijnego funduszu spójności. Media rządowe i Tuskowi klakierzy wybuchli szaleńczym entuzjazmem. Jaka ta Unia wspaniała, jaka cudowna Ursula, jaki skuteczny Tusk, co go nikt nie ogra w UE. Możemy sobie przesunąć 5 mld euro!

Nieliczni od razu zrozumieli, jaki to epicki kapiszon, mądrzejsi spokojnie wytłumaczyli większości medialnych klakierów, o co chodzi. I po niecałej dobie nad deklaracją szefowej komisji zapadło kłopotliwe milczenie.

Co ogłosiła Ursula we Wrocławiu? Otóż to, że pieniądze, które już dawno otrzymaliśmy na rozwój dróg i innej infrastruktury, możemy wydać na odbudowę innych dróg i innej infrastruktury. Te zaplanowane nie powstaną, ale nasza strata – mieliśmy powódź.

Rzeczywiście sukces!

Daniel Obajtek

eprasa.pl d64a508a41

Walizka Stanisława Pyrzanowskiego

reportera telewizji wPolsce24

Podróże i przygody – adrenalina to coś, co mnie nakręca. Dlatego wybrałem zawód dziennikarza. Bycie w centrum wydarzeń, relacjonowanie z pierwszej ręki, bez kompromisów i bez zniekształcania czy upiększania rzeczywistości – to daje mi praca w redakcji wPolsce24. Po pracy, gdy trzeba zejść z obrotów, wyciszyć się, jadę w teren. Off-road, Bieszczady, Rumunia to nie tylko dobra zabawa, ale przede wszystkim przyjaciele, na których zawsze można liczyć. Podczas ostatniej powodzi grupa Adveture4x4, do której należę, zorganizowała trzy busy darów dla powodzian. Następnie cztery terenówki z grupy pojechały je rozwozić po zalanych miejscowościach.

ZEGAREK

W terenie poczucie czasu jest niezbędne. Trzeba wiedzieć, kiedy się ściemnia, ile czasu idziemy, kiedy dojdziemy do schroniska lub miejsca bytowania.

„UCHO”

Słuchawka lub wężyk. Podstawowe narzędzie pracy reportera lajfującego. Po „uchu” mam kontakt z bazą – dostaję instrukcje z reżyserki.

KURTKA

Zawsze warto mieć w plecaku porządną kurtkę. W górach pogoda jest zmienna. Po upalnym dniu, w nocy mogą być przymrozki. Niezbędna jest także w jaskiniach – nawet latem.

Fot. Andrzej Wiktor, archiwum rozmówcy

eprasa.pl d64a508a41

CZAPKA
Ze swoją czapką baseballówką nigdy się nie rozstaję. To pamiątka z Radom Air Show. Miałem przyjemność przeprowadzić wywiady z pilotami Tiger Demo Team. Zawsze stoję murem za polskim mundurem.

OKULARY
Przydają się tak samo latem, jak i zimą. W górach to podstawa. Są przydatne także w trasie. Podczas podróży samolotem służą jako zasłona na oczy.

PLECAK
W podróż wybieram plecak, nie walizkę. Jest pojemny – ok. 50 l. Zawsze biorę go w Tatry.

CZOŁÓWKA
Latarka zawsze się przydaje. Zarówno w dziczy, jak i w schronisku, gdy trzeba coś znaleźć w nocy, nie budząc wszystkich dookoła.

MACZETA
Górskie drogi często bywają zarośnięte. Wtedy przydaje się dobra maczeta. By była skuteczna, musi być ostra jak brzytwa. Często zastępuje toporek czy siekierę w pracach obozowych.

NÓŻ
To podstawowe narzędzie każdego mężczyzny. Zawsze mam jakiś w plecaku. Można nim zrobić bardzo wiele – od naostrzenia kijka na ognisko po posmarowanie kanapek. Czasem służy jako widelec lub łyżka.

BUTY GÓRSKIE
Dobre buty to podstawa. Zarówno „na robocie", kiedy nierzadko jestem w terenie kilkanaście godzin, jak i podczas górskich wędrówek po Bieszczadach czy Tatrach.

SŁUCHAWKI
Towarzyszą mi podczas spacerów czy jazdy na rolkach. Używam ich, gdy muszę się odciąć od otoczenia. Często słucham audiobooków, zwłaszcza podczas biegania.

„DYSKOTEKA"
Jako środek lokomocji wybieram mojego starego land rovera. Jest moim domem na kółkach. Na dachu mam namiot, w bagażniku lodówkę i kuchenkę. Dzięki niemu jestem niezależny i mogę wjechać tam, gdzie jestem sam.

KINDLE
W wolnych chwilach lubię czytać. Czytam w trzech językach – po polsku, angielsku i niemiecku. E-booki można kupić praktycznie zawsze i wszędzie. W jednym urządzeniu mogę zmieścić całą bibliotekę.

„KAWA"
Latem, gdy jest ciepło, podróżuję motocyklem. Kawasaki Z750 zjeździłem całą Polskę, a także Rumunię oraz Anglię. Mam go od kilkunastu lat i nie mogę się z nim rozstać.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl d64a508a41

„Zadaniowcy” ds. niemieckich interesów

Trudno nie zauważyć, że w polskiej administracji rządowej istnieje grupa ludzi, którzy bardziej dbają o interesy naszego zachodniego sąsiada niż własnego kraju

„Prognozy nie są przesadnie alarmujące” – uspokajał premier 13 września. Już dwa dni później dewastująca powódź przetoczyła się przez południowy zachód kraju. Skala zniszczeń przeraża. Skala chaosu, niefrasobliwości, głupoty i charakterystycznego dla koalicji 13 grudnia niedasizmu również.

Aby było to jednak możliwe, w imieniu polskiego rządu powinni występować tacy przedstawiciele, którzy w pierwszej kolejności dbają o polski interes narodowy. Tak było do jesieni ub.r. Dziś, po prawie roku od przejęcia władzy przez ekipę Donalda Tuska, tym, co powinno wzbudzać naszą szczególną uwagę, są wyraźne działania tych z pozoru polskich urzędników, które chociażby podważają sens ubiegania się o reparacje wojenne od Niemiec. W czerwcu minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski powołał pełnomocnika ds. relacji polsko-niemieckich, którym został Krzysztof Ruchniewicz, a już we wrześniu, czyli całkiem niedawno, wydał on 80-stronnicową publikację, w której podważa zasadność i prawo Polski do ubiegania się o zadośćuczynienie przez Niemcy krzywd, jakie wyrządziły nam podczas II wojny światowej. Pan Ruchniewicz podnosi nawet publikację w „Trybunie Ludu” do rangi niepodważalnego aktu potwierdzającego zrzeczenie się przez Polskę reparacji. Kuriozalne, jak bardzo jest zdeterminowany w tej sprawie. Dlatego z całą mocą uważam, że taka postawa powinna skutkować dymisją pana Ruchniewicza, który nie rozumie roli, jaką powinien odegrać.

Wiceministrem w resorcie Sikorskiego nadzorującym relacje polsko-niemieckie jest pan Marek Prawda, były ambasador w Berlinie, kawaler niemieckich odznaczeń i orderów. Zresztą pan Runiewicz też takie ma. Mają ich nawet więcej niż odznaczeń polskich. Nie jest to przypadek. Szef rządu w Polsce, jego ministrowie, pełnomocnik ds. relacji z naszym niemieckim sąsiadem co chwila otrzymują niemieckie nagrody. Zostali też w Niemczech ukształtowani – skończyli niemieckie uczelnie, wykładali tam, otrzymywali granty i stypendia. Jestem przekonany, że nie są więc wiarygodnymi urzędnikami, którzy w niełatwej rozmowie czy negocjacjach będą potrafili twardo postawić polskie sprawy. Słuchając często ich ocen polityki względem Niemiec, zwłaszcza w sprawie nierozliczenia się z II wojny światowej, da się usłyszeć argumenty, które wręcz zaskakują swoją zgodnością z narracją promowaną przez niemieckie kręgi polityczne.

Czy można się zatem dziwić, że pojawiają się pytania o ich rzeczywiste intencje? Z perspektywy polskiego interesu narodowego domaganie się sprawiedliwości za doznane krzywdy wydaje się oczywiste. Tymczasem ci urzędnicy, świadomie lub nie, zdają się realizować politykę, która bardziej sprzyja interesom niemieckim niż polskim. Bagatelizowanie reparacji czy naciski, by ostatecznie zamknąć ten temat, wzmacniają pozycję Niemiec w regionie, a osłabiają Polskę, która mogłaby użyć tego narzędzia jako karty przetargowej w negocjacjach gospodarczych czy politycznych.

Równie niepokojąca jest kwestia strategicznych inwestycji w naszym kraju. Projekty kluczowe dla rozwoju gospodarczego takie jak budowa infrastruktury energetycznej czy transportowej często napotykają opór właśnie ze strony osób odpowiedzialnych za relacje z Niemcami. Można zadać pytanie, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego tak często promowane są rozwiązania korzystne dla Berlina, a nie Warszawy? Często słyszymy, że inwestycje te mogą „zaszkodzić relacjom bilateralnym”, co brzmi niemal jak wyrok śmierci dla kluczowych projektów gospodarczych.

Trudno nie zauważyć, że w polskiej administracji rządowej istnieje grupa ludzi, którzy bardziej dbają o interesy naszego zachodniego sąsiada niż własnego kraju. Ukształtowani w niemieckich uczelniach i instytucjach, przesiąknięci niemiecką kulturą polityczną, często podejmują działania przynoszące korzyści Berlinowi, a nie Warszawie.

Oczywiście współpraca z Niemcami jest ważna i potrzebna, jednak nie może się odbywać kosztem polskiego interesu narodowego. Powinniśmy dążyć do równoprawnych relacji, a nie pełnienia roli partnera drugiej kategorii. Aby to osiągnąć, niezbędna jest zmiana filozofii działań urzędników odpowiedzialnych za relacje z Niemcami, by realizowali polską rację stanu, a nie byli „zadaniowcami” ds. zabezpieczania w Polsce niemieckich interesów.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl d64a508a41

Dedolaryzacja?

Marta Kaczyńska-Zielińska

Pod koniec października grupa zrzeszona w organizacji BRICS zbierze się na corocznym szczycie w rosyjskim Kazaniu. W czerwcu stolica Tatarstanu stała areną sportowych rozgrywek BRICS, a w ostatnim czasie gości festiwal literatury tejże organizacji. Założona w 2006 r. BRICS dziś obejmuje 10 krajów: Brazylię, Rosję, Indię, Chiny, RPA, Egipt, Etiopię, Iran, Arabię Saudyjską i Zjednoczone Emiraty Arabskie, które przystąpiły do niej w 2022 r. O akces ubiegają się również Turcja, Azerbejdżan i Malezja.

W krajach BRICS mieszka 46 proc. ludności świata. Odpowiadają one za ponad jedną trzecią globalnego PKB (według parytetu siły nabywczej). Dane Biura Analiz Parlamentu Europejskiego wskazują, że w 2022 r., przed przyjęciem nowych członków, udział BRICS w światowym PKB (według parytetu siły nabywczej) był większy niż państw G7. Według Goldman Sachs do 2050 r. tylko chińskie PKB ma być dwukrotnie wyższe niż UE. Członkowie wymienionej organizacji posiadają ok. 45 proc. światowych rezerw ropy naftowej.

Głównym celem BRICS jest promowanie współpracy gospodarczej, rozwoju i dialogu politycznego między państwami członkowskimi. Kraje należące do tej organizacji dążą do stworzenia alternatywy dla instytucji finansowych, takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy. W 2014 r. BRICS utworzył Nowy Bank Rozwoju (NDB) z siedzibą w Szanghaju, który jest postrzegany jako przeciwwaga dla zachodnich instytucji finansowych. Być może miał on także służyć jako bariera osłaniająca przed zachodnimi sankcjami nakładanymi na takie państwa jak np. Rosja. Moskwa przekonała się jednak, że amerykańskie narzędzia sankcyjne wpływają nie tylko na płatności w dolarach amerykańskich, lecz także na transakcje w chińskim juanie. W związku z sankcjami Waszyngtonu bank BRICS zamroził wszystkie projekty w Rosji. Być może nie przypadkiem w ostatnich latach w ramach tej organizacji prowadzone są rozmowy na temat możliwości wprowadzenia wspólnej waluty dla krajów członkowskich, która mogłaby skuteczniej pomagać obchodzić sankcje i zmniejszyć globalną dominację dolara amerykańskiego.

Do BRICS należą najszybciej rozwijające się gospodarki na świecie. Wraz z ich rozwojem i osłabianiem się stopowanych przez kolejne ograniczenia klimatyczne i drenowanych przez migrantów krajów Unii Europejskiej i – w zależności od wyników wyborów prezydenckich – pogrążających się w coraz głębszym kryzysie Stanów Zjednoczonych będą one prawdopodobnie odgrywać większą rolę w ustalaniu globalnych zasad handlu, podważając dominację zachodnich gospodarek i ukształtowany przez cywilizację judeochrześcijańską system wartości.

Wraz ze wzrostem potęgi gospodarczej i militarnej krajów BRICS mogą one rzucić wyzwanie istniejącemu porządkowi świata, przez ostatnie dekady strzeżonemu *de facto* przez USA. Chiny i Rosja już tworzą strategiczne sojusze z krajami rozwijającymi się, zmniejszając w ten sposób wpływy zachodnich mocarstw w takich regionach, jak Afryka, Ameryka Łacińska i Azja. Kraje BRICS mogą prezentować wspólne inicjatywy i stanowiska na globalnych forach, jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, Światowa Organizacja Handlu czy Światowa Organizacja Zdrowia. Może to prowadzić do większego wpływu na międzynarodowe procesy decyzyjne i reformy globalnych instytucji. Wraz z globalną transformacją energetyczną w kierunku odnawialnych źródeł energii BRICS może odegrać kluczową rolę w kształtowaniu przyszłych rynków energii. Wpływ Rosji na globalne dostawy ropy i gazu w połączeniu z rolą Chin i Indii jako głównych konsumentów energii daje BRICS znaczącą przewagę w dyplomacji energetycznej. Chiny są wiodącym na świecie producentem pierwiastków ziem rzadkich, podczas gdy Rosja, RPA i Brazylia posiadają ogromne rezerwy krytycznych minerałów, takich jak platyna, pallad i ruda żelaza. W miarę jak w szczególności europejska gospodarka będzie się pogrążać w technologiach określanych jako ekologiczne, kraje BRICS będą miały większy wpływ nie tylko na dostarczanie surowców niezbędnych dla branż, takich jak motoryzacja, fotowoltaika, elektronika, lecz także na potencjał gospodarczy i suwerenność państw zależnych od dostaw.

REKLAMA

17/0924/F

eprasa.pl d64a508a41

Widziane z Gdyni

Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni po raz kolejny ukazał swe ojkofobiczne oblicze. Złote Lwy 49. FPFF dla „Zielonej granicy" Agnieszki Holland to tylko wisienka na torcie „wolnej kultury". Wolnej od prawdy i polskości – to na pewno.

Ale z przyjemnością obejrzałem dwa filmy biograficzne o czasach, które sam dobrze pamiętam. „Idź pod prąd" (polskie „Narodziny gwiazdy") przypomina historię punkrockowego zespołu KSU (1977), który zresztą gra do tej pory. Z kolei „Kulej" (nasz odpowiednik „Rocky'ego") przywołuje cztery lata z życia tego legendarnego boksera (1964–1968), dwukrotnego złotego medalisty olimpijskiego.

Obie te krwiste, prawdziwe do bólu, słodko-gorzkie opowieści zostały zrealizowane z wielką dbałością o realia epoki. Wyczarowany na ekranie świat socrealizmu może zachwycić młodzież (jednakowoż zalecam te filmy widzom pełnoletnim, a to ze względu na liczne sceny biesiadno-obyczajowe).

Dziś znani artyści i mistrzowie sportu żyją (przeważnie) na wysokiej stopie, uwielbiani przez fanów. W czasach PRL kariery gwiazd często zależały od widzimisię komunistycznych aparatczyków i... gotowości do współpracy ze służbami. Ciekawe, że mimo tego mentalno-fizycznego zniewalania ówcześni ludzie potrafili cieszyć się życiem takim, jakie ono wtedy było. Miłość, przyjaźń, rodzina i pasja zawodowa pomagały im przetrwać tę konfrontację z brutalną rzeczywistością (*vide* dewiza: „Ciężkie czasy rodzą silnych ludzi"). Dlaczego poleciłbym te filmy młodym ludziom? Bo historia zatoczyła koło, a bieda, brak perspektyw i zamordyzm zawsze są takie same. Może z tą różnicą, że o tak skutecznej jak dziś inwigilacji tamci esbecy mogli tylko pomarzyć!

PS Nominowany do walki o Oscara film „Na wulkanie" nie zachwycił. Nudny scenariusz, brak puenty i fałsz bijący z ekranu (np. nierealne epizody z migrantami z Afryki) źle rokują. Podjęcie modnego tematu wojny na Ukrainie chyba nie wystarczy do zdobycia laurów. Piszę: chyba.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, TOMASZ GOLLA/AGENCJA SE/EAST NEWS, PAULINAMATYSIAK.PL, ARCHIWUM DOKUMENTACJI MECHANICZNEJ

eprasa.pl d64a508a41

III RP właśnie upadła

Nie ma już III Rzeczypospolitej, państwa ułomnego, ale przynajmniej udającego praworządność. Zniszczyli ją nie ci, którzy ją krytykowali, ale ci, którzy ją opiewali

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Prawa i Sprawiedliwości

Fot. Andrzej Wiktor

Woda opadła, ale pamięć o poważnych błędach premiera Donalda Tuska w czasie powodzi pozostała. Rząd swoją niekompetencję postanowił przykryć teatralnymi zagrywkami, czyli sztabami transmitowanymi na żywo. Według sondaży zrobił to dość skutecznie. Czy można uznać, że władzy udało się ukryć swoje winy?

Jarosław Kaczyński: Nie będę komentował sondaży, bo w naszej sytuacji jest to kwestia pełna znaków zapytania. Natomiast jeśli chodzi o sytuację obiektywną, to nie ma najmniejszych wątpliwości, że rząd zawiódł. Nie podjął działań prewencyjnych, z wyprzedzeniem, tak jak robiono to chociażby w Czechach: nie opróżniono zbiorników retencyjnych, nie zadysponowano wystarczających sił służb, nie wykorzystano mobilnych wałów przeciwpowodziowych – to tylko niektóre poważne błędy. Przede wszystkim nie poinformowano na czas ludzi. Nie ma

eprasa.pl d64a508a41

najmniejszych wątpliwości, że gdyby mieszkańcy zagrożonych terenów mieli jasność, że zbliża się coś bardzo niebezpiecznego, to straty byłyby o wiele mniejsze.

Chodzi o liczbę ofiar śmiertelnych?

To bardzo prawdopodobne. Nie znamy dziś ostatecznej liczby ofiar, co też jest dziwne. Nie odnoszę się tu do tych opowieści o setkach ofiar, bo wiadomo, że jest to nieprawda. Ale nie wiemy, czy to było dziewięć osób, czy więcej. Nie wiemy też, w jakich okolicznościach zginęli ci ludzie. Nie ma żadnych wątpliwości, że gdyby ludzie wiedzieli, co nadciąga, mogliby ograniczyć straty materialne. Tu różnica mogłaby być ogromna. Ostrzeżeni ludzie mogliby dużą część dobytku ruchomego, a może i całość, w tym meble, przenieść wyżej. Albo na wyższe piętra, albo na tereny położone wyżej. Później, gdy stało się jasne, co się dzieje, wielu mieszkańców terenów zagrożonych parkowało samochody na wzgórzach, tam, gdzie woda nie mogła dojść. Pojazdy można było ocalić, ale także żywność, sprzęt gospodarstwa domowego, pamiątki rodzinne, cały dobytek ruchomy. To samo dotyczy firm, które mogły uratować maszyny i materiały. Poprzez właściwie wykorzystanie zbiorników retencyjnych można było obniżyć falę powodziową.

Pojawiały się zarzuty, że zbiorniki były wypełnione, bo chciano wzmocnić wrażenie, że mamy kryzys klimatyczny, a rzeki wysychają. To możliwe?

Nie chcę komentować tego rodzaju informacji. Natomiast zaniedbania rządu w sferach, o których mówię, są oczywiste. Tylko miażdżąca przewaga w mediach, coś, co można nazwać przemocą medialną, pozwala tej ekipie trwać mimo tak wielkich błędów. Sondaże są jedynie odzwierciedleniem tej sytuacji. Ale faktów to nie zmienia: w czasie powodzi rząd przegrał, nie zdał egzaminu, czego potwierdzeniem jest rozmiar tragedii. Doświadczyły jej dziesiątki tysięcy ludzi, którzy stracili dobytek życia.

Rząd wydawał się ciągle spóźniony, o dwie lub trzy doby.

Ważnym wskaźnikiem są tu dane, które zaprezentował Andrzej Bartkowiak, były komendant Państwowej Straży Pożarnej. Najpierw wezwano jedynie 36 funkcjonariuszy, później 700 – przy liczbie bazowej 250 tys. strażaków w Polsce. To byłaby zbyt duża liczba, ale kilkadziesiąt tysięcy byłoby właściwą wielkością. Wiele działań rządu wynikało zapewne z chęci ochrony Wrocławia i Opola. Kierowano się logiką wyborczą. To zachowanie nie do usprawiedliwienia. Te miasta można było uratować i uratowano dzięki zbiornikowi Racibórz, ale bez skazywania na zalanie mniejszych ośrodków, takich jak Kłodzko czy Nysa, a także terenów wiejskich.

> Mimo ciężkich kryzysów, pandemii, wojny, inflacji pomagaliśmy społeczeństwu, a na końcu zostawiliśmy państwo z niższym zadłużeniem niż zastaliśmy, z rozpędzonymi inwestycjami, z solidnymi programami społecznymi. Oni nigdy nie potrafili rządzić i dalej nie potrafią

Na jaką ocenę zasługuje akcja powodziowa rządu Tuska?

Na dwóję, i to tę historyczną. Ocena niedostateczna.

Bez żadnego plusika?

Nie widzę podstaw do żadnego plusa. Zignorowanie zagrożenia, w istocie dezinformacja płynąca ze strony władzy to w sytuacji powodzi po prostu horrendum. Bo jakże nazwać fakty, iż rząd Tuska był informowany przez Komisję Europejską o zbliżającym się zagrożeniu, rządowe IMiGW już 10 września informowało premiera o nadchodzącym kataklizmie. A mimo to zagrożenie zostało zlekceważone, państwo nie zadziałało tak jak powinno w takiej sytuacji. Słowa Tuska, iż prognozy nie są przesadnie alarmujące i że nie ma powodów do paniki dzień przed kataklizmem, pomimo odmiennych komunikatów od służb, są jego wielką osobistą kompromitacją i odpowiedzialnością. Decyzje były mocno spóźnione – w sprawie ściągnięcia strażaków, żołnierzy WOT, opróżniania zbiorników. Wielu poszkodowanych, zwłaszcza na wsiach, miało poczucie opuszczenia. A przecież obywatele mieszkający na wsi mają takie same prawa jak mieszkańcy miast i władza publiczna nie może traktować ich gorzej.

Jak ten białoruski styl, który zastosował premier Tusk, a więc łajanie urzędników, gospodarskie wizyty, spotkania z podwładnymi otwarte dla mediów, wpływa na funkcjonowanie państwa w sytuacji kryzysu?

To jest pewna socjotechnika, która ma bardzo dużą tradycję, a którą dobrze opisuje hasło: dobry car, źli bojarzy. Czy to zadziałało? To, co robiono, miało jasny cel: chronić Tuska, eksponować Tuska, pokazywać Tuska, by ratować jego wizerunek po ewidentnych zaniedbaniach. To bardzo egoistyczne podejście premiera, bo ludzie pozostawieni sami sobie na skutek jego nieodpowiedzialności musieli się mierzyć z bezmiarem tragedii. Zresztą dzisiaj po powodzi widać to jak w soczewce... Poza tym, to zdaje się jest jego ważna psychologiczna potrzeba, którą było widać i za prezydentury mojego śp. brata, i za prezydentury Komorowskiego. To on ma być pierwszą osobą, zawsze i wszędzie. Jeszcze raz podkreślam: wszystko to razem zasługuje na dwóję, na stopień niedostateczny. Nigdy nie potrafili rządzić i dalej nie potrafią.

W latach rządów PiS politycy Platformy blokowali rozwój retencji, nakręcali społeczne protesty w tej

eprasa.pl d64a508a41

sprawie. A teraz media prorządowe oceniają, że winą Prawa i Sprawiedliwości było to, że nie przełamało oporów społecznych. Tusk próbuje zamazać prawdę, mówiąc, że „wszyscy mają w tej sprawie coś za kołnierzem". Jak pan skomentuje tę taktykę?

To my zbudowaliśmy zbiornik w Raciborzu, który ma pojemność 185 mln m^3 i teraz ocalił dużą część Polski. Owszem, pierwotna budowa zaczęła się za PO, ale zrobili to tak źle, że trzeba było zmienić firmę. Dopiero nowy wykonawca prawidłowo zaplanował i wykonał prace. Zbudowaliśmy też cztery zbiorniki retencyjne w Kotlinie Kłodzkiej. Miało być ich w sumie dziewięć, ale przyszła pandemia. W tych warunkach nie mogliśmy iść dalej, bo nakręcany przez opozycję opór społeczny był bardzo duży. To było niewykonalne. Równanie win jest całkowicie nieuzasadnione. To wyłącznie strategia obronna rządu, który nie dał rady. Rządu i większości mediów, które bronią tej ekipy w każdej sytuacji.

Jest też kwestia pomocy dla powodzian. Jak pan ocenia propozycje rządu?

To, co zaproponowano, jest dalece niewystarczające. W przeciwieństwie do naszych tarcz, które są wystarczające, czasem nawet z naddatkiem. A dziś rząd proponuje kwoty, które nie wystarczą nawet na odtworzenie tego, co zostało zniszczone, zarówno gdy chodzi o mieszkania, jak i przedsiębiorstwa. To jest zdecydowanie za mało. Ludziom proponuje się raptem 100 tys. lub 200 tys. zł na odbudowę domu, przy czym są to kwoty maksymalne i zdecydowana większość poszkodowanych nigdy nie zobaczy takich pieniędzy. Jak można wyremontować dom, totalnie zdewastowany przez powódź, za 40–50 tys. zł?! To jest niepoważne. Dlatego PiS proponowało sfinansowanie tych remontów i budów w 100 proc. wartości odtworzeniowej. To da się zrobić, jest tylko kwestia woli i decyzji politycznej. Niestety koalicja 13 grudnia odrzuciła nasze poprawki. Zwłaszcza że zalanym terenom grozi depopulacja. Ludzie po prostu wyjadą. To też ważny element, ale skutki będą dotkliwe również w sferze rozwoju gospodarczego, warunków życia rodzin. Proponujemy środki na pełne zrekompensowanie strat, na wzór wspomnianych już tarcz. Potrafiliśmy to robić mimo ciężkich kryzysów, pandemii, wojny, inflacji. Pomagaliśmy społeczeństwu, a na końcu zostawiliśmy państwo z niższym zadłużeniem, niż zastaliśmy, z rozpędzonymi inwestycjami, z solidnymi programami społecznymi. Całe te osiem lat zostały w pewien sposób zakłamane przez ich propagandę, ale to nie zmienia istoty: był to bardzo dobry okres dla Polski i Polaków. Obywatele mieli poczucie, że wszystko idzie do przodu, rozwija się i stale pojawiają się nowe perspektywy. Dzisiaj jest kompletnie na odwrót. Dlatego obiektywna ocena naszych rządów musi być bardzo wysoka.

> Konstytucja uchwalona w 1997 r. upadła i potrzebne jest uchwalenie nowej ustawy zasadniczej przez nowy parlament, o ile będzie w nim większość demokratyczno-niepodległościowa. Dziś jest pustka

To pytanie postawiliśmy na okładce poprzedniego wydania „Sieci": gdzie są pieniądze? Dlaczego mamy rekordowy deficyt, a mimo to brakuje na wszystko, nawet na adekwatną pomoc dla powodzian? Dlaczego zawsze, gdy obecnie rządzące siły dochodzą do władzy, w kasie robi się pusto?

Po raz pierwszy zobaczyliśmy to w Warszawie, gdy wybory na prezydenta stolicy wygrał śp. Lech Kaczyński. Nagle okazało się, że są środki na wszystko, na bardzo ambitne plany. Potem to się regularnie powtarzało w skali państwa. Krótka odpowiedź brzmi: pewne patologie albo się zwalcza, albo toleruje. Samo dojście tych formacji do władzy jest sygnałem dla wielu grup, że można dokonywać różnych nadużyć. Swoista polityka przyzwolenia. Druga kwestia to sposób gospodarowania tymi pieniędzmi. Jest coś takiego jak kulturowe przygotowanie do pełnienia władzy. Oni nie mają takiego zaplecza, w ich środowisku jest niewiele takich osób. U nas wygląda to zupełnie inaczej, o wiele lepiej, co nie znaczy, że nie zdarzają się błędy.

A będzie pan bronił bobrów, które Donald Tusk wskazał jako winnych przerwania wałów?

Tak, będę bronił, zresztą nigdy nie zmienię swojego stosunku do przyrody, do zwierząt. Jednak opowieść Tuska o bobrach, które w tej powodzi nie odegrały żadnej roli, to zagadka, bo na terenach zalanych praktycznie nie występują. Ponadto nowoczesne wały przeciwpowodziowe są już zabezpieczane siatkami. Myślę, że bobry posłużyły Tuskowi do odwrócenia uwagi mediów i opinii publicznej od sedna sprawy: tragedii i szkód popowodziowych, które należy usunąć.

Powódź minęła, ale koszmar państwa, które łamie podstawowe reguły prawne, pozostał. W istocie zawalił się cały ustrój państwa, w którym żyjemy od 1989 r. Mają rację ci, którzy mówią, że III Rzeczpospolita się skończyła. Zniszczyli ją nie ci, którzy ją krytykowali, ale ci, którzy ją opiewali, czyli Tusk, Bodnar, Sienkiewicz i inni. Krytykowali ją ludzie obozu patriotycznego, a zabili ludzie obozu niemieckiego. I nie ma już III Rzeczypospolitej, państwa ułomnego, ale przynajmniej udającego praworządność. Mamy anarchię prawną na wielką skalę i władzę, która nie uznaje konstytucji, ustaw i która przyznaje sobie prawo do selekcjonowania wyroków na te, które są ważne, i te, które nie obowiązują. Bez żadnej logiki: pewne decyzje konkretnych izb Sądu Najwyższego są akceptowane, inne nie. To odrzucenie dotychczasowego porządku prawnego ma charakter bardzo chaotyczny i niebezpieczny, związany z bieżącymi potrzebami politycznymi. W tle jest przemoc, policja, a nawet straż więzienna, która pilnuje,

eprasa.pl d64a508a41

by do siedziby prokuratury nie wszedł legalny prokurator krajowy Dariusz Barski. Otwartemu łamaniu prawa towarzyszy gotowość do używania siły. Zniszczono także całą tę sferę instytucji niezależnych, które miały być elementem kontrolnym wobec władzy. Cały ten porządek gwarancyjny już nie istnieje. Wliczam tu telewizję publiczną podlegającą KRRiT, a także prokuraturę oraz wiele innych instytucji, w których władza bez zmiany regulacji prawnych podeptała kadencyjność. W kulturze ma to charakter wręcz taśmowy. Całość oznacza całkowitą zmianę ustroju dla każdego, kto cokolwiek rozumie z tej konstytucji.

III RP umarła. Co dalej?

Gdy zmieni się władza, a głęboko wierzę, że tak się stanie, trzeba będzie stworzyć system, który nie będzie tak łatwy do podważenia. Konstytucja uchwalona w 1997 r. upadła i potrzebne jest uchwalenie nowej ustawy zasadniczej przez nowy parlament, o ile będzie w nim większość demokratyczno-niepodległościowa. Dziś jest pustka, a obecna konstytucja po prostu zawiodła, okazała się tak słaba, tak pozbawiona realnych konstrukcji zabezpieczających, że w to miejsce musi wejść coś nowego.

> Spółki skarbu państwa masowo zwalniają pracowników, ich wyniki szorują po dnie, wiele firm ponosi straty, choć jeszcze w ub.r. były dochodowe. Ludziom żyje się coraz gorzej. Wróciła ta duszna atmosfera sprzed 2015 r.: wiecznego braku pieniędzy na wszystko

Obecnej konstytucji nie da się rewitalizować? Po prostu zacząć stosować jej przepisy?

Coś, co się rozpadło, co okazało się niesłychanie słabe, wręcz gliniane, nie może być podstawą ustroju. Potrzebny jest nowy akt zasadniczy, być może zastępczy, uchwalony w oczekiwaniu na większość dwóch trzecich. Potrzebne są mechanizmy, które uniemożliwią to, co zrobił obecny rząd, począwszy od siłowego przejęcia telewizji. Potrzebne są rozwiązania, które sprawią, że żaden komendant główny policji nie ośmieli się podejmować działań, które widzimy pod prokuraturą, gdzie kordon policjantów nie pozwala na wypełnienie orzeczenia Sądu Najwyższego. Cała konstrukcja tej konstytucji odwoływała się do takiej świadomości społecznej, takiej kultury elit, która w Polsce funkcjonuje dość słabo i jak widzimy tylko po jednej stronie – tylko w obozie patriotycznym.

Czy nowa konstytucja albo ów akt tymczasowy powielałby obecne ramy ustrojowe?

Mniej więcej tak. Nikt nie ma zamiaru zmieniać rozdziału dotyczącego praw obywatelskich. Ale już np. procedurę zmiany konstytucji należałoby zweryfikować. Na pewno nie może być tak, że ktoś zdobywa nie tak znów imponującą większość i za pomocą chwiejnej koalicji zmienia ustrój, posuwając się do stosowania tortur. Bo te działania wobec ks. Michała Olszewskiego i dwóch pań z Ministerstwa Sprawiedliwości są kwalifikowane w umowach międzynarodowych jako tortury. Nie może być tak, że mamy usiłowanie zmiany ustroju państwa za pomocą siły, czyli czyn zagrożony karą co najmniej 10 lat więzienia, a państwo jest bezradne. Trzeba wysłać sygnał, że takie rzeczy nie przechodzą bezkarnie. Sygnał, który będzie długo pamiętany. Ale przede wszystkim trzeba wprowadzić zabezpieczenia, które uniemożliwią podobne działania w przyszłości.

Czy PiS pracuje nad takim projektem?

On się rodzi w głowach, jest przedmiotem dyskusji w naszym środowisku politycznym.

Czy w tym kontekście nie żałuje pan, że PiS działało tak ostrożnie w czasie, gdy rządziło?

Może trzeba było wchodzić z policją, łomem, na podstawie uchwały sejmowej, do różnych instytucji, zamiast czekać na koniec kadencji, zmieniać ustawy, cierpliwie negocjować akapity ustaw z prezydentem? W żadnym wypadku nie żałuję, że nie zastosowaliśmy takich metod. Takich metod w żadnym

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d64a508a41

wypadku nie można stosować. Bardzo żałuję, że nasza reforma sądownictwa została w pewnym momencie zatrzymana, bo gdyby doszła do skutku, dzisiaj bylibyśmy w zupełnie innym miejscu. Trzeba pamiętać, że znaleźliśmy się pod niebywałym ostrzałem z wewnątrz, a także z zagranicy. Gdybyśmy ją jednak przeprowadzili, bronilibyśmy się wówczas na nieporównanie lepszych, dobrze umocnionych pozycjach. Nawet gdyby zaszła konieczność dokonania jakiś ustępstw, byłyby to ustępstwa z zupełnie innego miejsca.

Czy pańskim zdaniem prezydent ma możliwości, czy powinien działać ostrzej w obronie podeptanej konstytucji?

W Polsce stworzono system pełen sprzeczności. Nazwano to „ustrojem z prezydenturą czynną", ale z tej nazwy nic nie wynika. Prezydent jest strażnikiem konstytucji, zwierzchnikiem sił zbrojnych, najwyższym przedstawicielem władzy wykonawczej, ale ta sama konstytucja w kolejnych ustępach ogranicza jego możliwości działania. Niemniej prezydent mógł i wciąż może, bo przed nim wiele miesięcy prezydentury, odegrać ważną rolę w obronie już nie konstytucji, bo ta upadła, ale w obronie tego, co jest niezwykle cenne, a więc niepodległości. Ostatecznym celem tego procesu jest przecież przyjęcie traktatów europejskich w takim kształcie, które pozbawią nasze państwo niepodległości. Na pewno nie stracą jej Niemcy, Francja też ma taką nadzieję, nie zrobi się krzywdy bogatym państwom starej Unii, choć też sporo stracą, ale status reszty krajów zredukuje się do terytoriów zamieszkałych przez narody, ale zarządzane z zewnątrz. O tym trzeba mówić. W tej sprawie trzeba alarmować. Gdyby robił to prezydent, byłoby to bardzo dobre dla polskiej sprawy.

Obecny kryzys wymusza konkretne pytania. Czy ludzie obecnej opozycji, oskarżani przez prokuraturę kierowaną przez nielegalnego prokuratora krajowego, powinni negować legalność całej procedury?

Oczywiście. One nie miały waloru legalności od chwili przeprowadzenia siłowej zmiany w prokuraturze. Dobrze, że potwierdził to Sąd Najwyższy. Ale i to nie ma dla obecnej władzy żadnego znaczenia. Dlatego tak ważna jest jedność, bo tylko wspólnie możemy tej władzy się przeciwstawić. Zawiodło wiele mechanizmów ustrojowych, które zostały podeptane przez koalicję 13 grudnia, dzisiaj trzeba odwołać się do obywateli. Tylko solidarny opór społeczny może powstrzymać te gangsterskie metody koalicji.

> Dziś procesy konsolidacyjne są ważniejsze niż racje partykularne. W mojej ocenie, i będę się tego trzymał, sprzeciw wobec połączenia z Suwerenną Polską wynika z motywów grupowych, a czasem wręcz indywidualnych

Czy po zmianie władzy ludzie obecnie prześladowani zostaną objęci amnestią?

Ustawę amnestyjną można stosować wobec tych, którzy dopuścili się pewnych przestępstw. Według mojej najlepszej wiedzy ci obecnie prześladowani nie dopuścili się żadnych takich czynów. Jeśli jednak ktoś za naszych rządów dopuścił się takiego czynu, to nie mam zamiaru bronić takiej osoby. Muszę jednak mieć pewność, że ci, którzy kogoś oskarżają i sądzą, działają w ramach prawa, reprezentują legalne organy.

Co z tymi, którzy są dziś prześladowani i zapadną wobec nich jakieś wyroki?

Te wyroki trzeba uznać za *non est*, nieistniejące, a tych, którzy doprowadzili do tej sytuacji, trzeba postawić przed sądem, bo przecież doskonale wiedzą, w czym uczestniczą. To można rozwiązać na podstawie istniejącego Kodeksu karnego, wysyłając także sygnał na przyszłość. Powtarzam: w Polsce trzeba zbudować taką demokrację, której nie zniszczy żadna większość. Rządy mają prawo wybierać różne kierunki, ale jednak pewne ramy muszą być zachowane. Żadne mechanizmy nie będą doskonałe, bo takich nie ma, będą jednak bardzo poważnym zabezpieczeniem przed tego rodzaju działaniami.

Ale jak to konkretnie mogłoby wyglądać?

Ważne instytucje, także te dziś atakowane, muszą mieć ochronę podporządkowaną tym, którzy dają pełną gwarancję, że będą bronili praworządności.

Jakaś Rada Konstytucyjna dysponująca własną siłą?

Raczej Rada Stanu, rzeczywiście dysponująca siłą. I drugi element: o ile dysponujące ogromną władzą sądy nie mogą wykorzystywać zasady kooptacji, czego dziś domagają się sędziowie, to ta niewielka instytucja – Rada Stanu – powinna uzupełniać swój skład poprzez kooptację. W ten sposób będzie odporna na różnego rodzaju wahania demokracji. Instytucje siłowe muszą mieć także jasny zakaz wykonywania poleceń niezgodnych z prawem. Ale być może zostanie wymyślone i zaproponowane jakieś inne rozwiązanie. Na razie są to tylko dywagacje.

Jak w tych trudnych czasach wygląda kondycja pańskiego obozu politycznego?

Jest tak, jak zwykle bywa po utracie władzy. Słabsi odpadają, zwłaszcza że dochodzi element łamania prawa przez władzę, niepewności co do własnego losu, a silniejsze jednostki się konsolidują. Mam nadzieję, że ten proces zostanie wzmocniony przez kongres partii, w tym połączenie z Suwerenną Polską. Dzisiaj tylko jednocząc szeroko rozumiane środowiska polskich patriotów, ludzi, którzy dobrze życzą naszej ojczyźnie, możemy postawić tamę

eprasa.pl d64a508a41

bezprawiu, nieuczciwości i nieprzyzwoitości, jakie szerzą się w Polsce od czasu powrotu do władzy Tuska, a wraz z nim koalicjantów. Niemal każdego dnia rzeczywistość przynosi kolejne dowody na to, jak dewastująca jest ta władza dla naszego kraju, naszej gospodarki i zwykłych ludzi. Spółki skarbu państwa masowo zwalniają pracowników, ich wyniki szorują po dnie, wiele firm ponosi straty, choć jeszcze w ub.r. były dochodowe. Ludziom żyje się coraz gorzej, bo likwidowane są programy społeczne, które wywierały konkretne konsekwencje gospodarcze, prorozwojowe. Wróciła ta duszna atmosfera sprzed 2015 r.: wiecznego braku pieniędzy na wszystko. W szpitalach likwidowane są oddziały chirurgii dziecięcej, porodówki czy ważne projekty definiujące pozycję Polski na przyszłość – CPK, elektrownie atomowe, agroporty. Skutkami tych złych dla naszego kraju decyzji jest to, iż w te obszary zaczynają wchodzić inne państwa, bo upatrują w tym swoją szansę. Szkoda, że tej szansy nie dostrzega obecna koalicja, która zamiast budować – niszczy.

W obliczu wyżej przytoczonych przykładów dzisiaj najważniejsze jest konsolidowanie środowiska, które nie zgadza się z tak prowadzoną polityką. Dlatego jesteśmy otwarci na współpracę z tymi, którzy także uważają, że czas rządów koalicji 13 grudnia to czas stracony. Pierwszym krokiem ku budowie tego szerokiego frontu będzie nasz kongres i połączenie z Suwerenną Polską.

Niektóre reakcje wokół tej sprawy są bardzo nerwowe. Z czego to wynika?

Wiem, że ten kierunek ma sporo krytyków i przeciwników. Nie zmienia to jednak mojego stanowiska, że dziś procesy konsolidacyjne są ważniejsze niż partykularne racje. W mojej ocenie, i będę się tego trzymał, sprzeciw wobec połączenia wynika z motywów grupowych, a czasem wręcz indywidualnych. A sytuacja jest taka: mamy obok nas partię niewielką, ale za to dysponującą posłami zaangażowanymi, dobrze przygotowanymi. A w Polsce toczy się ostra walka polityczna i potrzebujemy ludzi zdeterminowanych, odważnych.

Czas wojowników?

Tak. I ci wojownicy są nam po prostu potrzebni. A ci, którzy stają temu na przeszkodzie, naprawdę nie są w stanie odwołać się do racjonalnych przesłanek poza tymi, które mają charakter partykularny.

Przed nami kampania prezydencka. Jakiego kandydata szuka pańska partia? Kogo wskaże?

To wynika z badań. Powinien to być także człowiek relatywnie młody. Teraz jest taki nastrój i musimy to uszanować.

> Namiot PiS jest pojemny. Nie chcemy jednak w nim ludzi, którzy wielokrotnie okazywali się niewiarygodni w swoich deklaracjach, jedno mówili, a nawet podpisywali, a później robili co innego

Oczywiście musi to być przede wszystkich ktoś o silnych zaletach moralnych, musi być polskim patriotą i kimś, kto potwierdził umiejętności skutecznego działania, niekoniecznie w sferze czysto politycznej.

A więc kto? Pana pytają o to codziennie, my już niemal na pamięć znamy odpowiedzi, których pan udziela, ale czy ten krąg jest już jakoś określony, zawężony?

Proszę o jeszcze trochę cierpliwości. Mamy już niewiele czasu. Oczywiście podjęcie decyzji może nastąpić w innym momencie niż jej ogłoszenie. W tej sprawie decyduje małe grono, które jest szczelne.

Czy ten zakręt, na którym znalazła się Polska i obóz niepodległościowy, może przynieść wyrzucenie poza polityczny namiot PiS któreś z dużych nazwisk? Co rusz pojawiają się doniesienia, że któreś ze znanych nazwisk odpadnie. Albo wyjdzie, albo zostanie wypchnięte.

W naszym namiocie zmieści się każdy, kto będzie chciał. Nie ma tutaj przymusu i nawet nie sposób go zastosować. Namiot jest pojemny. Nie chcemy w nim jednak ludzi, którzy wielokrotnie okazywali się niewiarygodni w swoich deklaracjach, jedno mówili, a nawet podpisywali, a później robili co innego. Za nami ponad trzy dekady demokracji, wiadomo, kto w Polsce miał przewagę medialną i materialną, wiadomo też, kto, mimo tych bardzo trudnych warunków, potrafił trzykrotnie dojść do władzy, rządził w sumie 10,5 roku, doprowadził do urzędu dwóch prezydentów, a przecież to jeszcze nie koniec tej historii. Trzeba też widzieć, że krytycy naszej formacji z prawej strony nie odnosili sukcesów, gdy szli własną drogą. Nie mieli umiejętności, nie mieli też szczęścia. A szczęście w polityce, tak jak na wojnie, jest ważne. Wielkich karier nie zrobili też ludzie, którzy od nas odeszli i przeszli do obozu przeciwników, stając się naszymi zagorzałymi krytykami.

Jakie skutki będzie miało odebranie PiS lwiej części subwencji na działalność partyjną?

Wydaje się, że będzie to całkowite odebranie na trzy lata, stąd waga ofiarności publicznej. Jest i będzie trudniej. Partia jednak przetrwa dzięki wielkiemu zaangażowaniu społecznemu i wsparciu, które płynie od naszych sympatyków, za co bardzo dziękuję. Początkowo sytuacja nie wyglądała dobrze. Kwestia nielegalnego odebrania finansowania PiS miała na celu zniszczenie naszej formacji politycznej metodami administracyjnymi, w dodatku bezprawnymi, bo wiedzieli, że rywalizując z nami demokratycznie, uczciwie, nie mogą nas pokonać ze względu na wielkie poparcie społeczne. Oczywiście nie zostawimy tej sprawy i w przyszłości upomnimy się o te kwestie, ale dopiero wówczas, gdy nastaną normalne sądy, gdy w Polsce wrócą rządy prawa. A taki moment na pewno nadejdzie.

eprasa.pl d64a508a41

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tanie chwyty premiera

Rządy Tuska są jak spektakl dla niewymagających odbiorców, w którym jeden aktor odgrywa wiele ról: od surowego władcy poprzez dobrego gospodarza, kochającego dziadka aż po wesołego luzaka i konesera sztuki. Tyle że żadna z nich nie jest prawdziwa

Podczas pierwszych rządów Donalda Tuska mówiło się, że przed rozpoczęciem pracy premier często zaglądał do najnowszych sondaży opinii publicznej. I to ich wyniki były podstawą strategii rządu. Jeśli coś szło nie po myśli Tuska, wymyślał tematy zastępcze, tak aby przykryć nimi narastające problemy, które mogły wpłynąć na notowania jego partii. Usłużne media podchwytywały przekaz z kancelarii premiera i po chwili całe społeczeństwo żyło urojonymi aferami, podczas gdy te prawdziwe umykały uwadze ludzi. Tak w publicznym obiegu pojawiła się np. walka z dopalaczami oraz kwestia kastracji pedofilów.

Po 10 latach Tusk znów stoi na czele polskiego rządu. I znowu stosuje te same zgrane chwyty co kiedyś. Budowa CPK

eprasa.pl d64a508a41

i terminali kontenerowych, energetyka jądrowa, polska nauka, służba zdrowia, samochód elektryczny Izera, pogłębianie Odry – w ciągu niespełna roku wszystko to zostało przez obecną władzę zatrzymane i doprowadzone na krawędź przepaści. Do tej listy należałoby dopisać jeszcze drożyznę, powódź i otrzymamy pełen obraz kataklizmu. Co więc robi w tej sytuacji Tusk? Najpierw walczy z bobrami, a gdy zostało to wyśmiane nawet w liberalnych mediach za granicą, rozpoczyna kampanię przeciwko sprzedaży wódki w saszetkach. To jedyny znany premierowi sposób rządzenia. Nieustanne odwracanie uwagi społeczeństwa od rzeczy ważnych lub kłopotliwych wizerunkowo dla jego reżimu.

Jego rządy są jak spektakl dla niewymagających odbiorców, w którym jeden aktor odgrywa wiele ról: od surowego władcy poprzez dobrego gospodarza, kochającego dziadka aż po wesołego luzaka i konesera sztuki. Czasem przybiera marsowe oblicze, a czasem łagodne. Tyle że żadna z tych ról nie jest prawdziwa. Może poza jedną: gdy Tusk się wścieka. Wydaje się bowiem, że on nigdy nie przestaje być wściekły.

1. TUSK SIĘ WŚCIEKŁ

Ostatnio Tusk wściekł się z powodu sprzedaży alkoholu w saszetkach. Poprzednio wściekł się na meteorologów, którzy przewidzieli niewłaściwą pogodę. Podczas powodzi – jak doniosły usłużne media – premier wściekał się na wysokie ceny gumowców i rękawic. Wściekł się również na „ministrę" klimatu Paulinę Hennig-Kloskę – najpierw z powodu afery wiatrakowej, a ostatnio, bo proponowała powodzianom niskooprocentowane kredyty.

Do furii mieli go doprowadzić także Niemcy, którzy ciągle przerzucają imigrantów na polską stronę („będę o tym rozmawiał z kanclerzem" – odgrażał się w czerwcu) oraz członkowie zarządów spółek skarbu państwa, którzy mieli załatwiać sobie lewe dyplomy w Collegium Humanum.

Tusk wścieka się nieustannie. To jego naturalny stan ducha i właściwie można się zastanawiać, czy człowiek o tak zszarganych nerwach powinien stać na czele dużego europejskiego państwa. Jednak doniesienia o kolejnych atakach furii premiera nie budzą większego zaniepokojenia. Bo przecież Tusk – jak mówią w mediach – nie wścieka się bez powodu. On się wścieka na otaczający go bałagan i niekompetencję. A to oznacza, że sam jest uporządkowany i kompetentny. Że gdyby nie opieszałość i lenistwo innych, to Polska pod jego rządami byłaby już najpotężniejszym i najbogatszym mocarstwem na świecie. Jednak szef rządu nie zdziała cudów w pojedynkę, dlatego ciągle jest wściekły – bo rzeczywistość za nim nie nadąża i bez przerwy rzuca mu kłody pod nogi.

2. KOWAL ZAWINIŁ, A CYGANA POWIESILI

Oczywiście nie jest tak, że Tusk wścieka się bezproduktywnie. Jego furia popycha machinę państwa naprzód. Premier nieustannie diagnozuje problemy i po każdym ataku wściekłości stara się ustalić winowajców. Po przegranym głosowaniu w sprawie aborcji poległ wiceminister rozwoju i technologii, który na swoje nieszczęście wyjechał akurat na rozmowy z NASA, a podczas powodzi padło na meteorologów i bobry. Meteorolodzy mieli wprowadzić Tuska w błąd swoimi prognozami, które uznał on za „nieprzesadnie alarmujące", z kolei bobry podgryzły wały przeciwpowodziowe, co doprowadziło do zalania dużych obszarów i wielkich szkód. Szczęśliwie dla obwinionych premier jest władcą wyrozumiałym i ustaliwszy winnych, udzielił im łaski: meteorolodzy wiedzą już, że od tego, co przewidzą, może zależeć ich kariera, a bobrów na Dolnym Śląsku od dawna już nikt nie widział.

Rząd nie miał takiej litości wobec Piotra Jabłońskiego, dyrektora Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom, który jako pierwszy – już w sierpniu – dostrzegł problem sprzedaży wódki w saszetkach. Wtedy nikt nie zwrócił na to uwagi (kogo w rządzie obchodzi jakaś wódka w tubkach), ale niestety przydarzyła się powódź i trzeba było kogoś przykładnie ukarać. I tak padło na Jabłońskiego. Rzecz jasna

eprasa.pl d64a508a41

nie wyrzucono go za powódź, ale za wódkę, bo tuskowi spece od wizerunku wymyślili sobie, że właśnie alkoholem w saszetkach przykryją niewygodny temat powodzi. Nauka płynie z tego taka, że lepiej nie odzywać się głośno i nie zwracać na siebie uwagi, bo w każdej chwili można oberwać rykoszetem.

3. PAPIEROWY KUBEK

Gdy Tusk zdoła już ustalić winnych i sprawiedliwie ich ukarać, sam bierze się za naprawianie wyrządzonych szkód. Bo kto inny może to zrobić, jak nie on? Dookoła przecież sami partacze.

Widzimy wtedy premiera, jak wbiega w ostatniej chwili na posiedzenie rządu z kubkiem parującej kawy w ręku. Te dwa elementy są bardzo ważne. Kawa jeszcze paruje, czyli nie zdążył jej wypić w spokoju, bo nie ma na to czasu – tak bardzo jest zabiegany. I drugi element – kubek jest papierowy, jednorazowy. Może tu chodzić o troskę Tuska o klimat, ale nie tylko. Papierowy kubek wskazuje, że premier kupił kawę w automacie, a więc nikt mu jej nie zrobił, nie wysługuje się sekretarkami, które mają ważniejsze sprawy do roboty niż parzenie kawy dla premiera. Co więcej, szef rządu kupił kawę za własne pieniądze, a to znaczy, że jego napoje nie obciążają kieszeni podatników.

Potem widzimy Tuska, jak jedzie w kraj. Podczas powodzi wszędzie było go pełno – wszystkim dowodził, przyjmował meldunki, skarcił, gdy było za co. Nie szczędził swoich drogich butów, taplając się w popowodziowym błocie, potrafił nawet zajrzeć do zrujnowanych budynków. Wszystko to miało budować wizerunek zatroskanego władcy i dobrego gospodarza, który dowodzi walką z powodzią i głęboko współczuje poszkodowanym.

4. KILKUDNIOWY ZAROST

Podczas powodzi na twarzy Tuska pojawił się kilkudniowy zarost. To był znak, że premier jest tak zapracowany, że nie ma czasu nie tylko na sen, lecz nawet na codzienną higienę.

Robocze, niemal wojenne warunki, w jakich przyszło mu działać, sprawiły także, że porzucił swój garnitur na rzecz oliwkowego t-shirtu. Coś jak Wołodymyr Zełenski podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Twardy facet, który nigdy nie wywiesza białej flagi i prędzej odda życie za ojczyznę, niż zrobi krok wstecz.

Uważni obserwatorzy mogą zresztą zauważyć, że Tusk od pewnego czasu nie nosi krawata do marynarki. Cały czas, czy to w Sejmie, czy w kancelarii premiera, występuje w roboczym stylu. On się nie stroi, on się dwoi i troi. Ten sam styl natychmiast przyjęła też spora część ministrów i współpracowników premiera.

Skądinąd wiadomo, że Tusk nie lubi się przepracowywać – być może więc strategia „nie spałem od pięciu dni i nie zdążyłem się ogolić" ma zmienić ten dotychczasowy wizerunek.

5. CZESŁAW, POJEDŹ DO RESORTU

Niedawno Tuskowi podpadł Jacek Żakowski, bo ośmielił się zauważyć rzecz skądinąd oczywistą, że narady powodziowe premiera przypominają putinowski styl zarządzania państwem. Na razie nie doszliśmy jeszcze do etapu, w którym Tusk wzywa ministra na dywanik i ruga go publicznie przed kamerami, ale nie jesteśmy już daleko od tego wzorca.

Na razie Tusk – transparentnie, na oczach telewidzów – słucha raportów, koryguje błędy i podejmuje jedynie słuszne decyzje. Czasem przyjmie też wiernopoddańczy hołd od jakiegoś starosty lub wójta („Proszę przekazać premierowi, że jest wielki" – takie słowa jednego z wójtów przekazał Tuskowi wojewoda lubuski Marek Cebula), a kiedy trzeba, wyśle na odsiecz swoich wiernych wojowników. Ściągnięty z europarlamentu Marcin Kierwiński natychmiast przystąpił do pracy i na polecenie Tuska prosto z narady udał się na tereny powodziowe. Posiedzenie rządu opuścił też w trybie nagłym minister rolnictwa Czesław Siekierski, któremu premier zlecił zajęcie się alkoholem w saszetkach („Czesław, proszę, żebyś teraz pojechał do resortu i sprawę rozstrzygnął"). Ma to pokazać sprawczość i siłę Tuska: wystarczą dwa słowa i ministrowie biegną w popłochu, aby wypełnić jego wolę. Oczywiście procedury nie mają w takiej sytuacji żadnego znaczenia, bo i tak chodzi wyłącznie o wywołanie pożądanego efektu, a nie o rzeczywiste rozwiązanie problemu. Ale wielu ludziom w Polsce taki spektakl w zupełności wystarcza.

6. SZCZAWIOWA OD GOSI

Była już mowa o parującym kubku z kawą, ale to przecież nie wszystko. Tusk na każdym kroku podkreśla, że jest zwykłym, skromnym facetem. Takim jak wszyscy. Podczas powodzi chwalił się zupą szczawiową od żony Gosi. Nie wiem, czy rzeczywiście ona ją ugotowała (jeśli tak, to transport słoika z zupą na drugi koniec Polski musiał sporo kosztować). Ważne, że zupa była i w dodatku szczawiowa, a nie jakaś tam wyszukana.

Najwyraźniej Tusk ostatnio przestał jeść wykwintne potrawy. Podczas kampanii obwąchiwał pokrywkę słoika z ogórkami konserwowymi („Kiedy po całym dniu z wyborcami, znajdujesz w końcu ulubione ogórki" – mówił, wąchając wieczko w sklepie), a wiele lat temu, gdy budował autostrady, zrobił sobie zdjęcie na przydrożnym kamieniu z hot dogiem kupionym w Orlenie. W podobnym stylu była również utrzymana zwycięska uczta w pizzerii w Jagodnie. Patrzcie, jem to samo co wy, jestem więc taki sam – kokietuje Tusk.

eprasa.pl d64a508a41

7. KOCHANY DZIADEK

W przerwach od morderczej pracy Tusk wraca do domu, do Sopotu. Tam zwykle wynosi śmieci lub wychodzi na spacer z psem. Czasem pójdzie – jak każdy z nas – na zakupy do pobliskiego Lidla lub Biedronki i przytaszczy do domu wypełnione siatki.

Ale najbardziej lubi przebywać z rodziną, a zwłaszcza z wnukami, co regularnie pokazuje w mediach społecznościowych. Wprawdzie nie obwiesza się już krzyżami i pozdejmował z biurka imponującą kolekcję ołtarzyków, ale w głębi duszy pozostał konserwatywny.

Ktoś złośliwy mógłby twierdzić, że tego rodzaju przekaz ma być odpowiedzią na szkalujące plotki na temat jego asystentki, jednak jest jeszcze inne, prostsze wytłumaczenie. Otoczony wnukami Tusk próbuje zabłysnąć na tle samotnego Jarosława Kaczyńskiego. Mam rodzinę, robię zakupy, wiem, co to znaczy – chce powiedzieć Tusk.

8. W POGONI ZA MŁODOŚCIĄ

Odróżniać od Kaczyńskiego ma również zamiłowanie Tuska do sportu. Bo premier wciąż jest młody – oczywiście w przeciwieństwie do prezesa PiS. Dlatego harata w gałę i uprawia jogging. Ostatnio podczas biegu w warszawskich Łazienkach przyłapało go przypadkowo kilkudziesięciu reporterów. Biegł wtedy razem z ministrem finansów Andrzejem Domańskim. Bo Tusk nie traci czasu i nawet podczas uprawiania sportu pracuje, rozmawiając o ważnych sprawach państwowych.

9. POWIEW WYŻSZYCH SFER

Tusk lubi uchodzić za luzaka. Podczas kampanii wyborczej błaznował, udając, że czyta „Upadek Cesarstwa Rzymskiego". To także ma go stawiać w kontraście do rzekomo wiecznie zasępionego Kaczyńskiego. W rzeczywistości premier jest niedoścignionym wzorem dziadersa.

W sygnowanym jego nazwiskiem dzienniku zatytułowanym „Szczerze", który można kupić na przecenie w wielu księgarniach, zawarta jest bodaj cała esencja dziaderstwa. Tusk przedstawia się tu jako polityk najwyższego formatu, a zarazem znawca sztuki, najlepszego wina oraz sympatyczny, wiecznie młody luzak.

Ten groteskowy, pretensjonalny obraz, którym premier mógłby zapewne uwieść wszystkie pensjonarki, przywodzi nieco na myśl lekcje „stylu", które dla podobnego odbiorcy prowadziła niegdyś Jolanta Kwaśniewska. Mamy bowiem do czynienia z „naukami" skierowanymi do zakompleksionych ignorantów i ignorantek, którym bardzo zależy na tym, aby uchodzić za nowoczesnych światowców i którzy ekscytują się Tuskową erudycją rodem z Wikipedii niczym odkryciem życia na Marsie.

10. MNIE NIKT NIE OGRA W UNII

„Nowa koalicja gwarantuje, że wrócimy na miejsce należne Polsce" – zapewniał Tusk podczas grudniowego exposé w Sejmie. Niestety mnóstwo ludzi uwierzyło w te słowa. Podczas kampanii wyborczej obecny premier przedstawiał się bowiem jako bywalec brukselskich salonów i doświadczony europejski gracz.

Prawdziwą, a nie urojoną, pozycję Tuska w Unii Europejskiej ujrzeliśmy najpełniej w kwestii paktu migracyjnego. „Jeśli chodzi o stanowisko polskiego rządu w Unii, to nie będzie naszej zgody, akceptacji dla żadnego przymusowego mechanizmu relokacji migrantów" – mówił Tusk w styczniu. Polacy mieli uwierzyć mu na słowo, w końcu to król Europy, który każdego w Unii zna i każdego przekona, a jak będzie trzeba, to nawet zmusi do uznania swoich racji.

Od tamtych buńczucznych wypowiedzi minęło kilka miesięcy i na ulicach polskich miast pojawili się egzotyczni przybysze. Europejscy „przyjaciele" Tuska kiwają go, jak chcą, a on z kolei kiwa swoich wyborców. Jak na razie, niestety, dość skutecznie.

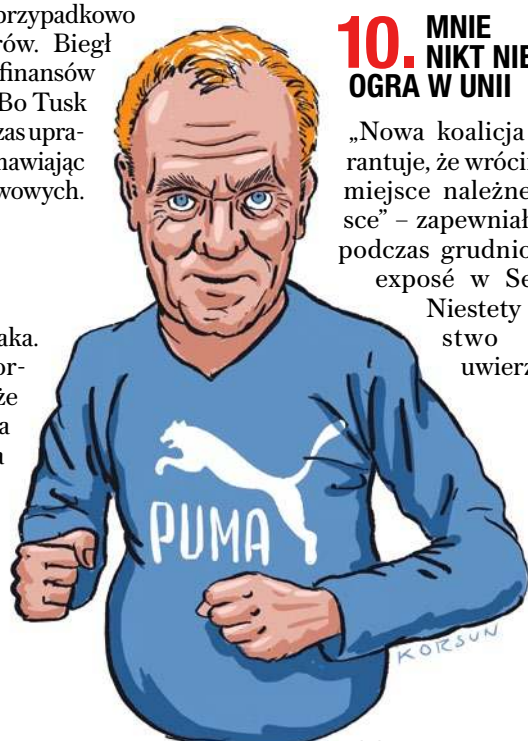

eprasa.pl d64a508a41

PSL na celowniku

Władysław Kosiniak-Kamysz i Władysław T. Bartoszewski

PO i Lewica dojeżdżają PSL. Próbuje to zrobić nawet koalicjant ludowców z Trzeciej Drogi, czyli Polska 2050. To realizacja planu Donalda Tuska, aby całkowicie podporządkować sobie Stronnictwo, bowiem PSL jest jedynym członkiem koalicji, który nadal wymyka się spod kontroli hegemona

PIOTR GURSZTYN

„Jest to atak polityczny na mnie lub na moją formację polityczną. Czyj to jest atak, tego nie wiem" – narzekał niedawno Władysław T. Bartoszewski, pytany o śledztwo Prokuratury Krajowej w jego sprawie. Okazało się bowiem, że prokuratorzy sprawdzają, czy polityk PSL pozbył się majątku, aby nie spłacać swoich wierzycieli. O śledztwie poinformował Onet. Bartoszewski dodał, że prokuratura nie kontaktowała się z nim w sprawie tego śledztwa, więc o jej działaniach dowiedział się z doniesień portalu.

Jego pytanie o to, czyj to atak, można potraktować jako retoryczne. Wicemiister z PSL doskonale wie, komu podlega Prokuratura Krajowa i kto traktuje ją jako dogodne narzędzie w rozgrywkach politycznych. Zna też zapewne odpowiedź, dlaczego on jako koalicjant został tak potraktowany. I dlaczego PK natychmiast „sprzedała kwity" na niego zaprzyjaźnionej redakcji.

IRYTUJĄCA NIEZALEŻNOŚĆ LUDOWCÓW

Powód jest prosty. PSL nadal jest lojalnym koalicjantem, ale aby przetrwać, musi zachować minimum niezależności. „Antypisizm" jest tam nadal żywym i szczerym uczuciem, ale nie wiadomo, na jak długo. Zwłaszcza gdy bardziej wyznaje go partyjna góra niż coraz bardziej niezadowolone doły, a jednocześnie w przyszłym roku w Stronnictwie odbędą się wewnętrzne wybory.

Poza PSL Donald Tusk podporządkował sobie wszystkich pozostałych koalicjantów. Lewica to już tylko poczekalnia do Platformy. Jej liderzy i posłowie marzą

Fot. Jacek Dominski/Reporter

eprasa.pl d64a508a41

tylko o jednym – aby stać się regularnymi członkami PO, tak jak zdążyli to zrobić ich koledzy, np. Grzegorz Napieralski czy Dariusz Joński. Trzecia Droga to polityczny trup. Szymon Hołownia dawno przestał być podmiotowym politykiem. Jest uzależniony od łaski Tuska i pogodził się z tym. Dla PSL to dramatyczna sytuacja, bo przez kilka ostatnich wyborów, aby zwiększyć szansę na przekroczenie progu wyborczego, Stronnictwo znajdowało sobie „miejski" komponent. PSL dwukrotnie weszło do Sejmu w szerszej formule – jako Koalicja Polska w 2019 r. i Trzecia Droga w 2023.

Teraz ten lewar został stracony. Do wyborów parlamentarnych jest trochę czasu, ale kierownictwo PSL musi myśleć o zabezpieczeniu przyszłości. Już teraz widać, że wewnątrz koalicji tego lewara nie będzie. PO jest już zbyt daleko na lewo, aby była możliwa wspólna lista z PSL. Ludowcy muszą szukać nowego dopalacza poza koalicją. Może porozumienie z Pawłem Kukizem, zwłaszcza że dołączył do niego popularny na wsi Jan Krzysztof Ardanowski? Może jakieś eksperymenty z ruchem utworzonym na bazie stowarzyszenia Lepsza Polska Doroty Gawryluk? Dzisiaj brzmi to egzotycznie, ale podobnie było przecież z politycznym debiutem Szymona Hołowni. Pamiętajmy przy tym, że Trzecia Droga była zjawiskiem, które odebrało PiS zauważalną grupę wyborców zniechęconych do prawicy. Teraz nowy miejski lewar ludowców odebrałby głosy PO. Na dodatek fakt, że zostałby znaleziony poza obecną koalicją rządową, siłą rzeczy prędzej byłby pomostem do porozumienia z PiS niż ponownie z Platformą. A przynajmniej dałby ludowcom uprzywilejowaną pozycję negocjacyjną.

Tusk to wie i już widać jego działania. Coś się dzieje wokół telewizji Polsat oraz innych podmiotów gospodarczych należących do Zygmunta Solorza. To na pozór tylko rodzinny konflikt między właścicielem, jego obecną żoną a pokłóconymi z nimi dziećmi Solorza. Wiadomo jednak, że przedsiębiorcy bliżej do PSL i PiS niż do PO, a zwłaszcza do Tuska. Według „Gazety Wyborczej" Solorz był tą osobą, która namawiała Kosiniaka-Kamysza do koalicji z PiS. Według naszych informacji z prawej strony, tym razem „Wyborcza" nie kłamała. Tak ponoć było.

„Zaoranie" PSL stanowiłoby korzyść niezależnie od tych okoliczności. Tusk dąży do całkowitej hegemonii, więc nawet lojalny wobec niego Kosiniak-Kamysz jest kimś, kogo trzeba zredukować do poziomu podmiotowości Ryszarda Petru. Taka jest więc odpowiedź na retoryczne pytanie Bartoszewskiego.

„PRZYCINANIE" KOSINIAKA-KAMYSZA

Kosiniak-Kamysz jest przycinany od dawna. Na niego zwalono winę za złe potraktowanie żołnierzy zatrzymanych przez żandarmerię na granicy. W tej sprawie, mimo kabotyńskich deklaracji Tuska nic się nie zmieniło. Nadal działa powołany przez Adama Bodnara zespół prokuratorów do ścigania żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej na granicy. A to znaczy, że szef MON został oszukany koncertowo.

Były też próby powtórzenia tego manewru przy okazji powodzi. Tusk zaatakował Kosiniaka-Kamysza za to, że gdy nadszedł kataklizm, na miejscu nie było wojska. Było, ale stało bezczynnie i do tej pory nie wiadomo, kto wstrzymywał żołnierzy przed przystąpieniem do akcji. A tu trzeba stwierdzić, że Kosiniak-Kamysz był na Dolnym Śląsku jeszcze przed 13 września, czyli zanim Tusk zaliczył katastrofalną wpadkę, mówiąc o „nieprzesadnie alarmujących" prognozach. Minister nie miał na swoim koncie porównywalnej kompromitacji (bo przypomnijmy, że Tusk zapewniał też, że tama w Stroniu wytrzyma, a trzy godziny później pękła). 12 września szef MON komunikował: „Uważnie monitorujemy sytuację na południu i w zachodniej części Polski". Informował o podniesieniu gotowości WOT oraz skierowaniu amfibii i saperów Wojsk Lądowych.

Od kierowania akcją przeciwpowodziową został odsunięty przez Tuska także kluczowy polityk regionu, czyli marszałek dolnośląski. Paweł Gancarz nie był zapraszany na sztaby kryzysowe mimo władzy, którą ma jako pierwsza postać w województwie. A potem i tak został wprowadzony stan klęski żywiołowej, co odebrało kompetencje marszałkowi i przekazało je wojewodzie. Powód jest oczywisty – Gancarz jest z PSL, ale został wybrany wbrew PO głosami Bezpartyjnych Samorządowców i radnych PiS dyrygowanych przez Michała Dworczyka.

Tym razem Kosiniak-Kamysz wywinął się i nie spadło na niego takie odium jak w czasie skandalu z aresztowanymi żołnierzami. Ale jego sytuacja w MON jest dramatyczna. Odzierany z pieniędzy na kontrakty staje się łatwym celem krytyki. Dogryza mu jego poprzednik, czyli Mariusz Błaszczak, ale, co ciekawe, odpowiedzi na te zaczepki można uznać za stonowane, szczególnie na tle wszystkich pozostałych „grzeczności" wymienianych między obecną władzą a opozycją. Kosiniak-Kamysz odgryza się, ale nie szuka zwady. Owszem, zwala na Błaszczaka bieżące niepowodzenia resortu, ale to reakcja bardziej na zaczepki niż działanie ofensywne. Wygląda całkowicie inaczej niż postępowanie wiceministra z PO Cezarego Tomczyka, którego funkcjonowanie w ministerstwie sprowadza się do tropienia „zbrodni" z czasów PiS.

Szczegół, ale bardzo spektakularny, pokazuje, co się dzieje w MON. Tomczyk jest bardzo aktywny w mediach społecznościowych. Widać, że ma na to dużo czasu, dużo więcej niż np. Kosiniak-Kamysz. Ale mimo tej nadaktywności powódź zauważył dopiero 13 i 14 września, i to też na zasadzie wytykania rzekomych zaniedbań z czasów PiS. Zaangażowanie wojska w walce z żywiołem w ogóle go wówczas nie interesowało. Za to 12 września masę energii poświęcił na atak na „fafiki". Całkowicie zakwestionował sens podpisanego w czasach PiS kontraktu na dostawę koreańskich samolotów szkolno-bojowych FA-50. Twierdził, że Błaszczak kupił sprzęt bezwartościowy na współczesnym polu walki, do którego nie ma już żadnego uzbrojenia, a koreański producent nas wykiwał. Kosiniak-Kamysz milczał w tej sprawie, co też oznaczało zdystansowanie się od ataku Tomczyka. Dość dużo później, bo po dwóch tygodniach, na portalu internetowym neo-TVP ukazał się zaskakujący tekst. Pojawił się artykuł pod tytułem będącym jawną drwiną z Tomczyka: „»Szkolny« samolot dla armii drażni ministra, ale zachwyca żołnierzy". W tekście pod nazwiskiem rzecznik Agencji Uzbrojenia ppłk Grzegorz Polak dyskredytował tezy wiceministra. Śródtytuły brzmiały tak, aby Tomczyk wyszedł na idiotę i kłamcę: „Cztery oferty na produkcję amunicji", „Koreańczycy spisują

eprasa.pl d64a508a41

się bez zarzutu", „Coraz więcej chętnych na FA-50". Tak konfrontacyjny artykuł w medium takim jak neo-TVP nie mógł być przypadkiem. To był policzek wymierzony wiceministrowi przez szefa resortu.

Tym razem Tomczyk został publicznie upokorzony w oczach wojska i ludzi zorientowanych w tematyce. Ale problem nie zniknął. W armii słychać szemranie, iż rządzi wiceminister, a nie Kosiniak-Kamysz. Nie jest to do końca prawda, bo minister podejmuje próby walki o swoją pozycję, ale jest faktem, że w resorcie panuje dwuwładza. Tym samym znaczy to, że autorytet szefa MON w oczach armii został mocno pomniejszony.

KOALICJANCI W LESIE

Na pochyłe PSL-owskie drzewo skaczą nawet naprawdę małe kozy. Polska 2050, formalny koalicjant z Trzeciej Drogi, otwarcie gra przeciw ludowcom. Widać to w Lasach Państwowych, kiedyś królestwie PSL, a teraz całkowicie obsadzonych przez ludzi PO i Polski 2050. Paulina Hennig-Kloska, minister środowiska i klimatu, jest z Polski 2050, ale jej relacje z PSL są całkowicie wrogie. Podobnie jest z wiceministrem Mikołajem Dorożałą, również politykiem partii Hołowni. Ich pomysły dotyczące myśliwych, np. wprowadzenie obowiązkowych badań lekarskich, mają nie tyle charakter merytoryczny, ile są zawoalowanym, ale dość skutecznym uderzeniem w PSL. Bo myśliwi urażeni pomysłami Hennig-Kloski swoje pretensje kierują przede wszystkim pod adresem ludowców – posłów z ich regionów, miejscowych samorządowców, lokalnych działaczy. A ci są bezsilni. Obiecują, że powstrzymają zmiany. Rzeczywiście, coś próbują robić, organizują spotkania w Sejmie i Senacie, ale i tak odbijają się od muru, czyli koalicyjnej większości.

To też tłumaczy, dlaczego wicemarszałek Piotr Zgorzelski, skądinąd najbardziej proplatformerski polityk PSL, w ostry sposób skrytykował Hennig-Kloskę za jej pomysł niskooprocentowanego kredytu dla powodzian. A Marek Sawicki zaatakował ją jeszcze brutalniej, zarzucając jej lobbing na rzecz Chin, czyli wspieranie importu stamtąd urządzeń fotowoltaicznych. Stwierdził nawet, że mamy do czynienia z „głęboko ukrytą konfidenturą".

Presja na PSL ma charakter nie tylko doraźny, wynikający z walki o stołki i zakres samodzielności. Inaczej niż w koalicjach, w których ludowcy uczestniczyli kilkanaście lat temu, doszedł nowy czynnik. To agresywna ideologia liberalna w sprawach obyczajowych. Odrębność programowa PSL, która w kampanii parlamentarnej 2023 r. była przedstawiana jako atut, teraz stała się celem ataku. Ludowcy muszą się zmierzyć z prawdziwie fanatyczną presją i są podzieleni w tej kwestii. Część, np. Urszula Pasławska, chce popłynąć z prądem, motywując, że „takie są czasy". Inni – ich twarzą jest Marek Sawicki – uważają, że to niezgodne z profilem ideowym PSL, a co więcej – szkodliwe, gdyż będzie oznaczało utratę bazy wyborczej. Trzecia grupa, w tym prezes partii, lawiruje i uważa, że może da się to przeczekać.

> Tusk dąży do całkowitej hegemonii, więc nawet lojalny wobec niego Kosiniak-Kamysz jest kimś, kogo trzeba zredukować do poziomu podmiotowości Ryszarda Petru

Mimo głosowania przegranego przez KO i Lewicę nie ucichła sprawa aborcji. Koalicyjna większość próbowała ograć PSL, dogadując się z Pasławską, która ma lewicowe poglądy. Ta nie miała mandatu ze strony własnej partii, ale zgodziła się poprzeć liberalizację aborcji w jej imieniu. Nie udało się, bo kierownictwo Stronnictwa podtrzymało dotychczasowe stanowisko. PSL zostało za to oszukane wprowadzeniem wytycznych dla służby zdrowia, które, omijając drogę ustawową, liberalizują aborcję. Minister zdrowia Izabela Leszczyna, formalna autorka wytycznych, publicznie przyznała, że Kosiniak-Kamysz nie został poinformowany o ich wprowadzeniu: „Nie rozmawialiśmy o tym, ale zwykle jak dzieje się coś, co go niepokoi, to ze mną rozmawia, teraz tak nie było".

„Ministra" ds. równości Katarzyna Kotula wypowiedziała się ostatnio w temacie legalizacji związków partnerskich: „Politycznie PSL chyba powinno zadać sobie pytanie, z kim jest w koalicji" i czy chce szukać kompromisów wewnątrz aliansu, czy „układać się z prezydentem Andrzejem Dudą". To ostatnie było aluzją do tego, że prezes PSL prywatnie ma dobre relacje z głową państwa i nadal są one utrzymywane. Dodajmy do tego, że z prezydentem jest blisko związany Ardanowski, powołany przez Dudę na stanowisko przewodniczącego prezydenckiej Rady ds. Rolnictwa i Obszarów Wiejskich. A w koalicji nie tylko internetowe trolle z kręgu Silnych Razem wszędzie wietrzą prawicowe spiski. Wracając do projektu ustawy forsowanej przez Kotulę, to trzeba zauważyć, że PSL jest w tej sprawie osamotnione. Formalny partner, czyli Polska 2050, stoi całkowicie po stronie Kotuli.

Lewica chętnie uderza w PSL, bo może zastępczo zaznaczyć swoją obecność i stanowczość. Jako ugrupowanie całkowicie podporządkowane Tuskowi nie może pozwolić sobie na jakąkolwiek znaczącą krytykę działań głównego ugrupowania, a szczególnie lidera. Premier również nie będzie schodził z Olimpu, aby uczestniczyć w bieżących utarczkach. Do tego ma Lewicę, która podkreśla potrzebę swojego istnienia robieniem brudnej roboty za PO.

Oczywiście to bynajmniej nie znaczy, że PSL wystąpi teraz z koalicji. Część ludowców chętnie by skręciła w lewą stronę. Część jest zadowolona z kooperacji z PO, np. marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik. Kosiniak-Kamysz ciągle jest wielkim zwolennikiem współpracy, i to mimo paradoksu, że jest tak bardzo dojeżdżany i upokarzany przez Tuska i Platformę. Także sondaże nie zachęcają do gwałtownych ruchów. Rząd ma stabilne poparcie. PO utrzymuje niedużą, ale stałą przewagę nad PiS. Trend przeciwny, czyli narastanie niezadowolenia wśród partyjnych dołów i elektoratu, nie przeważył jeszcze kalkulacji, że bardziej opłaca się współudział we władzy. Dynamika jest jednak taka, że z powodu coraz trudniejszej sytuacji ekonomicznej i ciągłego bałaganu w obozie władzy niezadowoleni mnożą się w PSL szybciej niż ci, którym to się podoba.

eprasa.pl d64a508a41

Dziś nie poparłabym rządu Tuska

Nie chcę sytuacji, w której nie mogę wypowiedzieć się krytycznie na temat rządu i funkcjonować w klubie, który wychodzi z założenia, że o rządzie albo dobrze, albo wcale

Z posłanką Pauliną Matysiak (zawieszoną w prawach członka partii Razem oraz w prawach członka klubu parlamentarnego Lewicy) rozmawia Dorota Łosiewicz

Fot. Archiwum Pauliny Matysiak

W przeddzień pani urodzin Sejm obronił panią przed usunięciem z komisji infrastruktury. Doszło do zerwania kworum, a media obiegło zdjęcie, gdy sala wraz z panią bije brawo, skandując: „CPK", a z boku z niedowierzaniem na wszystko patrzy Włodzimierz Czarzasty. To był satysfakcjonujący moment?

Paulina Matysiak: Ucieszyłam się. Tak zwyczajnie. I poczułam ulgę, bo przecież nie chciałam zostać wyrzucona z komisji infrastruktury. O tym, że próba odwołania mnie z tej komisji będzie miała miejsce, dowiedziałam się przypadkiem, na początku bloku głosowań. Nikt z prezydium klubu Lewicy mnie o tym nie poinformował. Głosowania dotyczące składów osobowych komisji są raczej techniczne, ustalane na poziomie klubowym i z poszczególnymi parlamentarzystami. Posłowie zmieniają komisje, wypisują się i zapisują do kolejnych. Przy okazji każdego posiedzenia mamy takie głosowania i nie wzbudzają one żadnej sensacji. Odwołanie z komisji infrastruktury nie było ze mną konsultowane, nie ma co do niego podstaw merytorycznych, dlatego zabrałam głos i poprosiłam parlamentarzystów, żeby nie popierali tego wniosku. W efekcie udało się zerwać kworum.

Stało się to nie tylko dzięki posłom PiS czy Konfederacji, lecz także dzięki kilkorgu posłom partii Razem, w której wciąż pani jest.

I jestem im bardzo wdzięczna. Swoje karty wyjęły posłanki Joanna Wicha, Marta Stożek, Marcelina Zawisza oraz poseł Maciej Konieczny. Bardzo im dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. To na krótki czas wspólny sukces wszystkich, którzy zerwali kworum.

Z naciskiem na „krótki czas", bo wniosek pewnie niebawem powróci i przebieg zdarzeń może być już inny. Pani klubowi koledzy komentowali: „Co się odwlecze, to nie uciecze" (Tomasz Trela), „co ma wisieć nie utonie" (Dariusz Wieczorek). Jak pani ocenia te komentarze?

Pewnie kwestią czasu jest to, kiedy ostatecznie zostanę wyrzucona z tej komisji. I niestety jest to bardzo niesprawiedliwe podejście w stosunku do mnie. Pracuję w kilku komisjach, a tylko z tej chce się mnie wyrzucić za rzekome głosowanie wspólnie z PiS. Ostatnie takie głosowanie dotyczyło odroczenia obrad komisji infrastruk-

eprasa.pl d64a508a41

tury, ponieważ posłowie nie dostali materiałów z Ministerstwa Rozwoju i Technologii. Chcieliśmy dać resortowi czas na dostarczenie posłom tych materiałów. Temat był ważny, dotyczył społecznego budownictwa czynszowego. Formalny wniosek o odroczenie prac złożył poseł PiS Andrzej Adamczyk i poparłam ten wniosek. Zrobiłabym to samo bez względu na to, czyj byłby to wniosek. Posłowie powinni dostawać rzetelne informacje z ministerstwa przed posiedzeniami komisji, żeby mogli dobrze pracować. I to właśnie było owo głosowanie ręka w rękę z PiS. A jeśli chodzi o słowa moich kolegów z klubu kierowane pod moim adresem – cóż, te osoby same sobie wystawiają świadectwo. Ja bym nie sięgała do takich sformułowań. Można się różnić, można krytykować moje działania czy decyzje, ale warto zachować klasę i poziom.

Poseł Trela powiedział: „Paulina Matysiak w moim przekonaniu dwiema nogami jest już poza Lewicą, a jedną nogą w PiS". Wybiera się tam pani?

Nie wybieram się. Poseł Trela powinien się raczej martwić politykami ze swojego ugrupowania, którzy przeszli do PiS, jak Monika Pawłowska, albo do PO, jak Karolina Pawliczak czy Hanna Gill-Piątek. O nich poseł chyba zbyt łatwo zapomina. Tomasz Trela potrafi tylko krzyczeć o PiS, a każda krytyka rządu jest dla niego równoznaczna z byciem w Prawie i Sprawiedliwości. To absurdalne. Nawet jeśli rozstrzygnięcia w klubie i partii zakończą się dla mnie negatywnie, czyli zostanę wyrzucona z klubu lub partii, to nie dołączę do innego klubu w Sejmie. Mam lewicowe poglądy. W 2017 r. świadomie zapisałam się do Razem, to jest moja partia i mam nadzieję, że w niej zostanę, a cała historia skończy się dobrze i wspólnie wypracujemy jakieś kompromisowe rozwiązania.

Niedawno po raz drugi została pani zawieszona w prawach członka klubu Lewicy. Czy to wciąż z powodu założenia Stowarzyszenia „Tak dla Rozwoju" wspólnie z Marcinem Horałą, czy może tym razem chodzi o to, że krytykuje pani rząd i publicznie przyznała, że powtórnie by go pani nie poparła?

Tego nie wiem, ponieważ dostałam formalną decyzję podpisaną przez szefową klubu Annę Marię Żukowską, ale nie ma tam słowa uzasadnienia. Mogę tylko gdybać, czy chodzi o to, że założyłam stowarzyszenie i nie ugięłam się mimo stawianego mi ultimatum, czy może chodzi o moje krytyczne wypowiedzi pod adresem rządu.

A podtrzymuje pani słowa, że nie udzieliłaby powtórnie wotum zaufania temu gabinetowi?

Tak. Co więcej, jestem przekonana, że wiele osób nie poparłoby tego rządu, gdyby w swoim exposé Donald Tusk powiedział, co konkretnie zamierza ten gabinet np. w sprawie przejęcia mediów czy luźnego podejścia do prawa i praworządności polegającego na tym, że „stosuję prawo tak, jak mi wygodnie, np. wycofam kontrasygnatę". Wątpliwości dotyczą także sytuacji w strategicznych spółkach i podmiotach, i mam tu na myśli wielkie zwolnienia w PKP Cargo czy nieprzestrzeganie prawa w Poczcie Polskiej.

W swojej krytycznej ocenie rządu nie jest pani osamotniona w partii. Adrian Zandberg powiedział, że przy okazji powodzi gabinet nie zdał egzaminu, ale on nie został w prawach członka klubu Lewicy zawieszony.

No nie został. Mamy więc pytanie, czy w ogóle można krytykować rząd, czy nie można. Nie chcę sytuacji, w której nie mogę wypowiedzieć się krytycznie na temat rządu i funkcjonować w klubie, który wychodzi z założenia, że o rządzie albo dobrze, albo wcale. Krytyka rządu to nie jest zapisywanie się do PiS. Wyborcy, którzy oddali głos na ugrupowania tworzące koalicję rządzącą, także mają prawo do stawiania trudnych pytań i odpowiedzi. Sytuacja z powodzią jest najlepszym przykładem. Wiemy od samorządowców, którzy nie są związani z PiS, o problemach, jakie miały miejsce: braku informacji, spóźnionych informacjach i działaniach. I nie widzę powodu, by udawać, że było inaczej.

A czy klubowi Lewicy grozi rozłam? Niektórzy politycy partii Razem w ogóle przestali się pojawiać na posiedzeniach klubu (Zandberg, Zawisza, Konieczny), a Nowa Lewica próbowała ją obarczyć odpowiedzialnością za fatalny wynik wyborów do europalamentu.

O tym, kto się bywa na klubie, a kto nie, nie mogę nic powiedzieć, ponieważ w związku z zawieszeniem sama się tam nie pojawiam od czerwca. Byłam tylko na jednym posiedzeniu, na którym omawiano moje odwołanie od zawieszenia. Jeśli chodzi o wynik wyborczy, to należałoby się w ogóle zastanowić nad strategią wyborczą i kampanijną: do kogo i w jaki sposób kierowany był przekaz. Problem jest szerszy i polega na tym, do kogo Lewica chce mówić. Musimy znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Mówi pani, że każdy ma prawo krytykować rząd, ale robiąc to, krytykuje pani jednocześnie swoich klubowych kolegów, np. ministra nauki Dariusza Wieczorka za sytuację w instytucie IDEAS NCBR i porażkę w konkursie jego twórcy prof. Piotra Sankowskiego, naukowca ze światowej czołówki. W tej sprawie pikietowała nawet pani pod Sejmem.

Ponieważ to sytuacja kuriozalna i kompletnie niezrozumiała. Nie można dobrze oceniać zmian w IDEAS NCBR, wystarczy wsłuchać się w głos wybitnych ekspertów z całego świata. W IDEAS zrezygnowała cała rada nadzorcza, to wyraźny sygnał dla organu nadzorującego i polityków, że popełniono błąd. Mieliśmy tam wybitnych naukowców ze światowej czołówki, którzy pracowali dla Polski. Doszło do zmian, a wiceminister nauki Maciej Gdula twierdzi, że nie było wystarczającej komercjalizacji działań ośrodka i badań. Jeszcze kilka lat temu ten sam Maciej Gdula pisał teksty o tym, że

eprasa.pl d64a508a41

uniwersytet to nie firma. Nie mylmy jednak konstruktywnej krytyki z hejtem czy pieniactwem, bo jedno i drugie jest mi obce. Sprawa z IDEAS na poziomie piarowym dziś została rozwiązana. Ale trudno nie oprzeć się wrażeniu, że w tym przypadku ministrowie bohatersko rozwiązali problem, który sami wywołali.

Moje pytania są konkretne i merytoryczne. Ostatnio podczas posiedzenia podkomisji [chodzi o podkomisję stałą ds. budownictwa, gospodarki przestrzennej i mieszkaniowej oraz poczty] pytałam np. wiceministra i prezesa Poczty Polskiej o to, dlaczego obecnie w spółce nie przestrzega się prawa i własnego statutu, dlaczego odwołuje się przedstawicieli pracowników z rady nadzorczej, a te miejsca wciąż nie są obsadzone. To nie jest przecież atak na rząd, a domaganie się przestrzegania prawa. Ci, którzy jeszcze kilka lat temu głośno krzyczeli o konstytucji i o praworządności, dziś już tego nie robią i postępują zupełnie inaczej.

Awantura wokół IDEAS i szerokie zainteresowanie tym tematem pokazało, jak przy CPK, że Polacy mają aspiracje i rozwój kraju jest dla nich ważny.

Tak było. Ta historia pokazała też, jak ważne są media, które informują o tym, co się dzieje. Zobaczyliśmy też szerokie społeczne poparcie dla strategicznych, prorozwojowych dążeń. I że tych spraw trzeba pilnować. Za chwilę Polacy będą zmęczeni tym, że trzeba pilnować każdego tematu, bo jak nie ma kontroli społecznej i medialnej, to pojawiają się nadużycia czy niewłaściwe działania. Nuta rozżalenia wśród wyborców rządzącej koalicji, że tak się dzieje, jest już wyraźnie słyszalna.

I w ten sposób przechodzimy do sytuacji w Totalizatorze Sportowym. Szybko okazało się, że spółkę obsiedli partyjni nominaci z PO, PSL i Lewicy. Na platformie X (d. Twitter) skomentowała pani sprawę słowami: „To mamy klasyczne TKM na pełnej".

Bo miało być inaczej, a jest dokładnie tak, jak było. Ludzie są wkurzeni. Gdy czytają o tym, jak poszczególne partie dzielą się stanowiskami, jak wpychają wszędzie partyjnych nominatów, to są po prostu rozgoryczeni. Obietnice z kampanii były zupełnie inne.

Wróćmy jeszcze do praworządności, o której pani wspomniała. Podoba się pani zapowiedź „demokracji walczącej" Donalda Tuska?

Nie podobała mi się ta wypowiedź. Przymiotnikowe demokracje to nic dobrego. Wystarczyłoby mi, że mamy demokrację i przestrzegamy obowiązującego prawa, a to na równi dotyczy wszystkich. Wobec prawa wszyscy są równi. Tymczasem mamy „puszczanie oka", które ma uzasadniać, że rząd nie będzie postępował zgodnie z literą prawa. To się nie może podobać. To niebezpieczny sygnał, podobnie jak zapowiedzi marszałka Hołowni, że nie zostanie obsadzony Trybunał Konstytucyjny. Przecież to jest działanie niezgodne z konstytucją. Na ile to testowanie opinii publicznej, a na ile realne plany – trudno powiedzieć, ale prowadzi to do jeszcze większego chaosu.

> Nie powinno być tak, że każda kolejna ekipa przekreśla wszystkie dokonania poprzedników. To jest absurd

Sędzia Zbigniew Kapiński, prezes Izby Karnej SN, podczas wydawania decyzji dotyczącej prokuratora krajowego mówił, że ten chaos może prowadzić do rozpadu państwa.

O to w tym wszystkim chodzi. Dlatego trzeba walczyć o stabilne państwo z przejrzystym prawem, działającymi sądami, które wydają niepodważalne wyroki. A teraz mamy sytuację, że każdy wyrok może zostać podważony. Jak nam się nie podoba jakiś wyrok czy orzeczenie, to go nie uznajemy. Jedne ciała uznajemy, innych nie, albo uznajemy przez jakiś czas, a potem przestajemy uznawać. To tworzy niewyobrażalny chaos. Wszyscy politycy ze wszystkich stron powinni wziąć głęboki oddech, zrobić krok wstecz i dojść do porozumienia. Potrzebujemy jasnej mapy wprowadzanych rozwiązań, którą przedstawiłby minister sprawiedliwości Adam Bodnar. Tymczasem opinia publiczna jest co chwilę zaskakiwana nowymi pomysłami, słyszy też zapowiedzi, które potem są prostowane. To nie dodaje powagi ani rządowi, ani państwu.

A kto jest prokuratorem krajowym?

W tej sprawie wypowiedział się Sąd Najwyższy. Warto zwrócić uwagę tym, którzy to orzeczenie podważają ze względu na tzw. neosędziów, na wypowiedzi sędziów z ogromnym stażem i doświadczeniem, że nawet w innym składzie to orzeczenie mogłoby wyglądać tak samo.

Żałuje pani powołania Stowarzyszenie „Tak dla Rozwoju"?

Nie żałuję. Stowarzyszenie działa i będzie się rozwijać. Kilka miesięcy od mojego zawieszenia pokazało mi, jak bardzo żyjemy w mentalności plemiennej, a jak mało w propaństwowej. Wciąż słyszę, że nie należy współpracować z kimś z innej partii i koniec. Nie ma odniesienia do tematu, merytoryki, dokumentów. To mnie zdumiewa. Przecież tu chodzi o dobro Polski. Powinien być ponadpartyjny konsensus co do działań strategicznych podejmowanych dla kolejnych pokoleń. Nie powinno być tak, że każda kolejna ekipa przekreśla wszystkie dokonania poprzedników. To jest absurd. Duże inwestycje infrastrukturalne realizuje się latami. Robią to różne rządy. Dla państwa odpowiedzialni politycy muszą umieć wznosić się ponad bieżący spór polityczny.

eprasa.pl d64a508a41

MAREK PYZA

Skandal wokół spółki IDEAS NCBR tylko pozornie został zażegnany. Dodatkowo potwierdził to, co o obecnej władzy już wiedzieliśmy: że jest gotowa niszczyć wszystko, co buduje polskie aspiracje i daje szanse na cywilizacyjny skok. Dla skoku na stołki poświęci nawet rozwój naszej nauki

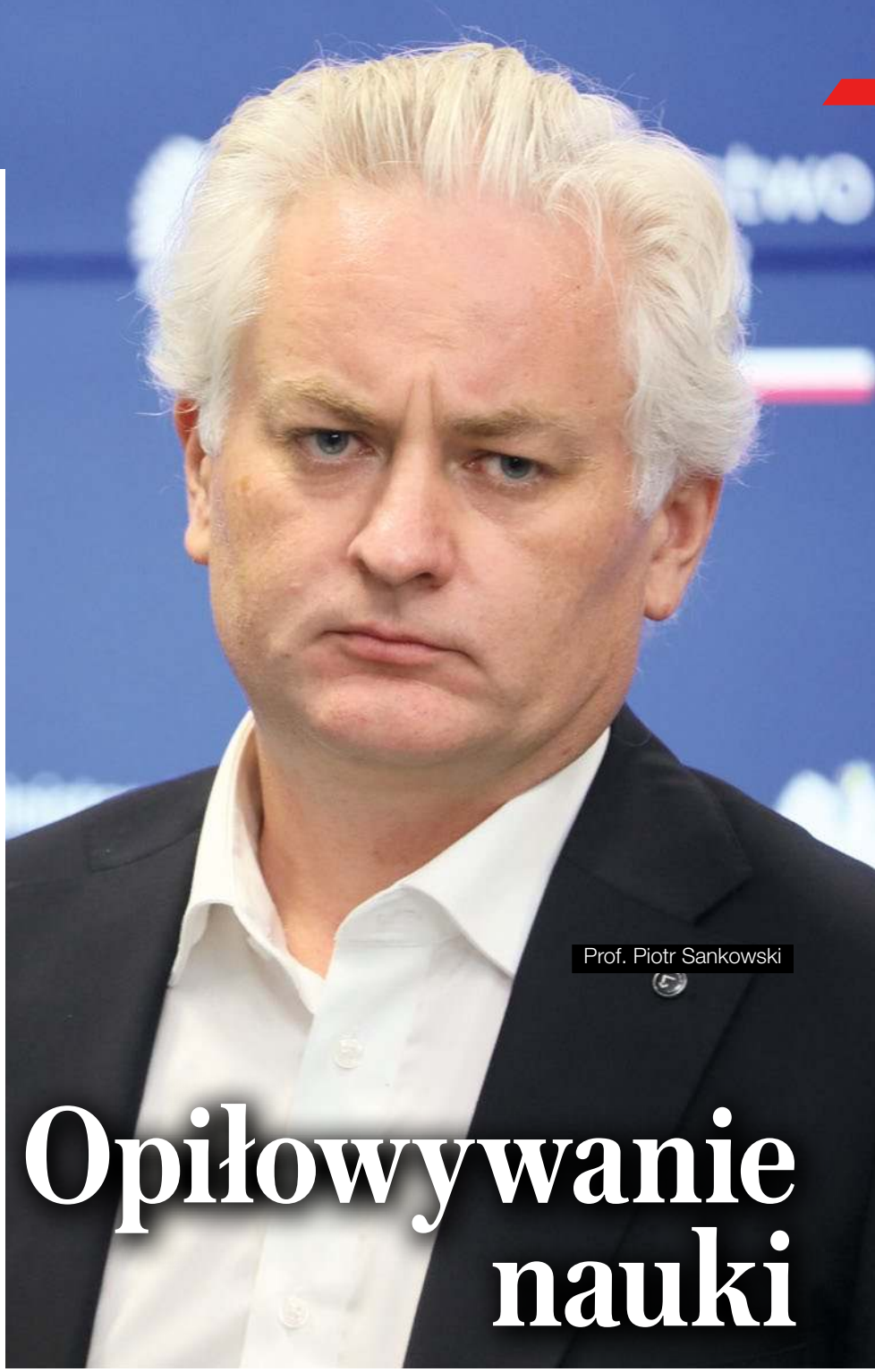

Prof. Piotr Sankowski

Opiłowywanie nauki

W tegorocznym rankingu szanghajskim zestawiającym najbardziej prestiżowe uczelnie świata pierwszy polski akcent znajdujemy dopiero w piątej setce. Tam uplasowały się uniwersytety Jagielloński oraz Warszawski. W dziewiątej setce sklasyfikowano Politechnikę Gdańską, a w dziesiątej – kolejnych pięć uczelni. Ten przykry stan trwa od lat i daje pewne wyobrażenie o kondycji polskiej nauki.

Dlatego z taką nadzieją spoglądamy na nieliczne projekty, które mają szanse w wąskich dziedzinach wywindować polskich badaczy ku czołówce międzynarodowej.

Jednym z nich była spółka IDEAS NCBR zajmująca się rozwojem sztucznej inteligencji (AI). Stworzona trzy lata temu od zera i skutecznie prowadzona przez prof. Piotra Sankowskiego, światowej klasy informatyka pracującego na Uniwersytecie Warszawskim.

W IDEAS zgromadził on zespół ekspertów z najwyższej półki, m.in. z Massachusetts Institute of Technology (najlepsza uczelnia techniczna na świecie) czy Uniwersytetu Oxfordzkiego. Czołowi naukowcy wreszcie wybrali kierunek odwrotny do dotychczasowego – wrócili kontynuować karierę w kraju.

Spółka (a tak naprawdę jednostka badawcza) szybko osiągnęła sukcesy. „Nasza instytucja została trwale wpisana w międzynarodową tkankę badawczą skupiającą najlepsze instytucje na świecie i w Europie, np. ELLIS, ADRA, projekt ELIAS, a także liczne inne projekty badawcze, np. NCN czy ERC, i to wszystko w zaledwie trzy lata od początku tej instytucji. Spływające ze świata głosy wsparcia nie są

Fot. Dawid Wolski/East News

eprasa.pl d64a508a41

przypadkowe i wyraźnie potwierdzają jakość wykonywanej przez nas pracy" – podsumował prof. Sankowski w głośnym wpisie w mediach społecznościowych, w którym przestrzegał, że jego współpracownicy znów zamierzają wyjechać za granicę.

Profesor został bowiem bezceremonialnie odstrzelony przez dyletantów, którzy sprawują dziś pieczę nad polską nauką. Twórca instytutu nie przeszedł „konkursu" na kolejną kadencję, wygrał zaś dr Grzegorz Borowik, kolega z uczelni nowego członka rady nadzorczej zmienionej tuż przed ogłoszeniem rywalizacji o prezesurę. I tak IDEAS padł łupem ludzi o nieporównywalnie mniejszych dokonaniach naukowych.

W geście protestu z rady spółki odeszli więc naukowcy, którzy byli najcenniejszym zasobem tego projektu, a szerokie grono innych oraz środowisko entuzjastów AI napisało list do premiera i ministra nauki. „Zmiana w kierownictwie, szczególnie bez realnego uzasadnienia merytorycznego, zaprzepaści szansę na funkcjonowanie tej instytucji, zahamuje rozwój badań nad AI w Polsce, a także zniechęci wielu najlepszych naukowców rozważających Polskę jako miejsce swojej pracy badawczej i wdrożeniowej". Pod pismem podpisali się m.in. wiceprezes Polskiej Akademii Nauk prof. Dariusz Jemielniak czy prof. Andrzej Dragan, jeden z najbardziej znanych popularyzatorów nauki.

Sprawa zbulwersowała całe środowisko naukowe, a także zaskakująco wielu zwykłych ludzi. Znów okazało się, że uderzenie koalicji rządzącej w wielkie projekty rozwojowe budzi gorący sprzeciw. Podobnie było przy zatrzymywaniu Centralnego Portu Komunikacyjnego, elektrowni jądrowych czy inwestycji w porty.

Ta ekipa nie chce zaakceptować faktu, że Polacy mają wysokie aspiracje i domagają się rozwoju państwa na miarę jego możliwości, a nie redukowania go do roli petenta mocarstw, wiecznie zależnego i zakompleksionego wobec Berlina, Paryża czy Waszyngtonu.

W obszarze innowacji też chcemy mieć coś do powiedzenia. I możemy mieć, bo mamy ku temu potencjał. Największym zagrożeniem w tym procesie są indolenci u władzy.

NIEUKI W NAUCE

Dlatego w rządzie tak panicznie gaszono ten pożar. Gdy wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski na czwartkowej konferencji najpiękniejszymi zdaniami opowiadał o znaczeniu sztucznej inteligencji dla rozwoju Polski, opiece państwa nad naukowcami i wielkim zasobie, jaki stanowi stojący obok prof. Sankowski, partyjny kolega Gawkowskiego odpowiadający w rządzie za naukę i szkolnictwo wyższe bez przerwy potakiwał głową, uśmiechając się sympatycznie. A jeszcze dzień wcześniej ten sam Dariusz Wieczorek w radiowym wywiadzie mówił buńczucznie, że „musi boleć, jeżeli porządkujemy te wszystkie sprawy i oglądamy każdą złotówkę i mówimy, że te patologie muszą się skończyć".

> Gdyby nie burza, jaka wybuchła po bulwersującym rozstrzygnięciu konkursu w IDEAS, lewicowi nadzorcy polskiej nauki doprowadziliby do pogrzebania tego centrum rozwojowego

Był tylko ciut bardziej uprzejmy od Macieja Gduli (nie dostał się do Sejmu, więc został wiceministrem), który tłumacząc wystawienie za drzwi prof. Sankowskiego, zarzucał IDEAS, że nie przynosi zysków – choć nie taki jest cel tej instytucji, a jej sprawozdania finansowe i plany zostały zaakceptowane zarówno przez NCBiR i ministerstwo. „Jeśli prezes nie potrafi kierować spółką, rada nadzorcza powinna go odwołać. To właśnie się stało" – pisał Gdula. Efekt? Wysunął się na czoło osób, których dymisja z rządu jest powszechnie oczekiwana.

Nie zmienił tego nawet jego wpis po dogadaniu się ministrów z prof. Sankowskim: „Dobra wiadomość. Badania podstawowe nad AI na wysokim poziomie znajdą nową formę organizacyjną w instytucie badawczym z prawdziwego zdarzenia pod przywództwem Piotra Sankowskiego". Powyższy rażący błąd ortograficzny wiceministra szkolnictwa wyższego jest najlepszym komentarzem do jakości lewicowych kadr w nadzorze nad polską nauką.

Wicepremier Gawkowski obiecał, że w obszarze sztucznej inteligencji „polski rząd będzie wspierał wszystkich badaczy, nikt nie zostanie na tym polu zaniedbany i na pewno nie pozwoli sobie polski rząd, polskie ministerstwa, żeby jakikolwiek naukowiec został stracony". Warto zapamiętać te słowa. I uważnie patrzeć, jak rząd będzie wygaszał spółkę IDEAS, by przekształcić ją w nowy twór. Można zapytać: po co ta cała operacja? Czy nie wystarczyłoby pozostawić prof. Sankowskiego na stanowisku i pozwolić mu pracować? Owszem, ale na to jest już za późno. Formalnie konkurs się odbył, uradzono więc taką ucieczkę do przodu.

Instytut wymyślony naprędce przez tandem Gawkowski–Wieczorek ma powstać z „przekształcenia" – według słów wicepremiera – a więc pan Borowik jeszcze przez parę miesięcy będzie szefował spółce, którą następnie się zamknie. Być może ostatecznie wyjdzie z tego korzyść dla polskiej nauki, bo paradoksalnie po aferze prof. Sankowski może mieć wiąksze możliwości – organizacyjne, finansowe, a zatem i badawcze. Lecz na razie to pieśń przyszłości, pisana palcem po wodzie. Nic nie wiadomo o strukturze, pieniądzach, kompetencjach. Jest sam pomysł, który politycy mogą jeszcze zarżnąć.

Zresztą mina prof. Sankowskiego w czasie konferencji z ministrami wskazywała, że zachowuje on chłodny optymizm co do przyszłości projektu.

CIĄG SKANDALI

Ta historia stanowi kolejny dowód na to, że temu rządowi trzeba nieustannie patrzeć na ręce. I do końca bić się o pryncypia. Gdyby bowiem nie burza, jaka wybuchła po bulwersującym rozstrzygnięciu konkursu w IDEAS, lewicowi nadzorcy polskiej nauki do-

eprasa.pl d64a508a41

prowadziliby do pogrzebania tego centrum rozwojowego.

Sztuczna inteligencja to oprócz projektów kosmicznych najbardziej elektryzujący obszar naukowy naszych czasów. Nic więc dziwnego, że torpedowanie prac nad nią wywołało takie wzburzenie. A to niestety nie jest odosobniony przypadek.

W lutym minister Gawkowski twierdził, że nie ogłasza konkursów na dyrektorskie stanowiska w ośrodkach takich jak Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa (NASK) czy Centralny Ośrodek Informatyki (COI), bo nie planuje zmieniać ich władz. Tyle że zrobił to już w grudniu, a w kolejnych tygodniach dokooptował im zastępców. Oczywiście bez konkursów.

W COI najbardziej spektakularne było zatrudnienie jako wicedyrektora człowieka, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej wydawał tam przepustki. W styczniu na takie samo stanowisko trafiła tam Maria Thun, córka europosłanki Polski 2050. Wszystko odbyło się drogą towarzyską – CV wędrowało od zainteresowanej poprzez wiceministra Michała Gramatykę, ministra Gawkowskiego do dyrektora COI. Gdy o sprawie stało się głośno, Thun zwolniono.

O tym, jak wygląda codzienność w NASK, napisał w mediach społecznościowych Marcin Kotowski, który w grudniu dołączył tam do zespołu zajmującego się technologią komputera kwantowego.

„Perspektywa jest ambitna: dobre plany badawcze, spory budżet, ma przyjechać na stałą posadę parę dobrych osób z zagranicy, słowem: szansa na robienie nauki na bardzo aktualny temat na wysokim poziomie. [...] Ministrem cyfryzacji zostaje Gawkowski, który wymienia dyrektora – staje się nim Radosław Nielek, który ma »posprzątać« po dotychczasowych, kojarzonych z PiS władzach (o różnych nieprawidłowościach z czasów PiS poczytać można w różnych miejscach). Rychło ambicje naukowe poprzedniej ekipy zostają uznane za »mocarstwowe/niegospodarne« i przyszłość grupy »staje pod znakiem zapytania« [...] Ostatecznie grupa została definitywnie zamknięta w te wakacje i cały ten naukowy potencjał poszedł do śmieci" – pisze załamany badacz.

Zerknijmy do Polskiej Akademii Nauk. 2 października na stronach PAN poinformowano: „Zwłoka Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w pracach nad rozporządzeniem w sprawie warunków wynagradzania niektórych grup pracowników Polskiej Akademii Nauk powoduje, że kilkaset osób już od blisko roku zarabia mniej niż obowiązujące obecnie w Polsce minimalne wynagrodzenie". Bez tego rozporządzenia Akademia nie może podnieść wynagrodzeń. Dyrekcja PAN pisała do ministrów Wieczorka i Gduli już trzykrotnie, ostatnio 23 września. Nie dostała żadnej odpowiedzi.

> Można zapytać: po co ta cała operacja? Czy nie wystarczyłoby pozostawić prof. Sankowskiego na stanowisku i pozwolić mu pracować? Owszem, ale na to jest już za późno

Już kilka tysięcy osób podpisało list otwarty, który do premiera i ministra nauki skierowało ponad 20 naukowców domagających się zwiększenia finansowania Narodowego Centrum Nauki. Przyszłoroczny budżet tej instytucji ma pozostać na starym poziomie, a to według sygnatariuszy „uderzy mocno w nauki podstawowe, fundament badań wdrożeniowych i rozwoju społeczno-gospodarczego. Silne państwo to państwo oparte na praworządności i wiedzy. W takim państwie chcemy żyć, takie państwo chcemy współtworzyć". W piśmie czytamy także: „Bez dostępu do publicznych środków na badania wiele dobrych zespołów rozpadnie się, a wielu polskich naukowców opuści kraj lub zrezygnuje z pracy w nauce. Niepokoi nas również perspektywa zawieszenia programu POLONEZ, który umożliwił powrót do polskiej nauki wielu badaczkom i badaczom wykształconym w zagranicznych ośrodkach naukowych". Wkraczamy na prostą drogę do powiększania się przepaści pomiędzy Polską a światowymi liderami w medycynie, obronności, branży IT czy innych dziedzinach. Naukowcy to widzą, rządzący jeszcze nie. A więc się nie zatrzymują.

Media wielokrotnie donosiły np. o politycznym szturmie na Sieć Badawczą Łukasiewicz. Wicedyrektorem zrobiono tam działacza lewicy Bartłomieja Ciążyńskiego, wiceministra sprawiedliwości. Z obu funkcji musiał zrezygnować w wakacje po aferze z wykorzystaniem służbowego auta do wyjazdu na urlop i płaceniem służbową kartą za paliwo. Prezesem Sieci jest zaś Hubert Cichocki – wcześniej wiceprezes partii Centrum dla Polski, powiązanej z PSL.

Kolejny przykład: szefem GovTech, podległej ministrowi nauki instytucji, został uczelniany współpracownik wiceministra Marka Gzika.

A to przecież tylko garść wydarzeń z kilku miesięcy zarządzania nauką przez koalicję 13 grudnia.

Do tego dochodzą problemy systemowe. Choćby ten z korupcją wokół Polskiej Komisji Akredytacyjnej. To instytucja składająca się z osób powoływanych przez ministra nauki, wyposażonych w olbrzymie kompetencje. Poprzez wydawane opinie decyduje o być albo nie być nie tylko uczelni, lecz także wydziałów czy o możliwości otworzenia lub kontynuowania konkretnego kierunku studiów. Członkostwo w niej może być atrakcyjniejsze niż w NCBiR czy w Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Potwierdzają to działania Centralnego Biura Antykorupcyjnego, którego rzeszowska delegatura w śledztwie dotyczącym wręczania łapówek członkom PKA postawiła zarzuty już 19 osobom, w tym rektorom kilkunastu niepublicznych uczelni wyższych oraz dyrektorowi Polskiej Komisji Akredytacyjnej.

Te puzzle dają koszmarny obraz degradacji nauki, a pudrowanie go okrągłymi zdaniami ministrów gaszących pożary, które sami wywołali, to marny kapitał do patrzenia z nadzieją na rozwój Polski pod takim przywództwem.

eprasa.pl d64a508a41

Czuły opiekun

Wcale nie jest jasne, czy to Donald Tusk od 17 lat opiekuje się Pawłem Grasiem, czy to szef gabinetu premiera roztacza opiekę nad szefem rządu

STANISŁAW JANECKI

Co jest takiego w Pawle Grasiu, że wokół Donalda Tuska zmieniają się wszyscy i wszystko, a on trwa? Niczym Jańcio Wodnik na ławce przed domem (w filmie Jana Jakuba Kolskiego), tylko jego oszczędzają ptaki, wiatry, deszcze, śniegi i wegetacja różnych organizmów. Graś to jedyny współpracownik obecnego premiera, który jest przy nim właściwie nieprzerwanie od 17 lat. Zajmował różne stanowiska rządowe, jednak nigdy te najważniejsze. Ale był i jest najważniejszą osobą przy Tusku w czasie, gdy ten sprawował najwyższe funkcje w Polsce i w Unii Europejskiej.

Nawet politycy Platformy Obywatelskiej w miarę dobrze znający Tuska nie potrafią wytłumaczyć tej dziwnej wzajemnej zależności. Niektórzy z nich porównują ją do relacji łączącej Lecha Wałęsę i Mieczysława Wachowskiego. Tylko pozornie Wachowski był „kapciowym" przewodniczącego Solidarności, a potem prezydenta RP, skoro często wyglądało, jakby to on był szefem. Mówią, że Graś ma zbyt duży wpływ na Tuska jak na stopień formalnych zależności między nimi. Niektórzy w PO postrzegają to tak, jakby premier nie mógł się uwolnić od Grasia. A jednocześnie jest on prawie zawsze na drugim albo nawet trzecim planie. Ale to ma już być wybór samego polityka.

Nawet ci politycy PO, którzy zakładają, że obecny premier potrzebuje zaufanego człowieka do załatwiania spraw, o których nie powinno się mówić, są zdziwieni, dlaczego ktoś taki to akurat Paweł Graś. A jeśli jest takim zaufanym człowiekiem do zadań specjalnych, to nie tylko przypomina Mieczysława Wachowskiego, lecz może nawet bardziej Marka Ungiera, szefa gabinetu prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, wcześniej majora Wojskowej Służby Wewnętrznej. Ungier wydawał się Kwaśniewskiemu niezbędny i był ważnym łącznikiem, np. zdaniem nieżyjącego już miliardera Jana Kulczyka między ówczesnym prezydentem a rekinami polskiego biznesu. Czy Paweł Graś pełni podobną funkcję przy Donaldzie Tusku. Czy pre-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d64a508a41

mier w ogóle takiego łącznika potrzebuje? W każdym razie nawet dawni bliscy współpracownicy szefa rządu uważają, że Graś jest nie tylko tajemniczą, lecz także zaskakująco ważną figurą w otoczeniu Tuska.

U NIEMCA

Właściwie od początku politycznej kariery i obecności przy Donaldzie Tusku Pawła Grasia interesowały przede wszystkim tajne służby i kwestie bezpieczeństwa. W Sejmie IV kadencji (2001–2005) był członkiem komisji nadzwyczajnej ds. rządowego projektu ustawy o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencji Wywiadu. W Sejmie V kadencji (2005–2007) przewodniczył podkomisji stałej ds. współpracy z zagranicą i NATO. Od kwietnia do czerwca 2006 r. był wiceprzewodniczącym komisji nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektów ustaw o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego i Służbie Wywiadu Wojskowego (jednocześnie likwidujących Wojskowe Służby Informacyjne). Z kolei od 26 czerwca 2007 r. Graś był przewodniczącym komisji ds. służb specjalnych. 16 listopada 2007 r. objął stanowisko sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów jako pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa. Do stycznia 2008 r. był nieformalnym koordynatorem służb specjalnych w randze sekretarza stanu. Rok później objął funkcję rzecznika rządu Donalda Tuska.

Politycy przed laty wyrzuceni czy też wypchnięci z PO pamiętają, że za czasów pierwszego rządu Tuska mówiło się, iż Graś odbył jakieś szkolenia z bezpieczeństwa i obronności w USA, Niemczech oraz Kanadzie.

„Super Express" z 2 lipca 2009 r. opisał, jak ówczesny rzecznik rządu, czyli Paweł Graś, za darmo mieszka wraz z rodziną w zabytkowym pałacyku w Zabierzowie pod Krakowem. Nieruchomość należała do niemieckiego przedsiębiorcy Paula Roglera. Formalnie pod tym adresem była zarejestrowana spółka Agemark należąca do Niemca. Przez sześć lat (od 2003 r.) Graś zasiadał w jej zarządzie. Po ujawnieniu tych informacji twierdził, że odkąd zajął się polityką, spółka Agemark nic nie robiła (wcześniej zajmowała się usługami informatycznymi i konsultingowymi, brała udział w przetargach organizowanych przez państwo). „Super Express", a za nim inne media, twierdził, że Graś nie zrezygnował z miejsca w zarządzie Agemarku także jako minister nadzorujący specsłużby. On sam mówił, że zrezygnował, tylko nie zostało to odnotowane w Krajowym Rejestrze Sądowym. Tłumaczył, że jego rodzina korzystała z trzypokojowego mieszkania w willi w siedzibie spółki na mocy umowy o świadczeniu wzajemnym: „Umowa o świadczeniu wzajemnym niepieniężnym została w polskim prawie przygotowana właśnie po to, że nie płaci się od niej podatków. Skoro jest taka forma, to z tej formy skorzystałem [w 1996 r.], wtedy wydawało się, że na krótko i na prowizoryczny czas, ale prowizorki okazują się trwałe". W każdym razie gdy w marcu 2009 r. został rzecznikiem rządu, nie zasiadał już w zarządzie Agemarku.

Prof. Antoni Kamiński, założyciel i pierwszy prezes polskiego oddziału Transparency International, mówił wtedy, że nawet jeśli przyjąć, iż chodzi o umowę o „świadczeniu wzajemnym niepieniężnym", to świadcząc usługę opieki nad domem, Paweł Graś osiągnął konkretny dochód materialny, który można wyliczyć i który powinien znaleźć się w jego oświadczeniu majątkowym.

CIEŃ BND

Paweł Graś pytany w 2009 r. o to, czy powinien „mieszkać u Niemca", jednocześnie nadzorując polskie służby specjalne, ocenił, że gdy to usłyszał, „zapachniało mu latami 50.". Powiedział też wtedy: „Nie jestem niemieckim szpiegiem". Problem był o tyle istotny, że chlebodawca polityka Paul Rogler był ponoć obserwowany przez służby nadzorowane przez Grasia pod kątem tego, czy przedsiębiorca mógł współpracować z niemieckim wywiadem, a nawet czy mógł być tzw. nielegałem w Polsce. To niełatwe do zweryfikowania, gdyż późniejsi szefowie służb to w większości koledzy i znajomi Pawła Grasia z dawnych czasów i albo nie chcieli o tym mówić, albo zasłaniali się tajnością tego rodzaju operacji. Trudno więc rozstrzygnąć, czy gdy w styczniu 2008 r. polityk zrezygnował z funkcji koordynatora służb, te nie miały już powodu sprawdzać, czy mógł mieć kontakty z przedstawicielem BND, nawet nie wiedząc, z kim ma do czynienia. A może nie chciały tego robić?

Z punktu widzenia obcych służb Paweł Graś mógł być wart uwagi, nie tylko z powodu swoich zainteresowań polskimi służbami i bezpieczeństwem. W czasie studiów oraz gdy działał w NZS aktywni i znani mu byli ludzie, którzy później zajmowali ważne stanowiska w tajnych służbach, np. Konstanty Miodowicz, Bartłomiej Sienkiewicz, Maciej Hunia, Krzysztof Bondaryk, Zbigniew Nowek, Wojciech Brochwicz.

Gdy wyszła sprawa „pracy u Niemca" i pojawiły się podejrzenia wobec Roglera, media i politycy spekulowali, czy służby nie chciały się zajmować tym, kim tak właściwie jest Niemiec oraz czy i jak mógł wykorzystać opiekuna swojej nieruchomości w Zabierzowie. Wtedy pojawiły się też domniemania, że polski kontrwywiad interesował się Roglerem już na początku lat 90., sprawdzając, czy i co łączyło go z Ryszardem Tomaszkiem, szpiegiem BND, aresztowanym i skazanym w 1992 r. na siedem lat więzienia.

1 grudnia 2014 r. Paweł Graś został starszym doradcą ds. polityki i komunikacji odpowiedzialnym za kontakty z Parlamentem Europejskim, parlamentami narodowymi i partiami politycznymi przy ówczesnym przewodniczącym Rady Europejskiej Donaldzie Tusku. Pełnienie tej funkcji zakończył 30 listopada 2019 r. W Brukseli Grasia traktowano jak ucho Tuska. Urzędnicy z innych krajów uważali go za kogoś, komu nie wchodzi się w drogę. W grudniu 2019 r. polityk został szefem gabinetu Tuska jako przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej. Gdy ten w lipcu 2021 r. wrócił do krajowej polityki, Graś pozostał w Brukseli (był dyrektorem ds. „zgodności" w Komisji Europejskiej), ale cały czas miał bliskie kontakty z „kierownikiem". Ale gdy tylko Tusk został premierem, jego najbliższy współpracownik wrócił do kraju. W lutym 2024 r. objął stanowisko szefa Gabinetu Politycznego Prezesa Rady Ministrów, czyli Donalda Tuska.

Związki Pawła Grasia ze służbami i jego zainteresowania tymi kwestiami przez lata rodziły pytania, czy nie jest tak, że to obecny szef gabinetu politycznego premiera opiekuje się nim, a nie odwrotnie. Pytano, czy jest w tym drugie albo trzecie dno. W końcu to naprawdę fascynujące, dlaczego Paweł Graś jest jedynym współpracownikiem trwającym przy Donaldzie Tusku praktycznie nieprzerwanie od 17 lat. Co czyni go niezatapialnym?

eprasa.pl d64a508a41

Czego może nas nauczyć tragedia Julii?

Czasami tragedia, która nie musiała się wydarzyć, budzi sumienie każdego z nas. Ale pozostaje pytanie, dlaczego wszyscy byli odwróceni

GORAN ANDRIJANIĆ

Takie wydarzenie za każdym razem jest omawiane, dyskutujemy o jego powodach i staramy się wyciągnąć z niego wnioski, zastanawiając się, co zrobić, aby zapobiec podobnym historią. To, co wydarzyło się w Lubinie dwa tygodnie temu, można opisać właśnie jako tragedię, której można było uniknąć.

16-letnia Julia Zięba popełniła samobójstwo, bo nie mogła już znieść przemocy, hejtu i poniżania, na jakie była narażona ze strony swoich rówieśników. Tym, co szczególnie bolesne, jest fakt, że nienawiść płynęła w jej kierunku przez prawie pięć lat praktycznie bez przeszkód.

Zaczęło się od ataków internetowych podczas pandemii, kiedy dzieci uczyły się zdalne. Nie skończyły się one, kiedy Julia wraz z rówieśnikami wróciła do szkoły.

Krytykowano niemal wszystko. Śmiano się z tego, jak się ubiera, jak mówi i jak się zachowuje. Kiedy jej prześladowcy zobaczyli, że taka przemoc ma ogromny wpływ na wrażliwą dziewczynę, stali się wobec niej jeszcze okrutniejsi. W pewnym momencie Julia została zaatakowana fizycznie.

Jej rodzice starali się zrobić wszystko, co mogli. Zgłosili przemoc wobec dziecka władzom szkoły, a następnie policji, ale ich działania nie przyniosły oczekiwanego skutku. Kiedy przychodzili do szkoły, słyszeli od odpowiedzialnych osób, że są „zbyt wrażliwi". Jak tłumaczył mediom Wojciech Zięba, ojciec Julii, żadna z rozmów, jakie odbyli z różnymi instytucjami, nie pomogła.

Paradoksalnie wysiłki rodziców mające na celu ochronę dziecka jeszcze wzmogły nienawiść wobec ich córki. Powstało błędne koło, które ostatecznie zakończyło się śmiercią Julii.

Samobójstwo dziewczyny wstrząsnęło całą Polską, ale przede wszystkim miastem, w którym żyła. Pod koniec września lublinianie wyszli na ulice, aby wyrazić swój smutek i protest w związku ze śmiercią Julii w marszu milczenia.

ZACHOWAĆ OSTROŻNOŚĆ

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Polacy mogą zadać sobie kilka ważnych pytań.

Dr Szymon Grzelak, psycholog i prezes Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej (IPZin), organizacji, która ma na celu wspieranie rozwoju i zapobieganie problemom dzieci i młodzieży, mówi nam, że są dobre i niedobre sposoby przeżywania tragedii.

– I to jest ważny wątek, którego jak dotąd nie zauważyłem w dyskusji publicznej. Marsz milczenia to dobra forma. Sprzeciw wobec hejtu w internecie też jest potrzebny, o ile nie łączy się go z natychmiastowym skazaniem i osądzeniem winnych konkretnej tragedii. Pytania o to, dlaczego wzrasta liczba samobójstw, refleksja nad tym, czy i jak można było zapobiec samobójstwu Julii, zbadanie, kto i jakich procedur nie dopełnił – to wszystko ma sens. Tragedię, która nas dotyka albo która

Fot. Tomasz Golla/Super Express/East News

eprasa.pl d64a508a41

wzbudza naszą empatię, trzeba przeżyć, stawiając jej czoło, wyciągając wnioski. Dobrze jest przeżywać ją wspólnie, społecznie, bo dobre wspólne przeżycie pomoże w większej uważności i szybszym reagowaniu w podobnych sytuacjach w przyszłości – mówi psycholog, dodając, że widzi jednak „sporo niepokojących przejawów złego przeżywania tej tragedii".

– W większości przypadków przyczyny samobójstwa są złożone i błędem jest szybkie wskazywanie jednego czynnika, który był decydujący, a tym bardziej szybkie wskazywanie winnych. Tymczasem przeglądając media, można odnieść wrażenie, że w przypadku Julii wszystko wiadomo; wiemy, kto jest winien (rówieśnicy i kadra kolejnych szkół, do których chodziła Julia). Winni zostali wskazani, zaocznie osądzeni i publicznie potępieni, bo to właśnie oni hejtowali, nie zareagowali, nie wykazali empatii. Czy osąd ten jest sprawiedliwy? – zadaje pytanie dr Grzelak, zaznaczając, że „jednoczenie się w szybkim i jednoznacznym, publicznym potępianiem nie jest empatią i nie służy budowie więzi społecznych".

– Jestem poruszony tragedią Julii. Od ponad 30 lat zajmuję się młodzieżą, prowadząc badania naukowe i rozwijając działania profilaktyczne, których celem jest zapobieganie różnym problemom, w tym samobójstwom. Moje doświadczenie nakazuje mi uruchomić wyobraźnię i wczuć się w sytuację rówieśników z najbliższego otoczenia Julii – także jej nauczycieli, psychologów, pedagogów i dyrektorów szkół, do których chodziła. W tej chwili wszyscy oni zostali publicznie zlinczowani. Jak teraz się czują w swoich lokalnych społecznościach? Czy ten zbiorowy osąd nie doprowadzi do kolejnej tragedii? Czy wśród publicznie osądzonych nie znajdzie się wrażliwa osoba, która nie wytrzyma tej presji, bo nie tylko nie dołożyła cegiełki do tragedii, lecz także może nawet próbowała coś zrobić, próbowała jakoś pomóc Julii? – ostrzega psycholog.

NIEBEZPIECZNY INTERNET

Jednym z pierwszych pytań po śmierci Julii jest to, dlaczego jej rówieśnicy tak się zachowali. Czy można mówić o rosnącym braku empatii wśród młodych ludzi? Czy jest możliwe, że większy wpływ na wychowanie dzieci ma internet niż rodzice?

Tutaj Grzelak też ostrzega, że nie należy się spieszyć z wnioskami. – Z obserwacji i badań wiem, że więzi społeczne nie umarły. Empatia i postawa troski o innych wciąż jest widoczna u wielu młodych i wielu starszych. Bezmyślność, okrucieństwo i inne złe rzeczy zdarzają się wśród młodych i starych. W świetle badań, które prowadzi nasz instytut, wpływ rodziców i nauczycieli na dzieci i młodzież nadal jest duży. Zdecydowana większość nastolatków wskazuje rodziców jako najważniejszych życiowych przewodników, wielu zwraca uwagę na babcię lub dziadka, a także nauczycieli. Tak, autorytety internetowe i popkulturowe również mają wpływ na młodzież, część z nich niestety bardzo zły. Internetowe podwórko to miejsce dzikie i niebezpieczne. Według bardzo dużych, międzynarodowych badań London School of Economics przeprowadzonych w ponad 20 krajach UE dwie rzeczy, które najbardziej przeszkadzają młodzieży w internecie, to przemoc i pornografia. Jest to problem, który wymaga mądrego rozwiązania, by nie wylać dziecka z kąpielą. Wprowadzanie ograniczeń, np. pod hasłem ochrony dzieci przed hejtem, nie powinno być używane jako okazja do ideologicznego sterowania jednostronnie rozumianą poprawnością polityczną.

SIEĆ WSPARCIA I WIARA

Jaki jest najlepszy sposób, aby zapobiec takim wydarzeniom wśród młodych ludzi? Dr Grzelak odpowiada:

– Kluczowe jest to, by młody człowiek miał wokół siebie szeroką i sprawną sieć wsparcia, w której wszyscy mają swoją rolę – rodzice, dalsza rodzina, wychowawcy, rówieśnicy. Ważne jest to, by problemy były wychwytywane na wczesnym etapie. Wtedy często nie trzeba jeszcze interwencji profesjonalisty. Gdy jednak osoby z otoczenia nie umieją sobie poradzić z sytuacją, trzeba prosić profesjonalistów o pomoc i upewnić się, że została ona zaoferowana. Jest jeszcze jeden, trochę zapomniany element sieci wsparcia, który w skali społecznej odgrywa ważną rolę, chociaż nie obejmuje wszystkich. W sprawach takich jak przeciwdziałanie samobójstwom wśród dzieci i młodzieży jest potrzebne szukanie rozwiązań opartych na szerokim konsensusie społecznym, w którym wyraz znajdzie zarówno wrażliwość świecka, jak i religijno-duchowa. Wspominam o tej ostatniej, bo z wyników badań, które prowadzimy, w tym badań opublikowanych w naszym najnowszym raporcie „Jak wspierać młodzież w niestabilnym świecie", wyraźnie widać, że dla ponad 70 proc. polskiej młodzieży ważnym czynnikiem chroniącym przed złą kondycją psychiczną jest religia i odniesienie do Boga. Ta ochrona w pewnym stopniu dotyczy nawet tych nastolatków, którzy nie chodzą do żadnego kościoła i którzy „zwracają swoje myśli do Boga" tylko kilka razy w roku. Okazuje się, że średnio biorąc, ich kondycja psychiczna jest lepsza niż nastolatków niemających żadnego osobistego odniesienia do Boga i wiary.

SIŁA WSPÓLNOTY

Szef IPZin zauważa, że w wypowiedziach po takich zdarzeniach, jak tragiczna śmierć Julii, słusznie zwraca się uwagę na rolę właściwych procedur w szkołach i innych instytucjach.

– Za mało mówi się jednak o tym, że siła społeczeństwa w zapobieganiu podobnym tragediom leży w szanowaniu, docenianiu i rozwijaniu wszystkich zasobów, które w świetle badań pomagają chronić młodzież i wychowywać młodych na odpornych, dobrych i wrażliwych ludzi – mówi psycholog.

Żyjemy w czasach, w których młodzi ludzie są narażeni na negatywne wpływy otaczającego nas świata. Ten wpływ istniał zawsze, ale nigdy nie był tak skuteczny i szybki jak dzisiaj. Jedynym sposobem, w jaki możemy jako rodzice uchronić nasze dzieci przed staniem się ich ofiarami, jest to, że wszyscy ponosimy odpowiedzialność, którą musimy wziąć na siebie. Samobójstwom nastolatków i występującej wśród nich przemocy można zapobiec jedynie poprzez działanie jako społeczność. Tylko wtedy takie tragedie jak śmierć Julii będą się zdarzać coraz rzadziej.

eprasa.pl d64a508a41

Gorszący szantaż

W europejskich stolicach od dawna szukają unijnego osła, który otwarcie zaprotestuje przeciw wpuszczeniu Ukrainy do UE i zdejmie cały kłopot z Paryża, Berlina, Rzymu czy Hagi. Ma być nim Polska, w której wcześniej czy później musi się przecież odezwać historyczny antyukraiński resentyment

JAN ROKITA

Dwa lata temu na prośbę organizatorów forum w Mikołajkach moderowałem debatę kilku polskich polityków na temat regresu jakości politycznego przywództwa w Europie. Jednym z uczestników dyskusji był prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, który w tamtym czasie nie pełnił jeszcze żadnych funkcji państwowych. A że był to początkowy rok wojny toczącej się na wschodzie Europy, więc na plan pierwszy debaty wysunęła się kwestia, w jaki sposób przywódcy demokratycznego świata wywiązują się z powinności wsparcia napadniętej Ukrainy.

MARZENIA O UNII

Pogląd wyrażony wówczas przez Kosiniaka-Kamysza był pewnym zaskoczeniem, zważywszy na znaną z przeszłości filomoskiewską optykę PSL i zamiłowanie jej liderów do wspierania interesów z Moskwą (albo nawet bezpośredniego uczestnictwa w nich). Tymczasem Kosiniak-Kamysz uznał wówczas, iż wojna stwarza polityczną koniunkturę dla stworzenia państwowej unii polsko-ukraińskiej.

Oczywiście był to czas, gdy w Polsce dość szeroko rozpowszechniona pozostawała nadzieja, iż dziejąca się historia na naszych oczach przełamuje mroczny syndrom polsko-ukraińskich relacji, datujący się co najmniej od czasu hetmana Bohdana Chmielnickiego i księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, czyli od połowy XVII w. Niestety tamta nadzieja okazała się całkowitym złudzeniem, co tacy jak ja konstatują dziś z głębokim smutkiem. Zapewne także Kosiniakowi-Kamyszowi w Mikołajkach udzieliła się ówczesna atmosfera wielkich nadziei. Ale choć nadzieję na przełamanie historii podzielało w Polsce wielu, to jednak nikt z pierwszoplanowych polityków, właśnie poza Kosiniakiem-Kamyszem, nie roił publicznie iluzorycznych marzeń o jakiejś unii.

Rzecz miała nawet spory odzew w mediach, a Kosiniak-Kamysz tłumaczył, iż szło mu o tak daleko idący związek Polski i Ukrainy, który nie naruszałby obowiązków wynikających z polskiego członkostwa w Unii Europejskiej. Niemniej tamto zdarzenie zapadło mi w pamięć, bo pomyślałem wtedy, iż być może Kosiniak- Kamysz w roli prezesa PSL radykalnie odmienia koncept polskiej polityki wschodniej, charakterystyczny dla takich niegdysiejszych liderów stronnictwa, jak Waldemar Pawlak, Lesław Podkański czy Tadeusz Samborski.

Nic więc dziwnego, że ostatnio przecierałem oczy ze zdumienia, słuchając tego samego Kosiniaka-Kamysza, tyle że dziś w roli ministra obrony, który pod-

eprasa.pl d64a508a41

czas oficjalnej wizyty w Waszyngtonie mówił do radia, że Polska będzie blokować negocjacje o przystąpieniu Ukrainy do Unii Europejskiej, o ile Kijów nie zmieni swojej polityki historycznej w sprawie rzezi wołyńskiej 1943 r. Moje zdumienie, że niedawny głosiciel „unii polsko-ukraińskiej" stawia się teraz w roli czołowego polskiego adwersarza Ukrainy było tym większe, że Kosiniak- Kamysz wybiera dla wygłoszenia swej deklaracji akurat stolicę USA, i to w czasie, gdy w tamtejszej kampanii wyborczej waży się właśnie przyszłość amerykańskiego poparcia dla Kijowa. Trudno przypuszczać, by taki wybór nie został uczyniony z premedytacją, bo nie zakładam, iż polski wicepremier i szef MON mógłby zrobić coś takiego przez przypadek.

Kosiniak-Kamysz powtarza tezę, którą przed laty wygłosił już inny polski minister – Witold Waszczykowski. Ale to był 2017 r., pięć lat przed moskiewską nawałą pancerną na Kijów, a i tak polski ambasador Jan Piekło otrzymał wtedy notę protestacyjną ukraińskiego rządu. Tamte słowa Waszczykowskiego odnowiły zresztą falę starych ukraińskich kompleksów na temat „polskich panów", którzy znów chcą dyktować Ukraińcom to, w jaki sposób mają żyć i kogo czcić jako swoich bohaterów.

> Przecierałem oczy ze zdumienia, słuchając Kosiniaka-Kamysza, który podczas oficjalnej wizyty w Waszyngtonie mówi do radia, że Polska będzie blokować negocjacje o przystąpieniu Ukrainy do Unii Europejskiej

W TYŁ ZWROT

Ale potem przyszedł 2022 r., a wraz z nim niezliczone świadectwa polskiej solidarności z napadniętymi sąsiadami. I Ukraińcy zdążyli zapomnieć, iż to właśnie rząd w Warszawie, a nie w jakimś Paryżu, Hadze czy Rzymie, gdzie zawsze panował sceptycyzm wobec europejskich dążeń Ukrainy, może wziąć na siebie rolę tego, kto oficjalnie złoży sprzeciw wobec ukraińskiej akcesji do UE. Teraz Kosiniak- Kamysz postanowił im to przypomnieć – mocno i dobitnie.

„Mam nadzieję, że do końca mojej prezydentury będzie jakiś przełom w tej sprawie" – mówił na antenie Polsatu prezydent Andrzej Duda, pytany o stanowisko Ukraińców w sprawie ekshumacji ofiar rzezi wołyńskiej. Po czym, nawiązując wprost do Kosiniaka-Kamysza, dodał w ostrym tonie: „Natomiast nie chciałbym, żeby to się odbywało poprzez gorszący szantaż, który, moim zdaniem, nie przyniesie dobrych efektów". Duda przypomina rzecz oczywistą, że przecież cały Majdan i rewolucja 2014 r. w Kijowie dokonały się na skutek próby zablokowania umowy stowarzyszeniowej Ukrainy z Unią podjętej przez Moskwę rękoma jej agenta – prezydenta Janukowycza. Dlatego głowa państwa traktuje zapowiedzi Kosiniaka-Kamysza jako „wpisywanie się w politykę Putina".

Bez dwóch zdań – z perspektywy interesów Moskwy każde ultimatum stawiane dziś w Warszawie Ukraińcom, niezależnie od tego, czy dotyczy przystąpienia do Unii, czy eksportu zboża, jest traktowane jako sukces w globalnej kampanii dyplomatycznej, którą Kreml prowadzi przeciwko interesom Ukrainy. Tyle tylko, że w dzisiejszych okolicznościach polskiej polityki zarzut politycznego działania na rzecz Putina pełni funkcję rytualną i nie jest już brany na serio przez nikogo przytomnego. Powiedzieć dziś komuś w polskiej

Fot. Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl d64a508a41

polityce: „działasz na rzecz Putina" to tak samo, jakby użyć jakiegoś popularnego i obraźliwego wulgaryzmu, np. „ty sk...synu". Nie ma to żadnego istotowego związku z Moskwą, ale budzi złość i pragnienie odwetu. A że każdy polityk atakujący dziś Dudę nabija sobie „punkty dodatnie" u Tuska, PSL-owcy hurmem korzystają teraz z okazji, by choć trochę poprawić sobie notowania u premiera, od którego zależy ich polityczny los i wszelkie awanse.

Za ciosem poszedł też sam Kosiniak-Kamysz, który po powrocie z Ameryki rozwinął i wzmocnił swoje antyukraińskie ultimatum. W nowym wydaniu jego przedmiotem są już nie tylko ekshumacje na Wołyniu, lecz także bardziej ogólnie „bilateralne relacje gospodarcze czy historyczne, które muszą być wyjaśnione". Kosiniak-Kamysz otwiera zatem szerokie i bliżej nieokreślone pole, na którym chciałby stawiać Ukraińcom jakieś dalsze warunki polskiego poparcia dla ich akcesji do UE. A przy tym mocno przesądza o antyukraińskim stanowisku swojej partii, wyłączając zeń tylko (chwała Bogu) kwestie „militarne i humanitarne", wprost wynikające z toczącej się wojny. W wywiadzie dla Wirtualnej Polski mówił: „Ukraina nie wejdzie do Unii Europejskiej, nie będzie na pewno zgody. Jeżeli państwa członkowskie będą wyrażać swoją zgodę, to my jako środowisko polityczne, jako PSL, będziemy przeciwko temu. Jeżeli Ukraina nie rozwiąże sprawy Wołynia, nie będzie ekshumacji, upamiętnienia [...]". Jak na ministra obrony odpowiedzialnego za budowanie dobrej atmosfery współpracy z Kijowem w czasie wojny, to jest już jazda na całego: PSL w roli potęgi, która uniemożliwi rozszerzenie Europy na wschód!

UNIJNY OSIOŁ

W przeciwieństwie do ministra obrony prezydent mający już spore doświadczenie w pracy z ekipą Zełenskiego twierdzi, że takim „gorszącym szantażem" niczego się dziś w Kijowie nie załatwi. Zresztą z historii dobrze wiemy, że pod silną presją Ukraińcy zawsze tylko hardzieli, co nawiasem mówiąc, przez wieki upodabniało ich do Polaków i Litwinów, czyli obywateli niegdysiejszej Rzeczypospolitej.

W polemice z Kosiniakiem-Kamyszem Duda posługuje się więc dwoma argumentami: pragmatycznym (tą metodą niczego się nie ugra) i geopolitycznym (nie należy wspierać wysiłków dyplomacji moskiewskiej). Ale prezydent nie odwołuje się tu do najważniejszego argumentu, do którego z oczywistych powodów nie może odwołać się publicznie. Domniemywam jednak, że między Dudą i Kosiniakiem-Kamyszem właśnie tu jest zasadnicza różnica. O ile prezydent zna i rozumie ów kluczowy argument, ale nie może się nim posłużyć, to lider PSL ani go nie zna, ani nie rozumie. Bo gdyby było inaczej, to nie mówiłby tego, co teraz mówi.

To, czego nie może powiedzieć głowa państwa, może napisać publicysta. Powiedzmy sobie zatem pełną prawdę, tak jak ona dzisiaj realnie wygląda. Szansa na to, że Ukraina zostanie członkiem Unii Europejskiej w perspektywie najbliższego pokolenia, jest bliska zeru. A przyczyną tego oczywiście nie jest i nie będzie Kosiniak-Kamysz czy antyukraińskie stanowisko PSL.

> To, czego nie może powiedzieć głowa państwa, może napisać publicysta. Szansa na to, że Ukraina zostanie członkiem Unii Europejskiej w perspektywie najbliższego pokolenia, jest bliska zeru

Do UE nie zamierzają wpuścić Ukrainy ani Francuzi, ani Holendrzy, ani Włosi, gdyż tak duże otwarcie Unii na wschód radykalnie kłóciłoby się z ich interesami. W Paryżu czy Rzymie nie od dziś otwarcie labiedzi się nad sławnym rozszerzeniem o Polskę, Czechy, Słowację, Węgry i kraje bałtyckie z 2004 r., uważając je za przyczynę spadku znaczenia tych stolic w Unii i rosnącej hegemonii Niemiec. Jednoznacznie proniemiecka Ukraina w UE jawi się elitom tych narodów jako perspektywa ich politycznej katastrofy. Jedynym silnym państwem europejskim, które może mieć interes w akcesji Ukrainy, są oczywiście Niemcy. Ale prawdę mówiąc, nikt, w tym również rząd w Berlinie, na razie nie wie, czy w krytycznym momencie Niemcy zdecydują się holować Kijów na siłę do Unii, czy też wystraszą się ryzyka takiego przedsięwzięcia. Na razie bardziej prawdopodobne wydaje się to drugie.

Jaki to wszystko ma związek z Dudą i Kosiniakiem-Kamyszem? W europejskich stolicach od dawna szukają unijnego osła, który otwarcie zaprotestuje przeciw wpuszczeniu Ukrainy i zdejmie cały kłopot z Paryża, Berlina, Rzymu czy Hagi. W nadziei, że taki osioł zawsze się znajdzie, państwa te prowadzą dziś grę z Zełenskim, składając mu obietnice, z których nie zamierzają się wywiązać. W Europie jest taki układ sił, że nie da się na serio zrzucić odpowiedzialności za blokadę akcesji na otwarcie antyukraińskie rządy Węgier czy Słowacji. Zbyt mało znaczą one w Unii, a w Kijowie też rozumieją, że tak czy inaczej sprzeciw Bratysławy bądź Budapesztu zawsze może zostać skutecznie spacyfikowany przez Berlin.

Dlatego w europejskich gabinetach już dawno wytypowano do roli osła inne państwo, o wiele istotniejsze w Unii. Ma nim być Polska, w której wcześniej czy później i tak musi się przecież odezwać historyczny antyukraiński resentyment. Duda jest tego świadom i dlatego przestrzega przed „gorszącym szantażem". Kosiniak-Kamysz pasuje do tej wyznaczonej roli jak ulał. Z taką samą łatwością mógł opowiadać w Mikołajkach o budowie unii polsko-ukraińskiej, jak w Waszyngtonie ogłaszać ultimatum dla Kijowa. Cóż, politycy, którzy tak naprawdę nie mają żadnego zdania na temat tego, na czym polega polski interes, są chyba znakiem firmowym obecnego obozu rządzącego.

eprasa.pl d64a508a41

To słowa budują człowieka

Wystąpienie Jana Polkowskiego, laureata nagrody im. Lecha Kaczyńskiego, na kongresie Polska Wielki Projekt

JAN POLKOWSKI

Żyjemy w czasach, których konstytutywną cechą jest fanatyczna niewiedza. Tę zaangażowaną ideowo ignorancję twórczo wspiera wstręt do zadawania sobie pytania, kim jestem, a tym bardziej – kim są bliźni. Oświecony ideologią człowiek XXI w. stał się zaciekłym wrogiem faktów i z radosnym uporem wybiera życie pogrążone w nierzeczywistości, czy raczej w antyrzeczywistości.

Zasmuca mnie ten stan, więc chciałbym wykorzystać okazję otrzymanego wyróżnienia i łaskawe zaproszenie na spotkanie, aby zamanifestować mój skromny sprzeciw wobec gorszącego lęku przed zrozumieniem siebie oraz otaczającego świata i opowiedzieć krótko o okolicznościach mojego duchowego wzrastania, naszkicować początek historii kogoś, kim być może jestem albo staram się być. Przyznaję, że ta kwestia zajmuje mnie mocno od 70 lat. Państwu zajmę nieco mniej czasu.

Zacznę od przodków po mieczu, bo myślę, że to oni mogli sprawić, że wcieliłem się w chłopca w sporej części podobnego do Marcina Borowicza, bohatera „Syzyfowych prac". To on przypomina mi, że tożsamość spleciona z pamięcią wspólnoty jest źrenicą indywidualnej i narodowej wolności. Tak jak on byłem w dzieciństwie poddawany przez ówczesnych wielbicieli postępu tajnym, jawnym i dwupłciowym próbom podmiany osobowości.

Moi antenaci ze strony ojca musieli się cieszyć szacunkiem lokalnych społeczności, bo byli wybierani zarówno na funkcje honorowe, jak i urzędy. Był wśród nich m.in. strażnik ziemi litewskiej, rotmistrz powiatu upickiego, pisarz ziemski i chorąży powiatu święciańskiego, podkomorzy, sędzia graniczny, podczaszy ziemi bełdskiej, prezydent sądu grodzkiego, a jeden z nich, co może być bliskie zebranym tu strażnikom pamięci o Lechu Kaczyńskim, zasiadał w komisji powołanej dla wykrycia nadużyć w finansach miasta Wilna.

Fakty jednakowoż są takie, że nikogo spośród nich nie poznałem, nawet ojca mojego ojca, nie mówiąc o buszowaniu w domowych pieleszach rodowych gniazd i strzelaniu o północy do szacownych portretów. Wiedza bierna również jest skromna za przyczyną, cytuję, „zgorzenia archiwum w majątku Tadeusza Polkowskiego Jodziszki w novembrze 1798 roku". Ich opowieści wiszą więc nade mną jak chmara dymu lub ptactwa wiecującego przed odlotem i kreślą znaki zapytania, na które poza mną nie ma kto odpowiedzieć.

Żeby zrównoważyć ten wielce symboliczny obraz, spieszę donieść, że wywodzę się również z szorstkiego jasnogórskiego ludu oraz z gromady uciemiężonych kobiet i mężczyzn, którzy koczowali w blokowiskach Nowej Huty, a więc z rodu ludzi bogatych w pragmatyzm i życiowy realizm, którzy ostatecznie uniemożliwili powstanie miasta bez Boga – pomnika socjalizmu. Jego wymyśleni i zaprojektowani w czerwonych gabinetach mieszkańcy postanowili w prawdziwym życiu pozostać przy prymitywnym kreacjonizmie, średniowiecznych zabobonach i przekonaniu opartym na romantycznym złudzeniu, że wolność człowieka i niepodległość narodu są do czegoś potrzebne smarowaczkom wagonów, cieślom budowlanym i operatorom suwnic w walcowni blach na zimno.

Moi przodkowie po kądzieli stopniowo odchodzili od uprawy ziemi i z chłopów stawali się rzemieślnikami oraz drobnymi sklepikarzami.

Ten proces wiązał się z wchłanianiem przez Częstochowę, należącą przed okresem zaborów do paulinów, wsi Lisiniec, co ostatecznie stało się w 1928 r., gdy moja mama miała roczek. Może to moi chłopscy przodkowie sprawili, że zawsze przedkładałem plany nad marzenia i konkret oraz zmysłowy związek z ziemią nad swobodę podróżnej wyobraźni.

Najbliższą sąsiadką mojej śp. mamy była, oprócz biedy, Matka Boska

eprasa.pl d64a508a41

Częstochowska i mimo kilku przeprowadzek do odległych od siebie miejscowości pozostała nią, jak sądzę, do dzisiaj.

Jej blizny na śniadym policzku zawsze budziły we mnie jątrzący niepokój, którego długo nie potrafiłem nazwać i zracjonalizować, a tym bardziej uśmierzyć.

Moją skośnooką, zielonooką mamę porywały w jasyr piękne zdania, wspaniałość słów zrośniętych z tragiczną urodą darowanego losu. Na początku była ona, jej słowo, które stało się światem, jej przenikający czas czysty głos, bezwiednie nucone piosenki i zapisane regularnym pismem zeszyty, które pękały od przenikliwych i melodyjnych sentencji i rozkwitających mądrością myśli.

Nieco później przyszli jej i mnie na pomoc ewangeliści, a za nimi plejada pisarzy i poetów z Sienkiewiczem i Żeromskim w pierwszym szeregu. Żeromskiemu, pisarzowi do bólu aktualnemu, którego dzisiaj obrzydza się i poniewiera, chcę oddać szczególny hołd. To on dzięki pisarskiej pasji, a zarazem dystansowi i ironii, swobodnemu, rozległemu stylowi, który nasycił groteskowym humorem i bolesną szczerością wobec opisywanego świata, nauczył mnie traktowania Polski bardziej jako rozrzuconej w historii idei, wyzwania i zobowiązania niż zestawu instytucji i kodeksów. To dzięki takim jak on mistrzom namysłu nad największymi zagrożeniami dla polskiego trwania zrozumiałem, że język nie tylko umożliwia nazywanie i współodczuwanie, lecz także jest schronieniem dla czegoś, czego obecnie już nie wolno bez narażenia na szyderstwo nazywać pięknem, dobrem i prawdą.

Jan Polkowski z nagrodą im. Lecha Kaczyńskiego. Obok były wicepremier i minister kultury Piotr Gliński

Fot. Polska Wielki Projekt

Bardzo wcześnie – wtedy, kiedy jeszcze nie rozumiałem, że światem włada chaos – odczułem, że to słowa budują człowieka, chronią, oswajają jego świat i pomagają wbrew przeciwnościom w poszukiwaniu kojącego porządku. Ale już wtedy przez dziecinną skórę przebijała się prawda, że język jest narażony na nieustanny szantaż, że przemocą zmusza się go do kłamstwa i wreszcie, że początek każdej wojny można rozpoznać po brutalnym ataku na język.

Człowiek może dostrzec świat dopiero wtedy, gdy zacznie go nazywać. To jest przesądzający moment, który u ludzi rozumnych nigdy się nie kończy. Nazywanie jest jedynym dopuszczalnym bluźnierstwem: jest bowiem dobrym naśladowaniem boskiego dzieła stworzenia.

Dopiero przez świetlistą krystaliczność dobrze użytego języka widać nie tylko wszystkie szczegóły istnienia, lecz także niewidoczne obrazy, wśród nich oddalające się, wietrzne plecy Boga, którego ludzka pycha usiłuje wygnać ze swojego dusznego, rajskiego piekła.

W Nowej Hucie byliśmy wśród swoich, razem z dziećmi greckich komunistów (przewodniczącą naszej klasy była Katina Teohari), osiadłymi Cyganami i chłopcami z Wietnamu, którzy mieszkali w internacie na osiedlu Szkolnym. Nie poszukiwaliśmy wielkiej wolności, korzystaliśmy z takiej, jaka była pod ręką. Ograniczone braterstwo dotyczyło zbliżonych rocznikowo dzieci z czterech bloków tworzących podwórko i szkolną klasę, najpierw w szkole nr 81, później w 87. Jedynie równości, wobec powszechnego braku i niedostatku, wszystkie okoliczne dzieci miały aż nadto.

Żyłem w świecie bardzo praktycznym. Lenin, którego zżarty przez syfilis i przerdzewiały wszechrosyjskim imperializmem pomnik nie stał jeszcze

eprasa.pl d64a508a41

na pl. Centralnym, był dla mnie pozbawioną desygnatu nazwą huty, w której na trzy zmiany wytapiali stal ojcowie nowohuckiego wyżu demograficznego. Marksizm-leninizm, rewizjonizm wraz z osławionym lewicowym etosem i najwrażliwszą wrażliwością rodem z Łubianki, moskiewskiego hotelu Lux i sklepów za żółtymi firankami przebywał poza murem moich rozmów, wyznań i marzeń. Nie poszukiwałem sprzeczności, a jeśli starczało odwagi, starałem się je demaskować, chociaż częściej unikałem, żeby nie przysparzać rodzicom kłopotów.

Owszem, patronami naszych szkół byli agenci NKWD – Bolesław Bierut, Janek Krasicki i Hanka Sawicka, ale nam przeznaczono, a co ważniejsze, my wybieraliśmy codziennie los inny niż panienki i panicze z al. Róż czy al. Przyjaciół, którzy zanim poszli do liceum im. Klementa Gottwalda, bawili się na zamkniętych osiedlach pod przyjaznym okiem Stalina wyrzeźbionego z różowego marmuru i ssały cukierki podarowane przez umundurowanych sąsiadów posługujących się łagodnym językiem Puszkina, Dostojewskiego i Berii.

Na noszonych przez nowohuckie dzieci medalikach widniał Bóg, a księża i siostry zakonne były przez nas pozdrawiane po łacinie: *Laudetur Jesus Christus*. Chłopięcy Chrystus nie był rewolucjonistą, symbolem ciemnoty lub drużynowym czerwonego harcerstwa, a po lekcjach ani trochę nie starał się upodobnić do Trockiego lub Che Guevary. Istniał wśród nas jak woda i powietrze, wisiał na krzyżu, cierpiał, umierał.

Muszę także wspomnieć o pamiętnym 1960 roku, czyli o milicyjnym bagnecie wbitym w Nową Hutę i rykoszetem w moje siedmioletnie ciało podczas gwałtownych walk o krzyż, a także o zamazanych przez ówczesnych i współczesnych artystów manipulacji freskach, które przedstawiały późniejsze o osiem lat sceny katowania pałkami warchołów i chuliganów.

Jak już mówiłem, jestem również potomkiem i zamożnym spadkobiercą pięknych słów ewangelii, które z wirtuozerią lepiły mnie z piasków Palestyny i białych skał Golgoty, niańczyły i kotwiczyły w wysokim świecie, a którym to słowom nadal winien jestem ostateczną odpowiedź.

Nie potrafię ocenić, co bardziej zaważyło, co w większym stopniu budowało, a co ograniczało albo nadal zamyka mnie w pętli pułapek i niepewnych możliwości. Moi koledzy, których rodzice harowali za grosze, by zbudować chociaż niewielki kawałek Polski? Pokryty kurzem nowoczesności prapradziad Mateusz Polkowski, który nadal prowadzi przez rojsty zbrojny oddział na nierówny bój w powstaniu styczniowym? Pokryty wrzodami, nieprzytomny ojciec, którego koledzy wloką przez ostępy tajgi na wieczorny apel? Sięgający po horyzont las czerwonych szturmówek i pełne strachu głosy zagubionych w tumulcie ludzi? Walcząca o przeżycie babcia Salomea wspólnie z jej podporą najmłodszą córką, moją mamą, która pracowała od piątego roku życia? Przekreślone drutem kolczastym Kozielska zdjęcie dziadka Jana? Nowohuckie msze święte pod gołym niebem, w deszczu i zawiei? Sylwetka modlącej się mamy, której pieniądze na życie kończyły się zwykle około 20.? Jazgot propagandy? A może fraza:

„Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki;
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne?”.

Co owocuje głębiej i bardziej dalekosiężnie: eschatologiczna nadzieja, zaszyfrowany w literaturze mit, sztolnie pamięci, ogień wybieranej codziennie drogi czy wszechogarniające zło, które nie zostawia wyboru i zmusza do buntu?

A może bezrefleksyjnie wszedłem w gotowe meandry cudzego i skostniałego losu?

Jerzy Pilch, mój rówieśnik, pytał swego czasu, czy może być coś bardziej banalnego i nudnego niż realizowanie stereotypu śmieszno-heroicznej polskości, która musi się nieodzownie składać z kawałka katolicyzmu, tradycji kresowo-patriotyczno-niepodległościowej, epizodu opozycji antykomunistycznej i hałasu solidarnościowego karnawału. Ów popularny pisarz opisywał polski los jako ucieleśnienie nudy, rezygnacji z oryginalnego życia oraz szansy na inność i twórczą niezgodę. W jednym się z nim zgadzam: wybór rodzaju nudy jest jedną z ważniejszych decyzji życiowych.

Rozglądam się po sali i nie chcąc nikogo dotknąć, pytam: gdzie są nasze dzieci i wnuki? Starcy opowiadają starcom niezrozumiałe stare historie, podczas gdy młodzi gniewni niszczą obrazy van Gogha lub przyklejają się do asfaltu w proteście przeciwko geografii, biologii i pogodzie.

Zmęczeni mężczyźni, bo kobiety nieodmiennie pięknieją z dnia na dzień, jesteśmy epigonami czegoś, co zostało zelżone, unieważnione i wygnane. Nikt już nie chce słuchać naszych godnych ubolewania, szlachetnych historyjek.

Żyliśmy w czasach gdy dokonywała się najdłuższa, bo ponad 50-letnia i zarazem najskuteczniejsza z rewolucji. Dzisiaj jesteśmy świadkami, jak rewolucjoniści nawołują się ochoczo, tańcząc w rozgardiaszu żniw.

W rezultacie mieszkańcy nazywanego z przyzwyczajenia Europą zużytego kawałka lądu, którzy zapobiegliwie spalili swój akt urodzenia, dowód tożsamości i testament, zdają się już tylko czekać na moment, w którym zadeptana pamięć ostatecznie zaniknie i ziemia Homera, św. Piotra, Kochanowskiego, Bacha i Chopina stanie się bardziej kolorowym od tęczy wysypiskiem, przywiązanym zardzewiałym drutem do krwawiącego brzucha Afryki.

Tytuł od redakcji

> Człowiek może dostrzec świat dopiero wtedy, gdy zacznie go nazywać. To jest przesądzający moment, który u ludzi rozumnych nigdy się nie kończy. Nazywanie jest jedynym dopuszczalnym bluźnierstwem: jest bowiem dobrym naśladowaniem boskiego dzieła stworzenia

eprasa.pl d64a508a41

Mit rozwoju czy regresu?

Jaruzelski symbolizuje regres prowadzącej donikąd końcówki PRL. Chcący dokonać jego politycznej kanonizacji powinni dać też szansę Gierkowi, który przynajmniej uosabia narodowe i modernizacyjne ambicje. To one rozbiły socjalizm, który Jaruzelski próbował nieudolnie poskładać

MACIEJ WALASZCZYK

„Gazeta Wyborcza" pilnie strzeże mitu „dobrego" generała, z uporem powracając do postaci Wojciecha Jaruzelskiego. Stosuje do tego różne metody, od szantażu moralnego po historyczne akrobacje. Już sam tytuł artykułu prof. Andrzeja Romanowskiego, który niedawno ukazał się w „GW": „To był całkiem dobry generał. Dlaczego zapominamy o Jaruzelskim" wręcz śmieszy, wzbudzając raczej politowanie niż święte oburzenie. Ale ma swą wagę, bo jest bezsilnym lamentem nad pogłębiającą się powszechną amnezją nad postacią generała. Zapominamy, bo nie ma o czym pamiętać.

W latach 80. nastąpił totalny regres gospodarczy i stagnacja polityczna, które zaprowadziły PRL w ślepy zaułek. Odpowiedzialność za to spada właśnie na ówczesnego przywódcę, który w pewnym momencie skomasował gigantyczną władzę, ale przez wiele lat nie potrafił zdobyć się na reformy i wziąć odpowiedzialności za stopniowe urealnianie gospodarki. Grającego wyłącznie na siebie, na czas, a gdy ten już się skończył, szukającego, także pod naciskiem Moskwy, dróg do porozumienia z wybranym do tego odłamem opozycji i Kościołem. To zbyt mało, by stawiać mu nawet papierowe pomniki. A lista przewin wobec narodu, łącznie z nierozliczoną pacyfikacją protestów robotniczych w 1970 r. i rozrostem znaczenia aparatu bezpieczeństwa w latach 80., jest zbyt długa, by domagać się dziś dobrej pamięci o nim. Jaruzelski zawsze będzie się też kojarzył z próbami umacniania równie fatalnej zależności od Moskwy i transformacji zmieniającej tę zależność w logikę niemiecko-rosyjskiego kondominium pod okiem amerykańskiej ambasady. Symbolem tego była zarówno jego prezydentura, jak i pojawienie się SdRP jako formacji powstałej na trupie PZPR, jej majątku oraz za moskiewskie pieniądze. I w końcu „bolszewicki kapitalizm" Sachsa–Balcerowicza (określenie prof. Staniszkis), który koniec końców miał wydziedziczyć naród z dorobku m.in. epoki gierkowskiej.

Ale skoro tak niewiele trzeba, by domagać się politycznej kanonizacji generała, to można, posługując się zupełnie uczciwymi argumentami, porównać go z jego poprzednikiem – Edwardem Gierkiem. Ludowa pamięć o „dobrych" latach 70., jest bowiem bardzo mocna, mimo drobiazgowych potępień i sentymentalnej apologetyki. I to w istocie najbardziej boli michnikowszczyznę. Bo faktyczna niechęć do Gierka wynika nie tyle z opozycyjnych biografii, ile z nienawiści do narodowych i państwowych aspiracji, które uosabiał, nawet tak kalekiej formy polskiej państwowości, jaką była PRL. Klasowej wręcz niechęci do wielkiej części społeczeństwa, które je podzielała. To tu leży przyczyna niechęci środowisk kojarzonych *nomen omen* z koalicją 13 grudnia do tak wyszydzanego w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy nacisku na rozwój gospodarki, duże inwestycje (CPK, przekop Mierzei Wiślanej) i stabilizację socjalną. Do milionów wyborców PiS.

MODERNIZACYJNY SKOK

W 2001 r. zaraz po śmierci Gierka w jednej z polemik głos zabrał nieżyjący już dziś Krzysztof Dzierżawski, wówczas ekspert Centrum im. Adama Smitha. Z głębokiego przekonania stronnik wolnego rynku i kapitalizmu zupełnie się nie zgadzał na dezawuowanie gierkowskiej dekady. Tłumaczył, że w tych czasach nastąpiła prawdziwa rewolucja modernizacyjna i tylko w niewielkiej części sfinansowana była z zachodnich kredytów. Zwracał uwagę, że przez m.in. budowę tzw. gierkówki, a więc drogi szybkiego ruchu Warszawa–Ka-

Fot. Dutch National Archives

eprasa.pl d64a508a41

towice–Bielsko–Cieszyn w spektakularny jak na ówczesne warunki sposób zmodernizowano układ komunikacyjny kraju. To także budowa w Warszawie Trasy Łazienkowskiej, Wisłostrady i Trasy Toruńskiej, a więc inwestycji komunikacyjnych będących realizacją planów poczynionych już za prezydentury Stefana Starzyńskiego. To również budowa Centralnej Magistrali Kolejowej łączącej Śląsk z Warszawą, Linii Hutniczo-Szerokotorowej (LHS), wtedy zwanej Linią Hutniczo-Siarkową, mającej służyć transportowi rudy żelaza, siarki oraz węgla do ZSRR bez przeładunku towarów na granicy, a dziś będącej szlakiem dającym Polsce bezpośrednie skomunikowanie z Chinami. Wymieńmy tu także Port Północny, a więc inwestycję strategiczną pozwalająca także dziś na import znacznych ilości ropy naftowej spoza obszaru sowieckiego oraz nowoczesną rafinerię zdolną przerabiać surowiec z Bliskiego Wschodu. To wybudowane w Bielsku-Białej FSM oraz Huta Katowice. Zmodernizowano też system energetyczny kraju, wybudowano elektrownię Bełchatów, do dziś będącą sercem polskiego systemu elektroenergetycznego, oraz kopalnię Bogdanka. Jeśli przed wojną o budowie Gdyni, będącej niezaprzeczalnym sukcesem gospodarczym II RP, mówiono jako o „morskiej bramie na świat", to akurat w latach 70. gospodarka morska, według tej samej filozofii państwa otwartego na morza, przeżywała rozkwit. Budowa statków, rozwój rybołówstwa i rozbudowa floty handlowej osiągnęły rekordowe rozmiary. W tych czasach nastąpił także rozwój budownictwa mieszkaniowego. Ono również zaliczyło skok technologiczny, osiągając niespotykany do dziś pułap w liczbie oddawanych do użytku mieszkań, a które w latach 90. przeżyło katastrofalne załamanie, wiążąc się nierozerwalnie z notowaną od tego czasu demograficzną zapaścią.

W epoce gierkowskiej nastąpił faktyczny upadek ideologii komunistycznej i pojawiła się technokracja pełna karierowiczów. W 1972 r. zniesiono tzw. dostawy obowiązkowe od gospodarzy, a następnie wprowadzono możliwość powiększania prywatnych gospodarstw przez dopuszczenie obrotu ziemią. Rolnicy zostali objęci ubezpieczeniem społecznym i zdrowotnym. I mimo nieustannych nacisków ze strony Moskwy oraz „bratnich" partii nikt nawet nie myślał o powrocie do kolektywizacji rolnictwa, inwestując najwyżej w istniejące już PGR na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Tamte czasy do dziś pamiętają mieszkańcy Węgier czy Czechosłowacji, którzy, choć żyli często na wyższym poziomie materialnym, z zazdrością mówili o kilku rzeczach, które widzieli w Polsce: indywidualnej własności rolnej i pełnych Kościołach. To jednak także możliwości wyjazdów zagranicznych, próba przyswajania sobie zachodnich wzorców życia, liberalizacja życia politycznego, dzięki której do 1976 r. praktycznie nie było więźniów politycznych. To w końcu autentyczny powiew społecznego optymizmu i narodowej dumy symbolizowanej odbudową Zamku Królewskiego czy sukcesami sportowców.

> Faktyczna niechęć michnikowszczyzny do Gierka wynika z nienawiści do aspiracji narodowych i państwowych, które uosabiał

POCZĄTEK KOŃCA SOCJALIZMU

Załamanie systemu gospodarczego, które tykało niczym bomba i wybuchło wraz z robotniczymi protestami latem 1980 r., było właśnie wynikiem przyspieszonej w ten sposób modernizacji. Pojawiło się wraz ze wzrostem aspiracji ludzi i konsumpcji kompensowanej systemem przywilejów dających ogromne poczucie niesprawiedliwości. To właśnie próba wejścia do pierwszej ligi gospodarczej (według statystyk 10. gospodarka świata) obnażyła dysfunkcyjność socjalizmu. „To nie brak kompetencji pierwszego sekretarza, ale system gospodarczy funkcjonujący na wschód od Łaby sprawiał, że Polska nie mogłaby stać się drugą Hiszpanią, a NRD drugą Bawarią" – zauważał Dzierżawski. Rekordowy wręcz wzrost poziomu życia był po prostu ekstrawagancją na kredyt. Zarówno Gierek, jak i Jaruzelski musieli wybierać między koniecznością równoważenia gospodarki, urealnianiem cen, a w konsekwencji robotniczym buntem przeciwko kapitalizmowi państwowemu, a brnięciem w system wiecznych niedoborów i reglamentacji.

I tę drugą drogę oportunistycznie wybierał generał.

Oczywiście ekipie rządzącej w latach 70. zarzucano nietrafione inwestycje. Jak argumentował liberał Dzierżawski, te są przecież bliźniaczkami inwestycji trafionych, „przygotowane najlepiej i najracjonalniej mogą obrócić się w katastrofę, a z pozoru absurdalne przynieść najbardziej spektakularny sukces". Socjalizm jednak był systemem niereformowalnym, w którym państwowa własność, centralizm i egalitaryzm skazywały go na klęskę. Ale zaraz! Dzisiaj mamy Unię Europejską i absolutyzm jej centralistycznej biurokracji. Odgórnie narzucana, kosztowna oraz zubażająca wszystkich zielona rewolucja, monstrualny systemem subsydiów rolnych, w których pewnie idealnie odnalazłyby się PGR. A w końcu zapomniana strategia lizbońska z 2000 r., a więc plan uczynienia Europy najbardziej konkurencyjnym regionem gospodarczym na świecie. Do tego ograniczenia wolności narodów i ideologiczna presja ze strony lewicy.

Mamy za sobą czas PRL i przezwyciężania jego przeszłości, ale również 35 lat niepodległej Polski i doświadczeń, które przyniósł ten czas. To one dają nam najwięcej powodów do rozmyślań. Zastanawiamy się, czy nasze państwo przetrwa. Polityka to ciągłe wybory między większym i mniejszym złem, o czym świadczy przypadek gen. Jaruzelskiego. No to wybierajmy – mit rozwoju czy regresu, aspiracji czy „biednej panny na wydaniu", podmiotowości czy kondominium pod unijnym zarządem komisarycznym. O ile nie mamy już nadto mitów.

eprasa.pl d64a508a41

Balázs Orbán

Czy Węgry będą się bronić przed Rosją?

Dlaczego Madziarzy z większą nieufnością odnoszą się do Waszyngtonu niż do Moskwy?

GRZEGORZ GÓRNY

Jednym z najbardziej zaufanych ludzi Viktora Orbána jest szef gabinetu politycznego premiera Balázs Orbán (zbieżność nazwisk przypadkowa). Jego niedawna wypowiedź dla tygodnika „Mandiner" wywołała burzę nie tylko w kraju, lecz także za granicą.

Zacytujmy słowa, które wówczas padły: „Biorąc pod uwagę 1956 r., prawdopodobnie nie zrobilibyśmy tego, co prezydent Zełenski zrobił 2,5 roku temu, bo to nieodpowiedzialne, bo wydaje się, że on wciągnął swój kraj w wojnę obronną: tylu ludzi zginęło, tak wiele terytoriów utracono. Powtórzę jeszcze raz: to ich prawo, ich suwerenna decyzja, mogli to zrobić, ale gdyby nas o to zapytali, to byśmy im tego nie doradzili. To wydarzenia 1956 r. sprawiły, że staliśmy się tym, kim się staliśmy. Ponieważ nauczyliśmy się, że trzeba zachować ostrożność i bardzo ostrożnie traktować cenne życie Węgrów".

Wypowiedź wpływowego polityka obozu władzy wywołała oburzenie w szeregach opozycji. Jej lider Péter Magyar napisał, że Balázs Orbán „upokorzył pamięć tysięcy węgierskich bojowników o wolność, z których setki – w przeciwieństwie do niego – gotowe były poświęcić życie za wolność i niepodległość swojego kraju".

Słowa Balázsa Orbána skrytykowali też Julia Gross i Jonathan Lacôte, ambasadorzy Niemiec i Francji, którzy stwierdzili, że „jeśli Węgry jako państwo członkowskie NATO rzeczywiście mają takie stanowisko w sprawie wspólnej obrony, jest to także sprzeczne z duchem sojuszu wojskowego i obraźliwe dla pozostałych członków".

GRUZIŃSKA LEKCJA

Warto w tym kontekście przypomnieć, że kiedy w 2008 r. Rosja zaatakowała Gruzję, Viktor Orbán mówił o obowiązku potępienia takiej agresji. Podczas konferencji w Szárszó stwierdził: „Myślę, że jesteśmy szczególnie zobligowani tym obowiązkiem ze względu na 1956 r. Dlatego gdy niepodległe państwo zostaje zaatakowane militarnie przez Rosjan, powinniśmy zabrać głos jasno, bezpośrednio i zająć nasze regionalne [jako Europa Środkowa – przyp. red.] stanowisko moralne".

Lider Fideszu mówił wówczas: „Istotnym faktem w toczącym się dziś konflikcie jest to, że Rosja prowadzi działania militarne na terytorium innego niepodległego państwa, Gruzji. To jest fakt, który trzeba brać pod uwagę, a wszystko inne to tylko nieistotne gadanie, usprawiedliwianie się i pozostałości po relatywizmie moralnym, jaki pozostawił tu socjalizm. Sugeruję, byśmy mówili jasno, czym jest agresja militarna. Jest agresją militarną".

Podczas tego samego wystąpienia w Szárszó szef Fideszu odniósł się też do używanego przez Putina pretekstu o ochronie rosyjskojęzycznej mniejszości w krajach ościennych. Mówił: „Argument wysuwany przez Rosjan jest także niezwykle pouczający, ponieważ oni mówią, że chcą chronić własnych obywateli; oczywiście mówimy o obywatelach rosyjskojęzycznych, którzy również mają podlegać Rosji. Dzisiaj są oni w Gruzji, a jutro? Przecież tacy ludzie żyją nie tylko w Gruzji, ale wielu Rosjan jest też na Ukrainie, wielu Rosjan żyje na Łotwie, podobnie jest w wielu krajach Azji Środkowej. Gdzie pojawią się następnym razem? W naszym rejonie?".

Viktor Orbán domagał się wtedy przyjęcia Gruzji i Ukrainy do NATO, zaś jego bliski współpracownik Péter Szijjártó krytykował ówczesnego premiera Ferenca Gyurcsánya za nie dość zdecydowane potępienie rosyjskiej inwazji. Jak mówił, żaden demokratyczny

eprasa.pl d64a508a41

polityk nie może patrzeć biernie i w milczeniu na militarną akcję jednego kraju przeciwko drugiemu. „W przypadku ataku na niepodległe państwo można sobie wyobrazić, że Moskwa równie brutalnie wyrazi swoje niezadowolenie, jeśli uzna politykę kolejnego premiera Ukrainy, Słowacji, Litwy czy nawet Węgier za sprzeczną z jej interesami". Tamás Deutsch, inny działacz Fideszu, na wiecu protestacyjnym zorganizowanym przez młodzieżówkę jego partii pod ambasadą Rosji mówił z kolei do zgromadzonych: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, nie wiemy, gdzie to się skończy".

Od tamtego czasu minęło 16 lat. Zarówno Orbán, jak i Szijjártó radykalnie zmienili swoje ówczesne stanowisko. A przecież jeszcze jesienią 2012 r. ówczesny premier Węgier jako jedyny europejski przywódca jeździł do Tbilisi, by podczas kampanii wyborczej do parlamentu wesprzeć Micheila Saakaszwiliego przeciw prorosyjskiej partii Gruzińskie Marzenie. Rok później doszło jednak do zaskakującej wolty, która do dziś zadziwia wielu komentatorów na świecie.

POTRÓJNA „ZDRADA" AMERYKI

Nie jest to tylko problem Orbána, lecz dużej części węgierskiego społeczeństwa. Wiosną 2022 r. specjalizujący się w problematyce środkowoeuropejskiej think tank GLOBSEC opublikował raport na temat geopolitycznych poglądów mieszkańców naszego regionu. Okazało się, że zaledwie 13 proc. Węgrów uważa Stany Zjednoczone za najważniejszego partnera strategicznego swojego kraju, podczas gdy aż 35 proc. widzi w takiej roli Rosję (badania przeprowadzono już po odkryciu masowych grobów w Buczy i Irpieniu). Dla porównania: odpowiadając na to samo pytanie, 73 proc. Polaków wskazało USA, a tylko 2 proc. Rosję.

Wspomniany raport odzwierciedla antyamerykańskie nastroje panujące w węgierskim społeczeństwie. O ile dla nas krajami zaborczymi są Rosja, Niemcy i Austria, o tyle Madziarzy za sprawców rozbioru swojego kraju uważają Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję i Włochy. Podczas konferencji wersalskiej przywódcy właśnie tych państw podjęli decyzję o znacznym ograniczeniu terytorium Węgier, co zostało sformalizowane w 1920 r. w traktacie pokojowym w Trianon. Największą rolę w tym procesie odegrała delegacja amerykańska. Dla Polaków prezydent USA Woodrow Wilson jest postacią chwalebną, gdyż jego deklaracja przyczyniła się do odzyskania przez nasz kraj niepodległości, natomiast Węgrzy widzą w nim tego, który doprowadził do upadku Korony Świętego Stefana. Dlatego w Warszawie może istnieć pl. Wilsona, czego nie można wyobrazić sobie w Budapeszcie.

> O ile dla nas krajami zaborczymi są Rosja, Niemcy i Austria, o tyle Madziarzy za sprawców rozbioru swojego kraju uważają Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję i Włochy

Według Węgrów do drugiej zdrady Amerykanów doszło w lutym 1945 r. na konferencji w Jałcie, gdzie prezydent USA Franklin Delano Roosevelt zgodził się z żądaniami Stalina, przekazując Europę Środkową do strefy wpływów ZSRS. W wyniku tych ustaleń Węgry po raz pierwszy w swojej historii znalazły się pod kontrolą Moskwy. Dotychczas gdy traciły niepodległość, to na rzecz Turcji lub Austrii, nigdy zaś Rosji.

Po raz trzeci Madziarzy poczuli się zdradzeni przez Amerykanów w trakcie powstania w 1956 r., kiedy Radio Wolna Europa zachęcało ich do walki, obiecując wsparcie militarne ze strony Zachodu. Nawet wówczas, gdy armia sowiecka wkroczyła na Węgry, krwawo tłumiąc antykomunistyczny zryw, szefowie rozgłośni apelowali, by kontynuować walkę w oczekiwaniu na rychłą odsiecz, choć doskonale zdawali sobie sprawę, że żadna pomoc nie nadejdzie. W rezultacie powstańcy oddawali życie na barykadach, gdy w tym samym czasie 80 tys. brytyjskich i francuskich żołnierzy atakowało zbrojnie Egipt.

ROSYJSKIE ZŁUDZENIA

To właśnie do tamtych wydarzeń odwołuje się dziś Balázs Orbán, który powtarza, że Węgry chcą uniknąć podobnego scenariusza jak w 1956 r., gdy Zachód zachęcał ich do walki z Moskwą, a potem pozostawił samych na pastwę silniejszego przeciwnika. Wśród naszych bratanków trauma 1956 r. jest równie silnie obecna jak trauma 1920 r. W ich optyce Ukraińcy płacą dziś tak samo zbyteczną cenę krwi jak oni 68 lat temu.

O ile można jeszcze zrozumieć niechęć Węgrów do Ameryki, o tyle niepojęty wydaje się ich dzisiejszy stosunek do Rosji. Pamięć o brutalnym zdławieniu powstania w 1956 r. powinna ich szczególnie wyczulać na zagrożenie płynące z Moskwy. A jednak zaskakująco wielu Madziarów powtarza dziś, że obecna Rosja Władimira Putina nie ma nic wspólnego ze Związkiem Sowieckim, który pacyfikował węgierską rewolucję. W ich optyce Kreml został wręcz sprowokowany do zbrojnej interwencji przez nieodpowiedzialny Zachód. Brak bezpośrednich granic z Rosją sprawia, że wielu Węgrom wydaje się ona odległym krajem, niestanowiącym większego zagrożenia. Na to nakładają się ciągłe spory z Ukrainą, która jest postrzegana jako kłopotliwy sąsiad.

To zupełnie inna perspektywa niż ta, którą prezentował Fidesz w 2008 r. Coś musiało się stać, że doszło do tak gwałtownej rewizji podstaw polityki zagranicznej Budapesztu. Pojawiające się tłumaczenia o kalkulacjach politycznych, uzależnieniu energetycznym czy wielowektorowej dyplomacji wydają się niewystarczające, by wytłumaczyć aż tak radykalny zwrot. Być może na wyjaśnienie tej zagadki będziemy musieli jeszcze długo poczekać.

eprasa.pl d64a508a41

Przeciąć więzi

„Od dzisiaj się nie znamy". Coraz więcej dorosłych dzieci całkowicie odcina się od rodziców. Według niektórych badaczy jesteśmy świadkami „cichej epidemii" rozpadów rodzin, u której podłoża leżą różnice wartości

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

29-letni Scott zerwał kontakt z rodzicami w 2019 r., jeszcze przed pandemią COVID-19. Jak mówił w rozmowie z BBC, jego matka „powiedziała coś rasistowskiego" podczas początkowo przyjemnej rozmowy przez Skype w obecności jego wówczas siedmioletniego syna. „To oznaczało dla mnie koniec relacji. To całe gadanie o więzach krwi. To super, gdy masz fajna rodzinę, ale jak masz toksyczną, tak jak ja, to się po prostu nie da" – dodał. Amy z przedmieść Alberty w Kanadzie postanowiła odciąć się od rodziców, wierzących protestantów, gdy sama porzuciła wiarę. Jak wyznała w rozmowie z pismem „The New Yorker", stała się ateistką i feministką. W swoich braciach zaczęła widzieć mizoginów. „Nie chciałam już słuchać tego ich gadania o Bogu, którego dla mnie nie ma. Zakres tematów, o których można było bezpiecznie rozmawiać, stawał się coraz mniejszy" – zaznaczyła.

Scott i Amy to dwa przykłady nowego zjawiska, wciąż słabo zbadanego: celowego odcinania się (estrangement) od rodziny. Mimo braku twardych danych wśród terapeutów, psychologów i socjologów rośnie przekonanie, że staje się ono coraz częstsze w krajach zachodnich. Jak twierdzi psycholog Karl Andrew Pillemer z Uniwersytetu Cornella w Nowym Jorku, nazywana na forach internetowych zasadą „braku kontaktu" (no contact rule) celowa alienacja różni się od „rodzinnych sporów czy sytuacji konfliktowych". „W takich przypadkach wciąż jest jakiś kontakt, nawet jeśli sporadyczny. Tu nie ma żadnego. Dana osoba żyje tak, jakby nie miała rodziców, rodziny, jakby oni wszyscy umarli" – zaznaczył Pillemer w rozmowie z BBC.

Psycholog przeprowadził badanie w USA na potrzeby swojej książki „Linie podziału: rozbite rodziny i jak je naprawić" („Fault Lines: Fractured Families and How to Mend Them"). Wykazało ono, że więcej niż co czwarty Amerykanin odciął się od innego krewnego. Podobne badania zrealizowane przez brytyjską organizację charytatywną Stand Alone sugerują, że zjawisko to dotyka jedną na pięć rodzin w Zjednoczonym Królestwie. Według badaczy z Australii i Kanady jesteśmy wręcz świadkami „cichej epidemii" rozpadu rodzin.

Wystarczy wejść na TikToka, by zobaczyć wymiar zjawiska. Hasztag #NoContactFamily ma miliony kliknięć. Na forum Reddit grupy, gdzie ludzie dzielą się powodami odcięcia od rodziny, mają,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d64a508a41

co najmniej w USA, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii, setki tysięcy członków. Dyskutuje się tam o sposobach radzenia sobie z rzekomo „toksycznymi" rodzicami czy dziadkami. Oprócz całkowitego zrywania kontaktu króluje metoda „grey rock" (szarego kamienia), oznaczająca sporadyczny kontakt, ale „przy całkowitym dystansie emocjonalnym". Toksyczny krewny ma być pozbawiony podstawy do „manipulacji". Propagowane jest wyznaczanie granic, pojęcie zaczerpnięte z psychologii klinicznej, co często oznacza brak gotowości do przyjmowania krytyki własnego stylu życia czy wyborów. Toksyczna może być przy tym rzeczywista przemoc, fizyczna lub emocjonalna albo tak błaha rzecz, jak to, że matka założyła niewłaściwą sukienkę na ślub córki. Społeczności internetowe opracowały nawet własny żargon: LC oznacza niski kontakt (low contact), VLC to bardzo niski kontakt (very low contact), a NC – brak kontaktu (no contact). Wyliczane są także warunki odnowienia relacji. Scott chciał, by jego matka przyznała, że jest rasistką i obiecała poprawę. Nie zgodziła się na to, dlatego od pięciu lat nie odezwał się do niej słowem.

TRUMP I BREXIT

Dr Becca Bland, dziennikarka z Londynu, odcięła się od rodziców w 2010 r. „Gdy ludzie mnie o nich pytali, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Mówiłam, że mieszkają w Australii. Tak naprawdę nie wiedziałam, gdzie są. Gdy mówiłam ludziom prawdę, patrzyli na mnie z przerażeniem" – wyznała Bland w 2012 r. na łamach „The Guardian" i apelowała o wyrozumiałość. Napisały do niej wtedy setki ludzi w podobnej sytuacji. „Wszyscy czuli się potwornie samotni" – dodała. Dziś Bland pracuje w Stand Alone, gdzie walczy o pomoc dla odciętych od rodziców dorosłych dzieci, które nie mają nikogo, kto mógłby im żyrować kredyt lub być gwarantem umowy najmu.

Chociaż badań na ten temat prawie nie ma, większość rozstań między rodzicem a dorosłym dzieckiem jest inicjowana przez dziecko. Tak w każdym razie twierdzi Joshua Coleman, psycholog i autor książki „Zasady wyobcowania: dlaczego dorosłe dzieci zrywają więzi i jak zażegnać ten konflikt" (The Rules of Estrangement: Why Adult Children Cut Ties and How to Heal the Conflict). Według niego jedną z najczęstszych przyczyn jest przemoc rodzica – emocjonalna, fizyczna lub seksualna. Rozwód to kolejny powód, bowiem pojawienie się w rodzinie nowych osób, takich jak przyrodnie rodzeństwo czy przybrani rodzice, może podsycać podziały. Rosnącą rolę odgrywają także konflikty wartości. Badanie opublikowane w październiku ub.r. przez Colemana i Uniwersytet w Wisconsin wykazało, że nieporozumienia wynikające z wartości były wymieniane przez więcej niż jedną na trzy matki, których dzieci zerwały z nimi kontakt. Niedawne badania Pillemera dały podobny wynik. Według niego odmienne wartości są „głównym czynnikiem rodzinnej alienacji", a konflikty najczęściej wynikają z takich kwestii, jak „preferencje płciowe, różnice religijne lub prowadzenie alternatywnego stylu życia". Po wyborach prezydenckich w 2016 r. w USA (i wygranej Donalda Trumpa) podziały w rodzinach znacznie wzrosły. Badacze z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles ogłosili wówczas, że „Trump zepsuł Dzień Dziękczynienia", bo podzielone rodziny postanowiły nie odwiedzić się w to święto. Analogiczne badanie w Wielkiej Brytanii wykazało, że jedna na dziesięć osób pokłóciła się z krewnym w związku z brexitem.

STRATA, WSTYD I ŻAL

„Tożsamość stała się istotnym wyznacznikiem tego, kogo chcemy trzymać blisko siebie, a kogo sobie odpuścić" – uważa Coleman. Użytkownicy Reddit wymieniają sposoby radzenia sobie z (najczęściej) rodzicami, którzy wysyłają im takie wiadomości, jak: „Będę się za ciebie modlił" (Ma ktoś jakąś dobrą odpowiedź na coś takiego?). Różnej maści psycholodzy z większymi lub mniejszymi kwalifikacjami seryjnie diagnozują patologiczny narcyzm u rodziców swoich pacjentów. Narcyzm, poważne zaburzenie osobowości, kiedyś zarezerwowane dla seryjnych zabójców jak Ted Bundy, stał się tak modny, że jest przypisywany niemal każdemu, kto trzyma się „przestarzałych" tradycji i modeli wychowania. W skrócie: diagnozy terapeutów często bezkrytycznie odzwierciedlają uprzedzenia, modę i kulturę, w której żyjemy. Innymi słowy, w kulturze ceniącej niezależność terapeuta zaleca odcięcie się od rodziców znacznie częściej niż w przeszłości. Odseparowanie się od rodziców stało się wyrazem osobistego rozwoju, dbaniem o zdrowie psychiczne. „Wielu młodych ludzi mniej polega na rodzinie niż w poprzednich pokoleniach" – podkreślił Coleman w rozmowie z „Vogue". „Dzisiaj dorosłego dziecka nie łączy z rodzicem nic poza pragnieniem, aby mieć taki związek" – dodał.

Oczywiście wszystko to ma poważne skutki dla rodziców, którzy często wbrew swojej woli zostali odcięci nie tylko od życia swoich dzieci, lecz także wnuków. „Większość rodziców opisuje głębokie uczucia straty, wstydu i żalu" – twierdzi Coleman, który sam na wiele lat stracił kontakt z córką.

PORWANI DO SEKTY

Stand Alone oferuje płatne kursy dla zrozpaczonych rodziców pod takimi tytułami jak: „Co oznacza to milczenie?" lub: „Jak myśli młode pokolenie?". Tam rodzice dowiadują się o traumie, którą rzekomo wywołali u potomstwa. Tyle że pojęcie traumy, i tak mocno subiektywne, w ostatnich latach znacznie ewoluowało. Kiedyś był to alkoholizm i przemoc, dziś – najczęściej zwykła krytyka: stylu życia, orientacji seksualnej czy wyboru partnera życiowego. A nawet poglądów politycznych. Młodzi nie mają także poczucia obowiązku, który cechował poprzednie pokolenia, szczególnie boomerów i X. Szacunek dla matki i ojca nie jest już uważany za niezbędny. Liczy się osobiste szczęście, bez wysiłku i wyrzeczeń. Dziś to dzieci dyktują warunki relacji rodzinnych. Ich bliscy mają zaś wrażenie, że „trafiły one do sekty". W każdym razie tak można przeczytać na portalu Gransnet, forum dla rodziców i dziadków.

„Wytykają nam każdy błąd, każdą chwilę, gdy czuli się niekomfortowo, narzuciliśmy im jakieś zasady, reguły zachowania. Nie radzą sobie w życiu, więc winę zrzucają na nas. To my jesteśmy źródłem ich porażki. To jest jakieś szaleństwo. My im wszystko daliśmy, a oni nas za to karzą" – głosi jeden z postów. Rodzice Amy wciąż wysyłają do niej kartki – na urodziny, święta. Ona odsyła je nieprzeczytane. Rodzice ją kochali. Nie była bita, zaniedbywana. Poróżniły ich poglądy polityczne i religijne. Dla niej to przeszkoda nie do przeskoczenia.

eprasa.pl d64a508a41

O krok od wojny

Jest niemal pewne, że w najbliższym czasie będziemy mieć do czynienia z kolejną eskalacją konfliktu na Bliskim Wschodzie. Administracja Joe Bidena może niewiele zrobić, aby powstrzymać Izrael w realizacji planu osłabienia jego przeciwników i ewentualnego zadania im śmiertelnego ciosu

MAREK BUDZISZ

„Iran popełnił dziś duży błąd i zapłaci za to" – tymi słowy Binjamin Netanjahu rozpoczął nadzwyczajne posiedzenie rządu zwołane po irańskim ataku na Izrael. Teheran zdecydował się uderzyć, wystrzeliwując 180 rakiet balistycznych, w odpowiedzi na sierpniowy zamach izraelskich służb specjalnych, które w Teheranie wyeliminowały politycznego przywódcę Hamasu. Wszyscy komentatorzy spodziewali się zbrojnej odpowiedzi Iranu, jednak to, co się stało, świadczy o tym, że region znalazł się na skraju wojny.

SIŁA IZRAELSKIEGO ODSTRASZANIA

Spirala eskalacyjna się rozwija, czego potwierdzeniem jest to, że ubiegłotygodniowy irański atak nie przypominał wcześniejszego, podobnego uderzenia, które miało miejsce w kwietniu. Po pierwsze, został przeprowadzony bez ostrzeżenia, w przeciwieństwie do poprzedniego ostrzału rakietowego. Iran zaatakował też innymi środkami. Teraz użyto wyłącznie trudnych do przechwycenia rakiet balistycznych, podczas gdy w czasie kwietniowego ataku mieliśmy do czynienia z różnymi środkami uderzeniowymi – Teheran użył wówczas zarówno wolno przemieszczających się i dlatego łatwych do wykrycia dronów bojowych, jak i rakiet manewrujących, które łatwiej przechwycić. W kwietniu wystrzelił także kilkadziesiąt rakiet balistycznych. Odpowiednio wcześniej przekazał również informację, że zamierza przeprowadzić uderzenie na Izrael. Teraz tego nie było, co świadczy o wyraźnie eskalacyjnym podejściu. Do akcji weszli też uzbrojeni bojownicy palestyńscy, którzy w Jaffie, przedmieściu Tel Awiwu, otworzyli ogień do cywilów. Zginęło osiem osób, wiele jest rannych, a komentatorzy piszą o tym, że zaczyna ziszczać się „strategiczny koszmar", o którym od pewnego czasu mówią izraelscy wojskowi, kiedy zbliża się fala skoordynowanych ataków terrorystycznych na ziemi i uderzeń przeprowadzanych z powietrza.

Abbas Araghchi, irański minister spraw zagranicznych, powiedział mediom, że

Fot. Taher Abu Hamdan/Xinhua/East News

eprasa.pl d64a508a41

jeśli Izrael zdecyduje się na odwet, „nasza odpowiedź będzie silniejsza i na większą skalę". Jednak jest niemal pewne, że Izrael odpowie, o czym zresztą Netanjahu otwarcie mówił w swym wystąpieniu w czasie niedawnego Zgromadzenia Ogólnego ONZ: „Jeśli wy nas uderzycie, my uderzymy was".

Na takim fundamencie, sprowadzającym się do gwarancji uderzenia odwetowego, budowana jest siła izraelskiego odstraszania. W świetle tej koncepcji przeciwnicy muszą być pewni, że Siły Obronne Izraela (IDF) zawsze odpowiedzą na atak silniejszym kontruderzeniem, bo tylko związana z tą perspektywą obawa może spowodować, iż zrezygnują oni ze swych zamiarów lub skala ich działania będzie mniejsza. Jest zatem pewne, że Izrael zrealizuje swe groźby wobec Teheranu, w przeciwnym razie siła odstraszania Tel Awiwu uległaby dramatycznemu osłabieniu.

Pytaniem otwartym jest tylko, co będzie celem uderzenia i jaka będzie jego skala. Niektórzy izraelscy politycy, np. były premier Naftali Bennett, są zdania, że odpowiedź musi być twarda i masowa, bo obecnie Tel Awiw ma „jedną na 50 lat" okazję, aby zmienić regionalny układ sił, czyli na tyle osłabić Iran i jego lokalnych sojuszników, aby zagwarantować sobie spokój na dłuższy czas. W związku z tym w Izraelu mówi się o zniszczeniu irańskich instalacji jądrowych, bo perspektywa uzyskania przez reżim ajatollahów broni jądrowej jest zarówno coraz realniejsza, jak i uznawana za najpoważniejsze zagrożenie dla państwa żydowskiego. Temu scenariuszowi mają po cichu sprzyjać bogate arabskie państwa Zatoki Perskiej, które tak jak Arabia Saudyjska również nie chcą przemiany Iranu w mocarstwo jądrowe.

Inni eksperci są zdania, że będziemy mieć do czynienia raczej ze zmasowanych uderzeniem na irański sektor naftowy – zarówno rafinerie, jak i porty – co ma pozbawić Teheran wpływów z eksportu węglowodorów.

Wydaje się zatem niemal pewne, że w najbliższym czasie będziemy mieć do czynienia z kolejną eskalacją konfliktu bliskowschodniego. Bilal Saab, były urzędnik Pentagonu, a obecnie szef działu USA-Bliski Wschód w Trends Research and Advisory, think tanku z siedzibą w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, powiedział dziennikowi „The Wall Street Journal", że „możliwość dalszej eskalacji tego konfliktu regionalnego ma więcej wspólnego z tym, czego chce Izrael, a mniej z tym, co robi Iran". Dodał też: „Izrael uważa, że jest to wyjątkowa okazja, aby osłabić wszystkich swoich przeciwników i ewentualnie zadać im śmiertelny cios".

CIOS ZA CIOSEM

Ten wyjątkowy z punktu widzenia Izraela moment strategiczny jest konsekwencją działań, które rząd Netanjahu zaczął realizować od końca lipca. Podjęte kroki świadomie miały charakter eskalacyjny, bo Izrael nie mógł sobie pozwolić na ugrzęźnięcie w niekończącej się wojnie, a taki obrót zaczął przyjmować konflikt z Hamasem w Strefie Gazy i sytuacja na północy kraju, ostrzeliwanej przez siły proirańskiego Hezbollahu. Kiedy 28 lipca załamały się prowadzone w Rzymie rozmowy w sprawie zawieszenia broni w Strefie Gazy i zwolnienia przez palestyński Hamas zakładników, bo David Barnea, szef izraelskiej delegacji i dyrektor Mossadu przedstawił nowe żądania, wiadomo było, że konflikt będzie eskalował. Nikt jednak się nie spodziewał, że stanie się to tak szybko i na taką skalę. Już dwa dni później Izrael wyeliminował Fuada Shukra kierującego wojskowym ramieniem Hezbollahu, a następnego dnia w stolicy Iranu zginął Ismail Hanija kierujący Hamasem.

Szczególnie ten ostatni atak izraelskich służb specjalnych przeprowadzony w Teheranie upokorzył Iran i znacząco osłabił dwie z czterech organizacji stanowiących tzw. oś oporu. Iran zbudował swą politykę bezpieczeństwa i zarazem zwiększenia wpływów na Bliskim Wschodzie, finansując, szkoląc, zaopatrując w broń i przekazując dane swego wywiadu grupom takim jak palestyński Hamas w Strefie Gazy, libański Hezbollah, kontrolujący sytuację w Libanie i uznawany za najsilniejszą organizację terrorystyczną świata, a także jemeńskich Huti oraz szyickie milicje, regularnie atakujące amerykańskie bazy w Iraku. W Teheranie uważano, że Iran jest bezpieczny, bo te grupy nie tylko przejmą na siebie uderzenie, jeśli sytuacja ulegnie zaostrzeniu, lecz także atakując Izrael i zakłócając żeglugę Kanałem Sueskim, zmuszą sojuszników Tel Awiwu do większej powściągliwości.

Nikt się jednak nie spodziewał, że uderzenie Izraela nastąpi tak szybko i będzie miało niespotykaną do tej pory skalę. 17 września w Libanie zaczęły wybuchać pagery należące do członków Hezbollahu. Zginęło kilkanaście osób, ponad 2 tys. zostało rannych, niektórzy ciężko, bo przed eksplozją czytali wysłany do nich komunikat i dlatego wielu z nich straciło oczy lub palce rąk. Dzień później eksplodowały popularne walkie-talkie, którymi posługiwali się dowódcy niższych szczebli. Zginęło kilka osób, ale znacznie ważniejsze było to, że organizacja została pozbawiona systemu łączności. Już dzień później Izrael zaczął intensywne bombardowania południowego Libanu, a 20 września udało mu się wyeliminować Ibrahima Aquila, szefa operacji wojskowych Hezbollahu, i całe dowództwo elitarnego oddziału Radwan Force, którego zadaniem było do tej pory przenikanie granicy z Izraelem.

Odpowiedź Hezbollahu na te ataki była słabsza, niż się spodziewano, co potwierdzało, że zwalczana przez Izrael organizacja jest w szoku, bez części dowódców

eprasa.pl d64a508a41

i niezdolna do skoordynowanej oraz przeprowadzonej na dużą skalę odpowiedzi. Tydzień później, 27 września, w izraelskim nalocie zginął szef Hezbollahu Hassan Nasrallach, kiedy izraelskiemu lotnictwu udało się zniszczyć kompleks budynków wraz z podziemnymi bunkrami na przedmieściach Bejrutu. W ataku zginęło najprawdopodobniej również kilku wyższych dowódców organizacji, a także wysoki rangą oficer należący do irańskich sił Strażników Rewolucji. Jak do tej pory z dziewięcioosobowego kierownictwa organizacji przy życiu pozostała jedna osoba, wszyscy pozostali zostali wyeliminowani w ciągu kilkunastu ostatnich dni.

Jak do tej pory ostatnią fazą izraelskiego uderzenia było rozpoczęcie 1 października „ograniczonej", jak deklarowało dowództwo IDF, operacji lądowej na południu Libanu, której celem jest wyparcie stamtąd Hezbollahu, zniszczenie stanowisk ogniowych i magazynów z bronią tej organizacji, a także doprowadzenie do sytuacji, kiedy nie będzie mogła ona atakować północnego Izraela. O intensywności ataków świadczy statystyka uderzeń izraelskiego lotnictwa, którą przedstawił amerykański „The Washington Post". W ciągu 10 dni przeprowadzono uderzenia na 3,6 tys. celów w Libanie. Emily Tripp, dyrektor w brytyjskim think tanku Airwars monitorującego wojnę na Bliskim Wschodzie, powiedziała dziennikarzom, że aktywność izraelskiego lotnictwa jest bezprecedensowa. „Stany Zjednoczone zrzuciły 500 sztuk amunicji w ciągu jednego dnia w szczytowym momencie swojej kampanii przeciwko Państwu Islamskiemu w Rakce w 2017 r. Izrael znacznie przekroczył tę siłę ognia, zgłaszając ataki na 1,6 tys. celów tylko 23 września" – stwierdziła. W efekcie Hezbollah jest dziś poważnie osłabiony, bez łączności i wyższego dowództwa, choć z pewnością nie rozbity. Pierwszego dnia operacji lądowej Izraela zginęło ośmiu żołnierzy IDF, co potwierdza opinie wielu analityków, że kampania lądowa nie będzie łatwa i proirańska organizacja jest dobrze przygotowana do tej fazy wojny. Pomaga jej w tym ukształtowanie terenu na południu Libanu, gdzie nieliczne szlaki komunikacyjne biegną głębokimi dolinami i łatwo jest je zablokować.

BLISKI WSCHÓD I WYBORY W USA

Nie ulega jednak wątpliwości, że Hezbollah jest znacząco osłabiony i to zmienia układ sił na Bliskim Wschodzie – oznacza bowiem osłabienie Iranu. To z tego powodu reżim ajatollahów musiał odpowiedzieć i zapewne zdecyduje się na kolejny atak, jeśli odwetowe uderzenie Izraela będzie miało miejsce. Do powściągliwości wzywają państwa G7 i Waszyngton, ale izraelska operacja ujawniła również to, jak mało administracja Bidena może zrobić, aby powstrzymać Netanjahu. Od kilkunastu tygodni Waszyngton naciska na zawieszenie broni, ale Izrael, „obnażając bezsilność Amerykanów", jak napisał komentator brytyjskiego „The Telegraph", realizuje swój plan osłabienia sił proirańskich. Wynika to z prostej kalkulacji izraelskiego rządu. Miesiąc przed wyborami prezydenckimi w USA demokraci nie mogą porzucić Izraela, a jeśli głosowanie wygra Trump, to możliwości i wpływy Tel Awiwu wzrosną.

> W Izraelu mówi się o zniszczeniu irańskich instalacji jądrowych, bo perspektywa uzyskania broni jądrowej przez reżim ajatollahów jest zarówno coraz realniejsza, jak i uznawana za najpoważniejsze zagrożenie dla państwa żydowskiego

Wojna z Hezbollahem i zaostrzenie relacji z Iranem może też wywrzeć wpływ na wynik amerykańskich wyborów. Trump oskarża Bidena i demokratów o to, że ci prowadzili zbyt ugodową politykę wobec Teheranu, a nawet odblokowując część środków ze sprzedaży ropy i przekazując je Iranowi, sfinansowali *de facto* rozwój organizacji terrorystycznych takich jak Hezbollah. Wzrost cen ropy na światowych rynkach przekłada się też na podwyżki na stacjach benzynowych, a cena paliwa jest uznawana w Stanach Zjednoczonych za jeden z ważnych czynników mogących wpłynąć na preferencje wyborcze. Na dodatek Harold Hamm, jeden z najważniejszych amerykańskich graczy na rynku wydobycia ropy szczelinowej, oskarżył Bidena, że ten niepotrzebnie zmniejszył poziom amerykańskich rezerw, narażając konsumentów na podwyżki, a także zahamował rozwój tego sektora wydobycia węglowodorów, zmniejszając szanse zarówno na uzupełnienie braków, jak i na wzrost eksportu. Deklaracje Hamma, jednego z większych sponsorów Trumpa, są o tyle istotne, że Pensylwania, jeden z ważniejszych swing state, jest stanem, w którym kwestia frakcjonowania ropy ze względu na znaczenie tego sektora dla lokalnej gospodarki jest gorącym tematem. Jeśli wojna na Bliskim Wschodzie przysporzy popularności Trumpowi, który oskarża demokratów o nieudolną i w efekcie prowokującą zaostrzenie sytuacji politykę, samemu reklamując się jako „kandydat pokoju" i twórca Abraham Accords, systemu porozumień stabilizujących sytuację, to może się okazać, że posunięcie Netanjahu jest korzystne dla Izraela, również jeśli chodzi o sytuację w Stanach Zjednoczonych.

Iran nie może bezczynnie przyglądać się temu, co się dzieje, bo osłabieniu ulega cały konstruowany przez lata przez Teheran system bliskowschodnich sojuszy. Jak donoszą dziennikarze „Financial Times", na spotkaniu najwyższego kierownictwa państwa poprzedzającego atak rakietowy przeciw Izraelowi zwyciężyła umowna „frakcja twardogłowych" opowiadających się za rozwiązaniami siłowymi.

Netanjahu również nie może dziś ustąpić, tym bardziej że w Izraelu panuje przekonanie, że udało się osiągnąć przewagę na polu walki i wojna z organizacjami w rodzaju Hamasu i Hezbollahu może być wygrana. Mało kto myśli o rozwiązaniach politycznych i ponownych żmudnych negocjacjach, co oznacza, iż jesteśmy na ścieżce eskalacji konfliktu. Najprawdopodobniej nastąpią kolejne uderzenia i odpowiedzi, a to zbliża nas do wojny regionalnej, która może gruntownie odmienić oblicze Bliskiego Wschodu i w konsekwencji również świata.

eprasa.pl d64a508a41

Bohater, który może wszystko

Boks w Teatrze Wielkim? To mogło się zdarzyć tylko z okazji otwarcia 40. Warszawskiego Festiwalu Filmowego. W poniedziałek „Kulej. Dwie strony medalu" uświetni jubileuszową galę WFF, a w piątek trafi do kin. O filmie rozmawiamy z reżyserem Xawerym Żuławskim

Fot. Grzegorz Press/Watchout Studio

eprasa.pl d64a508a41

Fot. 49. FPFF w Gdyni

Z reżyserem Xawerym Żuławskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Kulej. Dwie strony medalu", po takich filmach, jak „Chaos", „Wojna polsko-ruska", „Mowa ptaków" czy „Apokawixa", może zaskakiwać. To zapowiedź zwrotu w reżyserskiej karierze?

Xawery Żuławski: Chyba tylko debiut był w pełni moim filmem. Takim, który od początku chciałem zrealizować. Mówiłem już o tym na konferencji [rozmowa odbyła się tuż po prapremierze na festiwalu w Gdyni, gdzie film pokazywany był w konkursie głównym – przyp. red.], że nie mam jednego określonego pomysłu na swoje kino. Można powiedzieć, że to nie ja wybieram filmy, tylko one wybierają mnie, a ja staram się dobrać odpowiednią formę do każdej historii, która do mnie przychodzi i jest scenariuszem bądź ten scenariusz trzeba jeszcze stworzyć. Jeżeli mam do czynienia z filmem artystycznym, który jest hołdem dla twórczości mojego ojca („Mowa ptaków"), wiadomo, że nie będę tego próbował wcisnąć w klasyczne ramy, tylko pójdę drogą intuicji i reżyserii na innym, bardziej duchowym poziomie. Z prozy Masłowskiej („Wojna polsko-ruska") też byłoby trudno zrobić „normalny" film itd.

Czego szukał pan w tytułowym bohaterze?

W tej postaci wszystko jest możliwe. Bohater nie widzi ograniczeń. Żadna przeszkoda nie była dla Jurka nie do pokonania. Ani żaden przeciwnik. Jego historia pełna jest wzlotów i upadków, dostarcza wzruszeń nie tylko sportowych. Jerzy Kulej to też ikona naszej raczkującej rodzimej popkultury.

Podwójne olimpijskie mistrzostwo, 348 stoczonych walk, w tym 317 wygranych i 6 zremisowanych. Nigdy nie leżał na deskach...

Oprócz – jak się dowiemy z filmu – nokautu, który mu zafundowała poza ringiem jego żona Helena. Tym bardziej porywająca była opowieść o dynamice związku i relacji tej pary.

Od którego momentu wiedzieliście, że to będzie – parafrazując tytuł – także film o dwóch stronach małżeństwa Kulejów?

Już od etapu prac dokumentacyjnych. Zauważyliśmy też wtedy, że droga Heleny była emancypacją, wydobywaniem się z cienia sportowej gwiazdy. Film opowiada o czterech latach z życia tej pary, obserwujemy ich perypetie pomiędzy dwoma igrzyskami olimpijskimi, na których Jurek walczy o najwyższe laury.

Jak dobieraliście główną aktorkę?

Michalina Olszańska pojawiła się bardzo szybko, zastanawialiśmy się tylko, czy ma grać Helenę, czy Żorżetę (drugą z ważnych postaci kobiecych w tym filmie). I tu Waldek Kulej, syn Jerzego i Heleny, rozstrzygnął ten problem, mówiąc: „Michalina wygląda zupełnie jak moja mamusia".

A co zadecydowało, że właśnie ten aktor wcielił się w tytułowego bohatera?

Kiedy Tomasz Włosok pojawił się w naszej głowie i potem na castingu, miał już rodzaj przygotowania bokserskiego, co bardzo przyspieszyło prace. Od razu mógł pójść krok dalej i uczyć się stylu boksowania Jerzego Kuleja, jego pięściarskiej „choreografii", a nie podstaw wyprowadzania ciosów. Od strony sportowej Tomek wniósł bardzo wiele. Plus jego charyzma, warsztat...

Opowiadacie o sportowcu i jego związku, a także o milicjancie uwikłanym w wycinek polskiej historii.

Spotkaliśmy się z tak wieloma ulicznymi legendami i tak różnymi punktami patrzenia na Jurka, że postanowiliśmy stworzyć własną legendę. W tych miejscach, w których się da, staraliśmy się przybliżyć wydarzenia tamtych lat, ale bez oceniania i robienia kina politycznego czy political fiction. Po prostu cały film jest oparty na faktach, tak było, te rzeczy się działy, jakimś cudem Jurek się przez nie prześlizgiwał.

Powiedział pan na początku, że to filmy pana wybierają. Jaki projekt teraz do pana przychodzi?

Serial „Odwilż" sezon 3.

eprasa.pl d64a508a41

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Powrót do Reims" – opowieść o wstydzie

„Powrót do Reims" to znów transfer z teatru scenicznego do TVP1, wspólna produkcja Teatru Nowego i Teatru Łaźnia Nowa z Krakowa. Tym razem do teatralnego budynku nie wprowadzano kamer, jak w przypadku musicalu „1989". Dekoracje (autorstwa samej reżyserki) przeniesiono do telewizyjnego studia. Na dokładkę zagrano to dla nas na żywo. Tekst autobiograficznej książki francuskiego socjologa i filozofa Didiera Eribona adaptowali Beniamin Bukowski i Katarzyna Kalwat, ona go wyreżyserowała. W grudniu 2020 r. miał premierę online (podczas pandemii). W miesiąc później pokazano go w progresywnym Teatrze Nowym.

Książki nie znam. To wyznania intelektualisty, który uciekł z rodzimego miasta Reims do Paryża – jak twierdził – przed homofobicznymi szykanami. A następnie przeżył falę spóźnionych mąk duchowych jako dziecko proletariatu z przedmieść. Tematem spektaklu, zapewne i książki, jest więc wstyd. Najpierw ten dawny, homoseksualisty, potem nowy, człowieka udręczonego swoim pochodzeniem.

Bukowski i Kalwat zamknęli całą opowieść w ramy telewizyjnego talk-show. Intelektualista jest poddany upierdliwej wiwisekcji przez parę dziennikarzy. Forma tego nie całkiem realistycznego widowiska jest błyskotliwa. Jako Eribon występuje Jacek Poniedziałek. Jak twierdzi, do pewnego stopnia opowiada tu własną historię – jako gej i jako człowiek, który wyszedł z biedy. Gospodarzy telewizyjnego studia kreują Jaśmina Polak i Yacine Zmit. Ona jest modną aktorką Teatru Nowego. On niezawodowym artystą, który do teatru i kina wszedł przez rap, na dokładkę podobnie jak grana przez niego postać półalgierskiego pochodzenia.

Powtórzę: forma robi wrażenie. Cała trójka świetnie eskaluje kolejne sytuacje, w których powaga poruszanych przez gościa tematów zderza się ze wścibstwem i pretensjonalnością telewizyjnych mistrzów ceremonii. Uczony do pewnego stopnia podchwytuje ten styl, a trochę się przed nim broni. Urzeczony owymi kaskadami groteski dopiero po wszystkim pozostałem w stanie niedosytu przemieszanego z dezorientacją.

Niewątpliwie dostajemy tu kawałek satyry na pewną formę komunikacji. Czy jednak chodzi tylko o krytykę samego przeintelektualizowanego języka, o którym reżyserka, aktorzy i prowadząca rozmowę po spektaklu Agnieszka Szydłowska orzekli, że bywa formą opresji wobec „zwykłych ludzi"? Czy kryje się tu także szczypta satyry na kawiorową lewicę? A zarazem czy sam Eribon nie jest częścią tej formacji? Czy szydziłby z samego siebie? A może to wyraz jego buntu przeciw swojej bańce? Zakończenie spektaklu pozostaje otwarte, zdominowane przez coś, o czym słyszymy od początku, przez okrzyk: „Wstydzę się!".

Warto przypomnieć, że w marcu 2021 r. kolejny spektakl w Nowym nie odbył się, bo Poniedziałek zaatakował fizycznie młodszego Zmita. Stało się to tematem ograniczonych demaskacji, i to w mediach lewicowych, z „Wysokimi obcasami" na czele, które na kanwie zdarzenia zaczęły pytać o przemocowość w teatrze. Dziś obaj panowie demonstrują wzajemną komitywę. Nikt do tego wraca.

Jak widać, klimat wszechogarniającej tolerancji nie chroni przed demonem agresji. Zarazem nie czepiam się, teatr to stresujące miejsce pracy. Na dokładkę Poniedziałek kilka razy przejawiał choć minimalną chęć poznania środowisk innych niż jego własne. Choć akurat nie po tym telewizyjnym spektaklu, kiedy uznał go za przejaw walki o prawa LGBT+, co trąci nadmiernym upolitycznianiem sztuki. A równocześnie polecam samo przedstawienie – wisi na VOD. Także tym, dla których będzie to zajrzenie do obcych sobie światów.

Piotr Zaremba

cprasa.pl do 4508a41

3 MIŁOŚCI

Patrzcie na umieranie

ROBERT TEKIELI

Za trzy tygodnie w ciągu dnia będzie jeszcze ciemniej, będziemy myśleć o umieraniu i o śmierci. O naszych bliskich zmarłych i o własnym życiu.

Czytam książki i wywiady z księżmi, pielęgniarkami i lekarzami pracującymi w hospicjach czy szpitalach. Poznaję doświadczenie towarzyszących odchodzeniu.

Przed śmiercią ludzie nie myślą o pieniądzach czy pracy. Nie żałują, że nie zrobili większej kariery zawodowej lub nie zyskali sławy. Nie proszą o to, by przynieść im do łóżka medale czy dyplomy ukończenia swych najlepszych uczelni. Nie czują rozgoryczenia z powodu zbyt małej liczby życiowych partnerów lub partnerek. Żałują, że w porę nie pogodzili się z rodziną, że zaniedbywali bliskich i przyjaciół, że nie udało się im podtrzymać dobrych, ciepłych relacji. Martwią ich niezałatwione sprawy.

Oczekiwanie na śmierć niweluje wszelkie różnice. Nie umierają bogaci ani biedni, sławni czy nikomu nieznani. Ci, którzy są w stanie się komunikować, mówią o żalu, że nie zdążyli kogoś przeprosić, czegoś wyjaśnić, że nie spędzali więcej czasu ze swoją rodziną, że stawiali na tytuły i pieniądze, a nie na relacje. Żałują, że nie potrafili być na tyle silni, by powiedzieć komuś „przepraszam" czy „kocham". Bo w końcu wszystko sprowadza się do relacji, czyli do miłości.

Po nawróceniu poważny kwartalnik katolicki poprosił mnie o tekst na temat mojego życia duchowego. Pisząc go, zorientowałem się, że nie prowadzę takiego. Można przeżyć całe życie jako człowiek nakierowany na odnoszenie sukcesów czy gromadzenie rzeczy. Można żyć, kierując się materialnymi potrzebami, troszcząc się o wygodę, pieniądze, władzę. Nasze decyzje zależą od naszej hierarchii wartości. Wielu umierających dopiero na sam koniec uzmysławia sobie, co naprawdę jest najważniejsze w życiu.

Według zgodnych opinii osób towarzyszących odejściom łatwiej umiera się ludziom wierzącym. Ale takie stwierdzenie łatwo przecenić. Są tacy, którzy codziennie chodzą do kościoła, a nie mają cienia relacji z Bogiem. Można się modlić godzinami, pościć trzy razy w tygodniu i zaspokajać w ten sposób jedynie własne potrzeby. Wiem, bo w religijnym formalizmie kiedyś ukrywałem swój chory perfekcjonizm. Jezus chce relacji, bliskości. Tylko komunia z nim, zjednoczenie, może doprowadzić do wlania się jego miłości do mojej duszy. A wtedy pobożność jest jak randka z ukochaną osobą. Każdy jest słaby i rzecz w tym, by odpierać pokusy ze względu na to, że grzech odsuwa od Jezusa.

Bóg, uzmysławiając nam, co jest najważniejsze, pokazując, co człowiek może zabrać ze sobą, idąc boso w swojej ostatniej drodze, stawiając sprawy na ostrzu noża, wcale nie chce pozbawić człowieka przyjemności. Nie chodzi mu o to, bym mieszkał na pustyni i żywił się korzonkami, lecz bym znał prawdziwą hierarchię wartości i nie był niewolnikiem rzeczy. Zrzekając się wszystkiego, nie stawiając niczego wyżej niż on, dostaję z powrotem to, co jest dla mnie w jego planie. Dawid nie był nędzarzem. Ale wiedział, że władza i bogactwo to rzeczy przygodne.

Mądrość płynąca z miłości jest większa od wiedzy czy inteligencji. Miałem babcię Zosię, która nigdy nie podniosła głosu i do której wszyscy się garnęli. Miała bardzo trudne życie, po śmierci dziadka wychowała siódemkę dzieci. Dawała sobie radę w pokorze i ciszy. Nikt nie wie, ile ją to kosztowało. Ja nie potrafię kochać nieprzyjaciół, nie potrafię kochać nawet tych, którzy mnie kochają.

Często myślimy, że nasze czasy wyróżniają się ilością i natężeniem zła. Ale w Biblii czytamy o ludziach wpadających w szał na widok czynionego dobra i o skrajnej niemoralności. Kto wpada w szał, widząc czynione dobro? Człowiek opętany przez zło. Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwiąźli, ani mężczyźni współżyjący z sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdziercy nie odziedziczą królestwa Bożego. Jednak z każdego grzechu można wyjść, prosząc o łaskę z nieba. Mogą wtedy szukać prawdy, szukać Jezusa i go naśladować.

I na koniec, doceniając miejsce wiary w życiu, myślę o nader progresywnych i ekumenicznych kapłanach. Nie oszukujcie ludzi słowem „miłosierdzie". Bóg przebacza grzechy tylko wtedy, gdy za nie żałujemy. Nie mówcie, że uniwersalną prawdę, którą na świat przyniósł Jezus, należy zmodyfikować, by przystawała do tej czy innej kultury. Popatrzcie na umieranie. Na to, jak zrównuje ludzi.

Umierający pragną prawdy, dotyku i czasu. W dotyku jest miłość. Ich najczęstsze słowa przed odejściem to: „Dziękuję", „Wybaczam ci", „Proszę, wybacz mi". A najczęściej mówią: „Kocham cię". Czasem jest i bunt, i rozpacz.

Nasze wybory mają wpływ na to, czy odejdziemy spełnieni i szczęśliwi. W wywiadzie dla onet.pl kapłan z hospicjum powiedział: „Kiedy umierają najlepsi, to tak, jakby niemal widziało się odblask nieba, które jest blisko".

eprasa.pl d64a508a41

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Na początek proszę sobie wyobrazić świat, w którym nie wymyślono pocałunku i nie istnieje koncept szczęścia, zastąpiony przez honor i poczucie obowiązku. Do takiej rzeczywistości zaprasza nas M.L. Wang, autorka *„Miecza Kaigenu”*, pełnokrwistej powieści fantasy dla dorosłych. A wyznacznika dorosłości nie widzę w dojrzałości narządów płciowych, lecz w skłonności do refleksji.

Akcja powieści toczy się w bardzo spójnym uniwersum, w którym feudalny świat quasi-japońskich wojowników posługujących się magią żywiołów styka się z nieomal współczesną cywilizacją bombowców, telefonów komórkowych i prawie internetu. Jest tu kostniejące imperium i daleki cesarz, wojna i walka o władzę, rycerskie klany, lojalność i zdrowy rozsądek *versus* spajająca społeczeństwo kłamliwa propaganda.

„Miecz Kaigenu” to bogaty, mistyczny świat, nieoczywista fabuła, potęgujące się z rozwojem akcji napięcie, psychologiczna głębia postaci, analiza relacji rodzinnych, ale też, i może przede wszystkim, akcja. Opowieść o rodzinie Matsuda to książka emocjonująca i wzruszająca, poruszająca i pochłaniająca. O tym ostatnim niech świadczy fakt, że jej 720 stron pochłonąłem za jednym posiedzeniem/poleżeniem.

Wang dotyka tematyki płci, problemów rasowych, przynależności etnicznej i władzy. Stawia pytania o tożsamość jednostki, granice wolnej woli i przeznaczenie.

O wartości jej twórczości stanowią jednak nie tylko barwne, złożone postaci, oryginalne i ciekawe uniwersum, wciągająca fabuła oraz istotność poruszanych kwestii. Dla mnie „Miecz Kaigenu” to wykład na temat nie tyle złożoności, ile plastyczności ludzkiej natury.

Przypominam, mówimy o świecie, w którym pocałunek to romantyczny zwyczaj przyniesiony do odległej Karytii przez białych niewolników sprowadzanych w szczycie jammańskiego kolonializmu, który główna bohaterka odkryła na studiach, a który w jej rodzimej kulturze Półwyspu Kusanagi nie istnieje. Mówimy o świecie, w którym kobieta jest całkowicie zależna od patriarchy klanu i od męża, mężczyźni pełnią tradycyjne role i nie w głowie im kwestionowanie odwiecznego porządku.

M.L. Wang jest spadkobierczynią dwóch kultur, chińskiej i amerykańskiej, tak różnych, że już to skłania do porównań i refleksji. Kultury powstają w różnych środowiskach, służą okiełznaniu przyrody, której dzikość jest ich pierwszym przeciwnikiem. Ale niepowtarzalna suma wpływających na siebie zmiennych – religia, sprzyjająca lub nie geografia, takie a nie inne sąsiedztwo – odciska się na rodzącej się kulturze w sposób niedający się zatrzeć. Do tego dochodzi suma decyzji wybitnych osobowości kształtujących u zarania wspólnoty obyczaj, prawo i reguły wymiany. Efektem są formy życia tak od siebie różne, jak panujące w tym samym czasie w renesansowej Florencji i na azjatyckich stepach.

Plastyczność ludzkiej natury pozwala się dostosować do każdej z tych ograniczających ją form. W „Mieczu Kaigenu” najbardziej przejmujące są introspekcje głównej bohaterki. W młodości studiującej w kosmopolitycznym mieście, by potem wrócić do domu i zawrzeć aranżowane małżeństwo z nieznanym sobie mężczyzną, a właściwie z jego rodem.

Misaki zamieszkuje w patriarchalnej wiosce, ma męża, dla którego jest tylko maszyną do rodzenia synów i znosi nieustające upokorzenia – dostosowała się do kultury, w której, jak już pisałem, nie istnieje idea szczęścia, a dotyk, cielesna bliskość to objaw słabości.

Powieść M.L. Wang jest studium przypadkowości, na którą skazuje nas czas i miejsce urodzenia, a także pochwałą wewnętrznej siły, która pozwala bohaterce ochronić to, co w byciu człowiekiem najważniejsze. Misaki jest elokwentna i bezlitosna, odważna i podstępna w walce. Rezygnując z miłości życia, potrafi rozbić kulturową skorupę, w której zamknął się/został zamknięty jej mąż i doświadczyć partnerstwa, a nawet uwolnić w sobie zdolność do szczerej, płynącej z serca radości.

I ta recenzja do samego końca mogłaby być zasłużoną laurką, gdyby nie to, że autorka z nieznanych mi powodów na ostatnich dosłownie kartach powieści zaczęła wszystko psuć, dopowiadając to, czego dopowiadać nie trzeba (w trakcie pożegnania młodzieńczej miłości bohaterka dosłownie staje się „kobietą stojącą między mężczyzną z ognia i mężczyzną z lodu”) oraz wprowadzając *deus ex machina* dwustronicowy wątek homoseksualny. Choć być może nieobecność pochwały homo „małżeństwa” skazuje dziś autorów głównego nurtu na ostracyzm albo gorzej – jest nie do pomyślenia dla humanisty wykształconego przez współczesne zachodnie zagłębia ideologiczne zwane z przyzwyczajenia uniwersytetami.

Robert Tekieli,
Polskie Radio

eprasa.pl d64a508a41

Maciej Walaszczyk

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Obok historii oficjalnej

O obrazie historii decydują narracje, które historycy, a nawet instytucje publiczne i media, narzucają społeczeństwom. Oczywiście nie od dziś, bo zmieniają się czasy i narzędzia perswazji. Mówi się nawet o polityce historycznej czy dominacji narracyjnej. Książka Huberta Kozieła, niezwykle przyjemna w lekturze, można powiedzieć – uwodząca czytelnika, to ćwiczenia z wyobraźni. Akcent przesunięty z jednych postaci i faktów na inne przekształca również obraz wydarzeń.

Zbiór historycznej publicystyki przez lata publikowanej na jego brawurowym blogu FoxMulder, której wybór trafia teraz do pasjonatów historii najnowszej, to właśnie próbka tego rodzaju literatury. W kilku szkicach autor stawia czasem bardzo karkołomne tezy, przypisując np. gen. Erichowi Ludendorffowi siłę sprawczą, która praktycznie zmieniła losy świta. Nieograniczoną wojną podwodną sprowokował USA do przystąpienia do Wielkiej Wojny, poniósł fiasko na froncie zachodnim, przerzucił Lenina do Rosji. Choć nie da się ukryć, że jak niemiecki sztab generalny rozprzestrzenił wirusa bolszewizmu, tak samo Ludendorff osobiście zainteresował się małą partyjką sterowaną przez wywiad wojskowy pod nazwą NSDAP, stając się ojcem chrzestnym nazizmu, jak i całej katastrofy, która spotkała Niemcy w II wojnie.

Sporo tu również innych ciekawostek, których nie ma sensu streszczać, ale warto się z nimi zmierzyć. Choćby o kandydacie na ołtarze, Słudze Bożym papieżu Piusie XII, który jeszcze jako Eugenio Pacelli przez wiele lat pracował w watykańskiej dyplomacji, także w biurze szyfrów, a odbywając tajne misje, m.in. w stolicy Republiki Weimarskiej, zaprzyjaźnił się z adm. Canarisem, późniejszym szefem Abwehry. To on jako sekretarz stanu u swego poprzednika Piusa IX zredagował potępiającą narodowy socjalizm encyklikę „Mit brennender Sorge". Najpierw ostrzegał przed jego zbrodniczymi zamiarami, a potem pomagał prześladowanym Żydom. I choć wszystkie antyhitlerowskie spiski zakończyły się fiaskiem, poznajemy kulisy jego zaangażowania w nieudane zamachy na Hitlera, w które byli wpleceni chrześcijańscy politycy z Bawarii, niemieccy hierarchowie i księża oraz narodowo-konserwatywna opozycja. O tym, jaka była siła komunistycznej dezinformacji, świadczy fakt, że do dziś media powielają propagandową zbitkę o „papieżu Hitlera". „Cóż, skoro Niemcom udało się przekonać świat, że ich obozy zagłady były »polskie«" – puentuje Kozieł.

Hubert Kozieł, „Mroczne sekrety II wojny światowej", Replika 2024

Czas wyhamowany

Paweł Łukaszewski to kompozytor idący pod prąd. Nie interesuje go awangarda dla poklasku, czysta forma, muzyka dla muzyki, a raczej muzyka żarliwa w swej religijności. Niosąca emocje, choć na swój sposób prosta, albo, używając właśnie konfesyjnych analogii, ascetyczna. Łukaszewski zawsze odwoływał się do Częstochowy (rodzinnego miasta) i Jasnej Góry oraz zwracał uwagę, że został ukształtowany przez tradycje liturgiczne i muzyczne Kościoła. Dlatego poświęcił się muzyce chóralnej, sakralnej, religijnej, pamiętając, że przyświecają im całkiem odmienne cele i wartości. To m.in. „Stabat Mater" (1994), „Antiphonae" (1995–1999), „Resurrectio" (2012) i wiele innych dzieł.

Stosując pewną ciekawą metodę zapętlania motywów i powtarzanych fraz, co w konwencji muzyki chóralnej daje potężny efekt „wyhamowywania czasu", jego zatrzymania, a może nawet bezczasowości sprzyjającej modlitwie i kontemplacji, osiągnął wręcz mistrzostwo. Kompozytor wpisuje się więc estetykę neośredniowiecznej tonalności i tradycji duchowej, propagowanej przez takich kompozytorów jak Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar czy Arvo Pärt. Tworzy muzykę, która jest uderzająco tradycyjna, a jednocześnie w pełni nowoczesna. Na tej płycie znajdują się wyłącznie utwory na orkiestrę smyczkową z udziałem świetnych polskich instrumentalistów. Niezwykle przyjemne w odbiorze, zawierające kontrastujące z sobą naprzemiennie motywy, z których zawsze przewagę zdobywa to, co piękne, liryczne i wzbudzające zadumę. Płyta jest ciekawa także dlatego, że trafiły na nią utwory nigdy nierejestrowane, a zarazem będące nagraniami o najwyższej jakości. To m.in. „Neopolis Concerto" na altówkę i orkiestrę, łączące śpiewne motywy kontemplacyjne, wręcz liryczną kantylenę kontrastującą z groteską. Fantastyczne i lekkie „Wings Concerto" na dwa saksofony i orkiestrę kameralną, będące znów wersją kompozycji pierwotnie skomponowanej na flety. Mimo neoklasycznej oszczędności brzmienie wprowadza słuchacza w barwny świat dźwiękowej witalności. Mamy wreszcie pełen wręcz filmowych motywów „Koncert na fortepian i orkiestrę smyczkową", będący dla odmiany inną wersją „Koncertu na organy i orkiestrę". Płytę zamyka trwająca ponad 10 minut medytacyjna „Claromontana", której tytuł wyjaśnia wszystko.

Paweł Łukaszewski, „Concertos", Chopin University Press 2024

eprasa.pl d64a508a41

Ideologia buntu i niezgody

Rewolucja to nieustanny bunt przeciwko wszystkiemu, co stałe – prowokowanie, podtrzymywanie i rozwijanie wszelkiej niezgody w społeczeństwie

Komunizm, a może raczej wykwit sowieckiej hydry rewolucji, runął 35 lat temu. Jednak w dniu oficjalnego ogłoszenia jego upadku ideologiczny konglomerat ożywiający jego istotę przeżywał na Zachodzie swój prawdziwy renesans. Tak jest do dziś, bo stanowi on ukoronowanie nowoczesności. Przekonanie o tym, że człowiek jest narzędziem historii i czasu, a jego natura bezkształtną i podlegającą zmianie materią, to dziś oczywistości kształtujące umysły zarówno elit, jak i społecznych nizin. Marksizm bowiem jako ideologia metodycznej sprzeczności, czystego ruchu i działania („praktyka jako teoria poznania"), ewolucji i świadomości determinowanej istnieniem, słów, które zmieniły swe znaczenie, jest obecny wszędzie.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Te same założenia przenikają z pozoru liberalne wyznanie wiary milionów, gdzie prawdziwe jest to, co skuteczne i silne wraz z kultem coraz większej efektywności materialnej. Faktyczna tożsamość tych jedynie pozornych przeciwieństw jest oczywistością. Wszystkie fragmentaryczne negacje pojawiające się dotąd w europejskiej myśli, takie jak empiryzm, racjonalizm, materializm, dekonstrukcje i nihilistyczne propozycje, które podminowały istniejące dotąd formy, dopiero w marksizmie zyskały konsekwentną systematyzację. Jest on ukoronowaniem całej myśli rewolucyjnej i dynamicznego rozumienia świata, wrogiem wszystkiego, co stabilizuje. Nie ma więc żadnego przypadku w tym, że Zygmunt Bauman z marksistowskiego teoretyka przemienił się w teoretyka płynnej nowoczesności doby globalizacji.

Jean Ousset stoi oczywiście na twardym gruncie realizmu i przekonania, że „tak" znaczy „tak", a „nie" znaczy „nie. W młodości jako sekretarz Charlesa Maurrasa był związany z Action Française. Uczula, że rewolucją nie są masońskie spiski same w sobie ani uliczne zamieszki, zbrodnie terroru, zmiana monarchii w republikę, jednej dynastii na inną, a nawet jakobini, Marat, Robespierre czy Mazzini. To bowiem tylko przemijający ludzie i przemijające fakty. Rewolucja stanowi odwrócenie wszystkiego do góry nogami, nienawiść do każdego porządku z Boskiego nadania, „filozofia buntu, polityka buntu, religia buntu, uzbrojona negacja".

Ousset pisał tę książkę po studenckiej rewolcie 1968 r., która – jak podkreślał – obaliła fałszywą opinię, że komunizm nie może istnieć bez Moskwy. Przeciwnie, tak jak przejawem komunistycznego myślenia były niektóre koncepcje platońskie, wizje Campanelli, Fouriera, Saint-Simona, a nawet katolickiego „progresywizmu", tak samo ożywiał on ówczesny wstrząs społeczny i kulturowy. To doktryna przepoczwarzająca się, ewoluująca, której istota pozostaje ta sama. Gdy już pisał swe słowa, Marks czy Lenin byli wielokrotnie zretuszowani, a sama doktryna uległa przeobrażeniom w interpretacjach maoistów, Marcuse'a czy Freuda. Zresztą i ta książka również jest polemiką z ideologami Francuskiej Partii Komunistycznej, takimi jak m.in. Georges Politzer.

Dzisiaj do tej grupy dołączyły kolejne pokolenia wyznawców genderyzmu, wokeizmu i wszystkich, których intuicyjnie wrzuca się do worka z napisem „marksizm kulturowy". Bo rewolucja to nastanie klimatu permanentnej kontestacji, ciągłego podważania wszystkiego. „Potajemny bunt musi się wkradać we wszystkie nasze twierdzenia i we wszystkie nasze myśli" – mówił Jean Jaurès, jeden z autorów francuskiej ustawy o rozdziale Kościoła od państwa. To ideologia nieustannej niezgody i konfliktu między czarnymi i białymi, robotnikami i pracodawcami, mężczyznami i kobietami, dziećmi i rodzicami, lewicy przeciw prawicy. Rozmycie wszystkiego, co może być substancją prawdy i obiektywnego porządku rzeczy. Publikacje Ousseta nie były lamentem nad tym, co utracone, ale raczej wezwaniem do twórczego oporu. Sporo więc i tutaj odniesień do doktryny katolickiej, przekonanie, że błędne przekonania lęgną się nie w pustych brzuchach, ale pustych umysłach podatnych na indoktrynację. Skoro, jak dowodził, XIX w. był stuleciem gwałtownego rozwoju wywrotowych ideologii, to jednocześnie przyniósł wiele wybitnych umysłów kontrrewolucyjnych. „Nie bądźcie wygnańcami w swojej ojczyźnie" – pocieszał.

Jean Ousset, „Marksizm i rewolucja", Andegavenum 2021

eprasa.pl d64a508a41

O policji granatowej i dramatycznych realiach II wojny światowej

Każdy funkcjonariusz jako przynależny do niemieckich służb miał obowiązek wykonywać niemieckie rozkazy. Niemcy wymagali mordowania na miejscu albo odstawiania żandarmerii Żydów przebywających poza wyznaczonymi miejscami. Z punktu widzenia państwa polskiego ci, którzy dokonywali takich zabójstwm byli zdrajcami

Z dr. Maciejem Korkuciem, naczelnikiem Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Krakowie i wykładowcą Uniwersytetu Ignatianum w Krakowie, rozmawia Stanisław Płużański

Czym była policja granatowa?

Maciej Korkuć: Z samej definicji policji wynika, że to formacja zawsze przynależna do jakiegoś państwa. Granatowa policja, czyli polnische Polizei, była niemiecką formacją mundurową, utworzoną 17 grudnia 1939 r. przez generalnego gubernatora Hansa Franka. Sprawował on władzę w GG w imieniu Rzeszy Niemieckiej, wykorzystując niemiecki porządek prawny i decyzje wodza Rzeszy. Granatowa policja została utworzona jako najniższe ogniwo w strukturze niemieckiej Ordnungspolizei (Policji Porządkowej) w GG. Wchodziła w jej skład. Od początku była pomyślana jako rekrutowane z Polaków i częściowo z Ukraińców niemieckie narzędzie do egzekucji przepisów okupacyjnych. Zarazem jako narzędzie do swobodnego wykorzystania przez wyższe „rasowo" niemieckie formacje żandarmerii i jej odpowiedników w kilku największych miastach GG – Schutzpolizei, czyli Schupo.

Przypomnienie, jakie państwo powołało tę formację, jest kluczem do oceny jej funkcjonowania. W różnych sporach – najczęściej pomijanym. Bez tego zaś najłatwiej zgubić istotę rzeczy. Należy podkreślić, że nie było żadnej ciągłości państwowo-prawnej z Policją Państwową sprzed wojny. Granatową policję utworzyły władze niemieckie w ramach własnego porządku prawnego. One nią dysponowały, one decydowały o strukturze, awansach i sposobie wykorzystania. Polski nikt nie pytał o zgodę.

Kim byli członkowie policji granatowej?

To przede wszystkim obywatele RP przed wojną zatrudnieni w Policji Państwowej, pod groźbą „najwyższych kar" zmuszeni przez Niemców do zarejestrowania się w niemieckich urzędach okupacyjnych, a następnie przymusowo skierowani do służby w niemieckiej polnische Polizei. Niemcy poszukiwali także funkcjonariuszy, którzy przed wojną mieli konflikty z prawem, np. policjantów dyscyplinarnie zwolnionych ze służby. Niekiedy też takich, którzy przeszli w stan spoczynku. W pewnym momencie otworzyli się także na ochotników – ludzi, którzy nie mieli przed wojną stażu w policji.

Niemcy potrzebowali narzędzi do opanowania dużych obszarów, które znalazły się pod ich władzą. Ziemie polskie bezpośrednio wcielone do Rzeszy miały być obsługiwane przez formacje policyjne „rasowo" niemieckie. Na pozostałych ziemiach wcielonych w granice Rzeszy w postaci utworzonej przez Hitlera struktury administracyjnej pod nazwą Generalgouvernement Niemcy potrzebowali dodatkowych narzędzi do zarządzania tym swoistym rezerwatem dla Polaków i Żydów. Ludzi znających język polski, lokalne społeczności. Najliczniejszą grupę w tej formacji stanowili ci, których powołano przymusowo. Inna rzecz, że na skutek wątpliwości wobec potencjalnej lojalności tych Polaków celowo zrezygnowano z tworzenia autonomicznej, pionowej hierarchii polnische Polizei w GG. Struktura pionowa w ramach tej „granatowej" części Orpo teoretycznie kończyła się na komendancie powiatowym. Jednak rzeczywistymi dowódcami i dysponentami granatowych policjantów byli lokalni niemieccy dowódcy Schupo i żandarmerii. Komendanci powiatowi byli sprowadzeni do roli

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d64a508a41

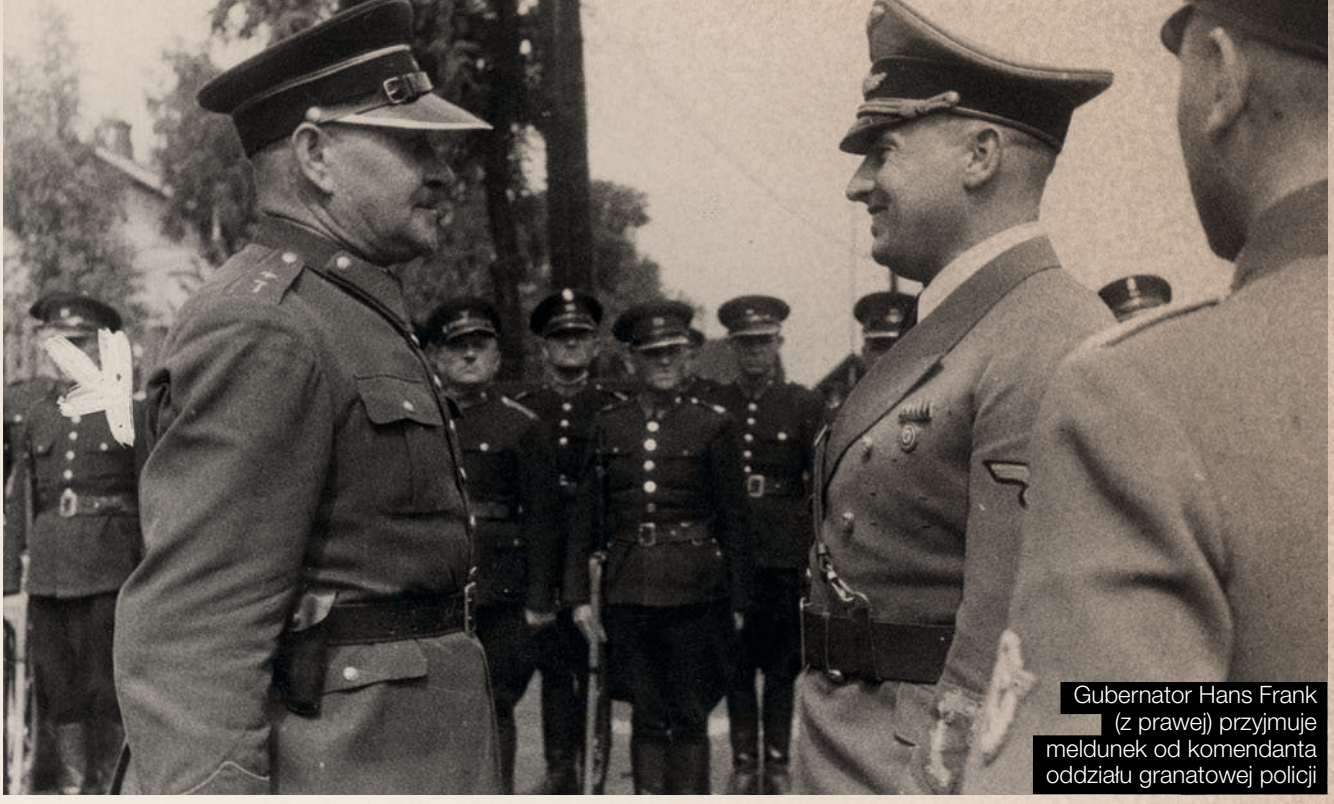

Gubernator Hans Frank (z prawej) przyjmuje meldunek od komendanta oddziału granatowej policji

Fot. NAC

tych, którzy w ramach niemieckich zarządzeń mieli zapewnić organizacyjne i gospodarcze zaplecze do wykonywania niemieckich rozkazów. Natomiast dowódcy lokalnej żandarmerii w niemieckich dokumentach wprost bywali nazywani „polnische Polizei Führer". Żandarmom musieli oddawać honory nawet formalnie wyżsi rangą granatowi oficerowie. Przy wyższych szczeblach dowodzenia w Orpo utworzono jedynie funkcje „polskich oficerów łącznikowych". Nie mieli oni formalnej władzy. Byli swoistymi pomocnikami i polskojęzycznymi doradcami niemieckich funkcjonariuszy. Niemcy zadbali, aby granatowe struktury policyjne pozostawały zatomizowane. Uważali, że nawet Polakom zaciągniętym do ich służby nie wolno ułatwiać łączenia sił.

Jaki stosunek do policji granatowej miało Polskie Państwo Podziemne?

Taki jak do niemieckiej służby, w której Rzesza Niemiecka bezprawnie wykorzystała obywateli RP. Rzeczpospolita Polska, bo częścią jej struktur w kraju było Polskie Państwo Podziemne, oczywiście ze zrozumieniem podchodziła do sytuacji, w której znaleźli się poszczególni obywatele – policjanci przymusem wcieleni w szeregi niemieckiej polnische Polizei. Ale oczekiwano od nich godnej postawy. Uczestniczenie w zwalczaniu kryminalistów nękających ludność cywilną nie było problemem. Tym stawał się udział w niemieckich represjach i zbrodniach. Rzesza i zwierzchnicy z Orpo wymagali od nich wierności, a więc gorliwego wykonywania poleceń niemieckich zwierzchników. Każdy taki policjant formalnie oświadczał, że wcześniej złożone przez niego przysięgi wobec państwa polskiego uważa za nieobowiązujące. Jednak to były wewnętrzne procedury niemieckie. Mimo tych okoliczności państwo polskie oczekiwało od nich – jako obywateli RP – lojalności wobec Rzeczypospolitej Polskiej i przepisów jej prawa.

Tym, którzy wykazywali się gorliwością w realizowaniu poleceń niemieckich zwierzchników, którzy popełniali przestępstwa (w świetle polskiego Kodeksu karnego), którzy, korzystając z niemieckiej ochrony nadużywali władzy, wykazywali się brutalnością lub uczestniczyli w niemieckich zbrodniach, zapowiadano indywidualną odpowiedzialność karną za popełniane czyny po wojnie. Siłą rzeczy dotyczyło to także Żydów – obywateli RP, którzy zaangażowali się w stworzoną przez Niemców w gettach Żydowską Służbę Porządkową (Jüdischer Ordnungsdienst). Zdrajcom zapowiadano rozliczenie przed sądami wolnej Polski. Szczególnie niebezpiecznych, szczególnie gorliwych granatowych policjantów, którzy byli w zasięgu polskiego podziemia likwidowano, nie czekając na koniec wojny. Wyroki śmierci na nich także wydawano w ramach porządku państwowego – w ramach karania obywatela RP, który stał się zdrajcą i zbrodniarzem. Gorliwcy byli pod władzą Niemców najbardziej wpływowi i najbardziej widoczni dla społeczeństwa. Dlatego w odbiorze społecznym granatowa policja była formacją ogólnie uznawaną za element okupacyjnej opresji. Skrycie pogardzaną za serwilizm wobec okupantów. Niektórym z najbardziej oddanych Niemcy stwarzali możliwość awansu rasowego – mogli zostać volksdeutschami.

Z punktu widzenia państwa niemieckiego polski wyrok śmierci na granatowym zdrajcy oznaczał utratę własnego funkcjonariusza. Dlatego tak zlikwidowanych granatowych policjantów Niemcy w wewnętrznej dokumentacji zaliczali do strat własnych. To wszystko jest logiczne i spójne, ale tylko wtedy, kiedy pamięta się o tym, że w czasie tej wojny istniało i państwo niemieckie, i państwo polskie.

Jak duża była rola policji granatowej oraz policji żydowskiej w eksterminacji Żydów?

Była taka, jaką wyznaczyli Niemcy. W likwidacjach gett granatowym policjantom najczęściej przydzielano zadania pomocnicze. Udział w tworzeniu kordonów wokół miejscowości, konwojowanie, pilnowanie. W ramach tych obowiązków Niemcy oczekiwali od nich gotowości do zatrzymywania i strzelania do tych Żydów, którzy próbują umknąć. Ważniejszą rolę – z punktu widzenia technicznej

eprasa.pl d64a508a41

obsługi masowego mordu – wypełniali funkcjonariusze wspomnianej już, a też powołanej przez Niemców, złożonej z Żydów Jüdischer Ordnungsdienst, zwanych często OD-manami. Ci stanowili narzędzie egzekwowania niemieckich rozkazów na terenie gett. Żydzi, którzy zgłaszali się do tej służby, z reguły liczyli na „ustawienie się" pod władzą Niemców. Jako służba egzekwująca najbrutalniejsze rozkazy okupanta najczęściej była szczerze znienawidzona przez zwykłych Żydów. Wielu OD-manów chciało zasłużyć na uznanie w oczach Niemców. Znali żydowskie społeczności, znali osobiście ludzi, wiedzieli też, kto i jakimi metodami może próbować zorganizować kryjówkę w domach, aby przetrwać likwidację getta. Na ogół to oni przeszukiwali domy i dostarczali Niemcom chowających się Żydów. I oni, i granatowi byli narzędziami niemieckich okupantów.

W końcu warto też pamiętać, że w czasie okupacji granatowych policjantów w różnych miejscach wykorzystywano do egzekucji i Polaków, i Żydów.

Co jest warte upamiętnienia w działalności policji granatowej, a co należy jednoznacznie potępić?

W Polsce działalności policji granatowej jako niemieckiej formacji okupacyjnej nie wolno upamiętniać ani gloryfikować w miejscach publicznych. Istnieje prawny zakaz gloryfikacji tego rodzaju służb państw totalitarnych. Natomiast czymś zupełnie innym jest upamiętnianie funkcjonariuszy, którzy nosząc mundur policji granatowej, czyli oficjalnie służąc Rzeszy Niemieckiej, w rzeczywistości byli żołnierzami Armii Krajowej albo działaczami innych struktur niepodległościowych. Służąc „w obcej skórze" działali przeciw Rzeszy – na rzecz państwa polskiego i jego niepodległości. I tak np. Franciszek Banaś, policjant z Krakowa, zasługuje na pamięć nie jako granatowy policjant, ale jako zakonspirowany żołnierz AK, który służbę i mundur granatowego policjanta wykorzystywał do działań antyniemieckich, gromadzenia informacji o zdrajcach, pomocy zagrożonym. Nawet do ochrony zewnętrznej ludzi AK, którzy wykonywali wyroki. Takim jak on należy się wdzięczna pamięć jako żołnierzom polskiej AK, a nie niemieckiej polnische Polizei. To zasadnicza różnica. Ten sam Banaś m.in. wyprowadził z krakowskiego getta małego Tadeusza Jakubowicza (późniejszego powojennego wieloletniego przewodniczącego krakowskiej gminy żydowskiej). Przekupił gestapowców i uratował życie jemu i jego matce. Wykorzystując wrogi mundur i możliwości, jakie on dawał, uratował dwoje obywateli RP. Oprócz nich wielu innych.

Na terenie dawnego KL Plaszow istnieje tablica upamiętniająca funkcjonariuszy przedwojennej Policji Państwowej, żołnierzy Armii Krajowej. Niemcy ich zamordowali po wykryciu, że tylko pozorują służbę dla Rzeszy w granatowej policji, a w rzeczywistości służą Polsce. To piękne postaci, takie jak Franciszek Erhard czy Ludwik Drożański. I na upamiętniającej ich tablicy nie ma ani słowa o ich granatowej „zewnętrznej skórze". Jest za to mowa o „policjantach polskich II Rzeczypospolitej, żołnierzach ZWZ-AK". To ważne rozdzielenie dwóch porządków państwowych. I nie przypadkiem w uroczystym odsłonięciu tej tablicy wziął udział także wspomniany Tadeusz Jakubowicz.

> Granatową policję utworzyły władze niemieckie w ramach własnego porządku prawnego. One nią dysponowały, one decydowały o strukturze, awansach i sposobie wykorzystania. Polski nikt nie pytał o zgodę

Zdaniem niektórych historyków granatowa policja była do tego stopnia zaangażowana w mordowanie Żydów, że często działała nawet bez udziału Niemców. Jak było naprawdę?

Każdy funkcjonariusz jako należący do służb niemieckich miał obowiązek wykonywać niemieckie rozkazy. Niemcy wymagali mordowania na miejscu albo odstawiania żandarmerii Żydów przebywających poza wyznaczonymi miejscami. Z punktu widzenia państwa polskiego ci, którzy dokonywali takich zabójstw, byli zdrajcami, z punktu widzenia Rzeszy – służbistami. Byli tacy granatowi, którzy sabotowali niemieckie polecenia, umożliwiali ucieczkę. Mamy też przykład policjanta, który sam ukrywał Żydów, a zarazem uwiarygodniał się przed Niemcami m.in. gorliwością w mordowaniu innych. Bywało też tak, że granatowi policjanci, wiedząc o Polakach, u których byli ukrywani Żydzi, woleli zabić ich na miejscu, niż przekazywać Niemcom. Bo przesłuchiwany mógł wydać wszystkich, którzy mu pomagali. To sytuacje, które wymykają się nazbyt łatwym ocenom. Jednak zabójstwo niewinnego człowieka pozostaje zabójstwem. Takie warunki stworzyli pod okupacją Niemcy, ale problem indywidualnej odpowiedzialności pozostaje. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, wygodnie żyjąc w wolnym kraju.

Trzeba w końcu zaznaczyć, że byli też zwyrodnialcy, którzy z zaangażowaniem tropili i Żydów, i pomagających im Polaków. Mordowali jednych i drugich, licząc na uznanie w oczach Niemców – jak chociażby cieszący się ponurą sławą Kazimierz Nowak z okolic Miechowa. Zresztą na nim AK też wykonało wyrok.

Jak z perspektywy czasu powinniśmy oceniać działalność policji granatowej w czasie II wojny światowej?

Przede wszystkim z takiej, której podlega każda służba stworzona przez konkretne państwo dla uzyskania konkretnych efektów. Próbując odpowiedzieć na pytanie, na ile Niemcom udało się zrobić z niej sprawne narzędzie, a na ile nie. Udział w mordach na Żydach czy Polakach, nadużycia, udział w działalności przeciw zdrowiu i bezpieczeństwu innych obywateli RP był tożsamy ze zdradą Polski i miał nieść ze sobą perspektywę odpowiedzialności karnej po odzyskaniu niepodległości. Po wojnie wszystko miały osądzić instytucje niepodległej Polski. Na jej odbudowę nie pozwolili Sowieci. Zamiast Polski było komunistyczne państwo ze wszystkimi tego konsekwencjami, ale to temat na oddzielną rozmowę.

eprasa.pl d64a508a41

Tu fortuna kołem się toczy

Ta wyspa nie leży w Europie? – Nie – stanowczo zaprzecza znajomy pilot. – Geograficznie należy ona do Azji Zachodniej. – Ale przecież od 20 lat jest w Unii Europejskiej! – No właśnie. I to jest piękne, bo zostajesz w Europie, ale możesz powiedzieć, że byłeś na wakacjach w Azji – śmieje się pilot, z którym właśnie lecimy na Cypr

PIOTR OSTROWSKI

Z Polski na Cypr mamy tygodniowo ponad 50 lotów, którymi na wyspę przybywa w sezonie 300 tys. naszych rodaków. To już prawdziwe oblężenie, ale gospodarze witają nas z radością. Ten kraj żyje bowiem z turystyki i nikt nie narzeka na nadmiar gości. Słońce świeci tu 300 dni w roku. Do tego wyśmienita kuchnia, wino, zabytki i piękne, romantyczne plaże. Nic w tym dziwnego, skoro właśnie na Cyprze narodziła się z morskich fal Afrodyta – bogini piękna, miłości i pożądania.

Lądujemy w Larnace, która może się poszczycić najnowocześniejszym i największym lotniskiem. Na wyspie są cztery znaczące miasta: stolica Nikozja, Limassol, Pafos i właśnie Larnaka, która stała się centrum turystycznym Cypru z 5 mln turystów rocznie. Planując tę podróż, od razu skreśliliśmy z listy stolicę.

– Nikozja to miasto podzielone ponurą granicą z turecką strefą okupacyjną. Miasto nie ma znaczących zabytków, jest sfatygowane i nieciekawie położone – mówi nam znajomy Grek, który mieszka w Polsce. – Szkoda czasu na to miasto. Jedźcie na plaże i do winnic! – podsumował. Zatem zwiedzimy turystyczne południe wyspy, a jest tam co zobaczyć.

ZIELONA LINIA

Trzeba wiedzieć, że północna część Cypru, zajęta przez wojska tureckie w 1974 r., jest wyłączona z Unii Europejskiej. Do dziś

Fot. Archiwum prywatne autora

eprasa.pl d64a508a41

przez wyspę przebiega szeroka linia demarkacyjna z trzema bazami NATO i jedną zarządzaną przez ONZ. Są tu dwie duże jednostki wojskowe – Akrotiri i Dhekelia, należące do Brytyjczyków. To dzięki nim na Cyprze panuje dziś „umiarkowany pokój", jak mówią miejscowi.

– Sytuacja polityczna wyspy jest bardzo skomplikowana. Linia rozdzielająca strefy konfliktu – grecką i turecką – była wielokrotnie poszerzana, by zapobiec chaosowi i lokalnym walkom przy użyciu broni palnej czy kamieni. Dlatego w niektórych miejscach ma nawet kilka kilometrów szerokości – mówi Robert z Warszawy, który jest z pochodzenia Grekiem, a jego rodzina od lat mieszka w Pafos.

Ten pas rozgraniczający strony etnicznego konfliktu, zwany w przewodnikach „zieloną linią", to w dużej mierze przytłaczający, pustynny krajobraz pełen wojskowych instalacji: radarów, pojazdów opancerzonych, śmigłowców bojowych, a nawet haubic i wyrzutni rakietowych. Anteny i lufy są skierowane w dwie strony – turecką oraz morza, w kierunku wybrzeża Libanu, które jest oddalone zaledwie 100 km.

Północna część Cypru, stanowiąca jedną trzecią wyspy, jest ekonomicznie i administracyjnie całkowicie uzależniona od Turcji. Także połowa Nikozji, czyli stolicy państwa, którą okupują Turcy. Jak na ironię, to właśnie północ była do lat 70. ub.w. turystycznym rajem w tej części Morza Śródziemnego. Dziś opuszczone i rozszabrowane hotele i ośrodki wczasowe straszą niczym widma zrujnowanej świetności. Podobno tureccy inwestorzy próbują rewitalizować niektóre kurorty i tworzyć nową bazę hotelową, lecz o turystyce w tamtej części nie ma wiarygodnych danych. Wiadomo jednak, że to tam znajdują się najpiękniejsze plaże liczącego ponad 600 km wybrzeża Cypru.

Przez 3 tys. lat wyspa przechodziła z rąk do rąk. Co ciekawe, dopóki była kolonią Wielkiej Brytanii, czyli do 1960 r., Grecy, Turcy i Libańczycy, czyli potomkowie Fenicjan, żyli w zgodzie. Cypr liczy zaledwie 1,2 mln mieszkańców, z czego 20 proc. stanowią muzułmańscy Turcy oraz uchodźcy z Bliskiego Wschodu, głównie chrześcijanie. Reszta to prawosławni Grecy, którzy mówią, jedzą i żyją po grecku, ale twierdzą, że... nie są Grekami.

W istocie pierwsi zajęli wyspę Fenicjanie, którzy osiedlili się na terenie dzisiejszej Larnaki. Oni i wszyscy następni przybysze traktowali wyspę jako najważniejsze złoże i kopalnię miedzi – stąd historyczna nazwa Cupros, która oznacza ten cenny metal. W Larnace już w czasach antycznych osiedlili się Grecy. Najsłynniejszy z nich to Zenon z Kitionu, filozof i założyciel słynnej szkoły stoików. Żył w III w. p.n.e. i głosił nauki Platona oraz Sokratesa. Sam dał początek kierunkowi znanemu jako stoicyzm, który nakazuje zachowanie spokoju zarówno w szczęściu, jak i w cierpieniu, bo wiadomo – raz jest dobrze, a raz źle. Do dziś używamy słynnego powiedzenia Zenona: fortuna kołem się toczy.

Grecki filozof jest oczywiście chlubą Cypru i Larnaki, która powstała obok dawnego miasta Kition. W tutejszym porcie jachtowym stoi dziś pomnik upamiętniający wielkiego filozofa i jego szkołę.

AUTOBUSEM PRZEZ STREFĘ WOJNY

Na przystanku w porcie w Larnace ustawiamy się w kolejce do autobusu, odpowiednika naszego PKS. Od rana panuje tu tłok, bo w podróż wybierają się całe rodziny z dziećmi, prowiantem i plażowymi zabawkami. Przed nami arabska rodzina z piątką rozkrzyczanych potomków. Rządzi ojciec, który ma na szyi gruby jak wąż złoty łańcuch z wielkim krzyżem. To Libańczycy – chrześcijanie, którzy uciekli z Bejrutu na czas wojny, czyli pewnie na zawsze. Wielu z nich nadal zdalnie prowadzi interesy w Libanie i Syrii, ale w obawie o los swój i bliskich pozostaje na emigracji.

Zatłoczony, ale klimatyzowany autobus zabiera nas w podróż po południowym wybrzeżu – za jedyne 5 euro od osoby, z biletem ważnym przez cały dzień. Z mapy wynika, że do słynnych plaż w Ajia Napa pojedziemy przez... Wielką Brytanię. Po drodze mijamy ogromną bazę wojskową z 2,5 tys. żołnierzy, formalnie będącą terytorium brytyjskim. Najpierw strefa demarkacyjna: zasieki, druty kolczaste, sprzęt wojskowy i błękitne morze w tle. Potem pustkowie i pola uprawne na czerwonej po horyzont ziemi. Tutaj rolnicy uprawiają słynne wczesne ziemniaki, którymi zajadamy się już w marcu. Łatwo je rozpoznać w naszych warzywniakach, ponieważ te z Cypru zawsze mają na sobie ślady czerwonej gleby, bogatej w rudy miedzi.

Po godzinie docieramy do Ajia Napa, kurortu na miarę naszych Międzyzdrojów. Palmy, kaktusy, kwitnące krzewy, piękne hotele, pensjonaty, restauracje, bary i przede wszystkim bajeczna Nissi Beach – piaszczysta plaża o długości ponad pół kilometra. Jest tu płytka zatoka ze skalistą malowniczą wysepką pośrodku, do której można dotrzeć, idąc po pas w wodzie. Temperatura morza wydaje się tu nigdy nie spadać poniżej 25 st. Błękit wody i krajobraz naprawdę robią wrażenie, a umiarkowany klimat sprawia, że plaża tętni życiem od majówki do końca października. Na szczęcie plaża jest tak rozległa, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. W zachodniej części królują bary z disco i techno, impreza trwa nieprzerwanie, a kąpiele w basenach z pianą i szampanem są tu oczywistością. Po wschodniej stronie zatoki, gdzie jest dużo spokojniej, odpoczywają rodziny z dziećmi i zamożni rezydenci. Bez względu na preferencje wszyscy bywalcy Nissi Beach twierdzą, że

to jedna z najpiękniejszych plaż Europy. Trzeba to zobaczyć.

WINO NA PLAŻY I GRZANIEC NA STOKU

Przy plaży jemy smaczne i niedrogie przekąski. Poza kurortami jest naprawdę tanio, a obiad można zjeść za 5–7 euro. Cypr słynie z dobrej kuchni. Ma ona sporo wpływów bliskowschodnich, ale to przede wszystkim klasyczna kuchnia grecka. Podstawa to oczywiście souvlaki, musaka, pita czy halloumi – ser owczy, który pochodzi właśnie z Cypru. Ten ser z grilla podawany z warzywami i innymi dodatkami podbija serca turystów. Tradycyjną potrawą jest też afelia, czyli cypryjski gulasz wieprzowy z czerwonym winem i kolendrą. Wśród przypraw często pojawia się cynamon, kmin i anyż – prosto z kuchni arabskiej. Są też owoce morza, ale okazuje się, że nie jest to specjalność wyspy. Jada się tu raczej drób, i to bardzo smacznie przyrządzony: pieczone skrzydełka i udka na wielkich grillowych płytach, które nakładamy samodzielnie – ile damy radę zjeść. Cypr słynie również z wyśmienitej oliwy z oliwek.

Podstawowym napojem oprócz wody jest kawa po cypryjsku, czyli powiedzielibyśmy – parzona po turecku, aromatyczna i słodka. Piwosze znajdą tu miejscowe piwo Keo wzorowane na czeskim Pilsnerze, które jest tanie, a uchodzi za bardzo dobre. Poza tym wino i jeszcze raz wino, głównie białe.

Cypryjczycy uprawiają 40 odmian winorośli, w większości nieznanych na stałym europejskim lądzie. Mają ok. 70 winiarni i szczycą się najwyższym w całej UE położeniem swoich winnic. Większość znajdziemy w regionie Pafos Polis Chrysochous. Co ciekawe, winnice rozciągają się u podnóża słynnej góry Olimpos (1951 m n.p.m.), na której stokach od grudnia do marca można jeździć na nartach. W barze na stoku napijemy się nawet grzańca z tutejszego czerwonego wina. I pomyśleć, że stąd mamy tylko niespełna godzinę drogi do plaży!

Na wyspie królują jednak wina białe i schłodzone – specjalnie dla miłośników słońca i kąpieli. Na zboczach gór Trodos we wsi Kilani do zwiedzenia i degustacji zachęca znana winnica Vlassides.

– Robimy wina w kalifornijskim stylu, wytrawne i aromatyczne, np. biały kupaż z naszej endemicznej odmiany xynisteri i sauvignon blanc – mówi Sofoklis Metaxas, właściciel i zarazem enolog winiarni, który chętnie oprowadza gości.

Rodzina Sofoklisa uprawia wino na 25 ha od ponad 100 lat. Powstaje tu m.in. shiraz, merlot, cabernet i kupaże z endemicznymi czerwonymi szczepami. Najpopularniejszą na wyspie czerwoną odmianą jest mavro, znana w północnej Grecji i Bułgarii. Winorośl uprawiana na wysokości ponad 1 tys. m nadaje winu niecodzienny, mineralny smak. Jednak najsłynniejszym cypryjskim winem jest commandaria. Sławę zawdzięcza królowi Ryszardowi Lwie Serce, który podczas wyprawy krzyżowej z lubością raczył się tym słodkim, wzmacnianym trunkiem. Co ciekawe, powstaje ono z dwóch wspomnianych szczepów – białego xynisteri i czerwonego mavro, czyli jest biało-czerwone.

W tawernach i barach próżno jednak szukać wybornych win. Wszędzie jawnie stoją przeszklone lodówki, w których białe wino jest przechowywane w wielkich kartonowo-plastikowych baniakach z kranem. Kelnerzy nalewają z nich zimne stołowe wino do karafek lub bezpośrednio do kieliszków. I choć nikt wam nie wyjaśni z jakich pochodzi szczepów i roczników, bywa naprawdę smaczne.

TU WSZĘDZIE SĄ RUSCY

Najlepszym miejscem na bazę wypadową do zwiedzania południowego Cypru jest Larnaka, położona nad morzem i otoczona salinami z tysiącami flamingów. Z lotniska jest blisko do miasta, a ceny noclegów nie są wygórowane. Znaleźliśmy butikowy hotel Achilles tuż przy plaży, dobrze urządzony, z balkonami i pięknym tarasem śniadaniowym na dachu – z widokiem na morze. Ceny niższe niż w Polsce, ale trzeba wiedzieć, że miasto, choć zadbane, nie powala urodą. Eklektyczna architektura i zabytki wymieszane z bloczyskami wprawią estetów w zakłopotanie. Do tego wszechobecne na zewnątrz elewacji kable, przewody, instalacje spięte w niewyobrażalne zwoje. Na nich suszą się ubrania, wiszą flagi i różne manifesty. Chaos jak na Bliskim Wschodzie. Do tego starówkę opanowały koty. Są wszędzie. Na ulicach, w knajpach, w porcie, nawet na plaży. Nie są tak wykarmione i zadbane, jak te z bogatych greckich wysp. Bywają natarczywe i wymuszają jakieś kąski podczas obiadu, ale tu nikomu zdają się nie przeszkadzać, a dla kociarzy to okazja do zrobienia fajnych zdjęć.

W centrum Larnaki na deptakach i w uliczkach usadowiły się luksusowe butiki, sklepy i kramy, także te z tureckimi podróbkami luksusowych towarów. Sporo jest tu Polaków, którzy, ostatnio pokochali Cypr. Ale przede wszystkim słychać tu turystów i rezydentów z Rosji. Dlatego prawie wszędzie obsługa jest rosyjskojęzyczna. Ekspedientki, recepcjoniści, pracownicy fast foodów – wszyscy mówią w tym języku. Także prowadzący biura nieruchomości i wynajmu aut, gangsterzy i dilerzy – wszyscy są z Rosji. Napisy też wszędzie po rosyjsku. Gołym okiem widać, że wielu mieszka tu na stałe i że opanowali tę wyspę.

– Panie, tu wszędzie są Ruscy. Oni wzięli tę wyspę w zarządzanie. Jak był kryzys i zabrakło euro w bankomatach, to kto Cyprowi kasę pożyczył? – pyta retorycznie Zygmunt, rezydent z Łodzi, który spędza tu większość roku. – Mnie tam oni nie przeszkadzają, bo idzie się z nimi dogadać. Ale jest ich tu za dużo. Dziś już trudno spotkać Greka. I niech pan uważa w męskich szaletach na plaży, bo tam geje zaczepiają – udziela mi rady emerytowany rodak. – Dobrze, że pan mówi, to będą uważał – odpowiadam i obaj się śmiejemy.

Po pierwszym dniu plażowania na Finikoudes Beach w centrum Larnaki okazało się, że to faktycznie wyspa Afrodyty. Staruszek miał rację. Zaczepiają.

Fot. Archiwum prywatne autora

eprasa.pl d64a508a41

MICHAŁ DYMEK OPERATOR FILMOWY

Ulicą Podmiejską do kina

Ul. Podmiejska w Bystrzycy Kłodzkiej zmieniona scenografią jest jedną z aren „Dziewczyny z igłą"

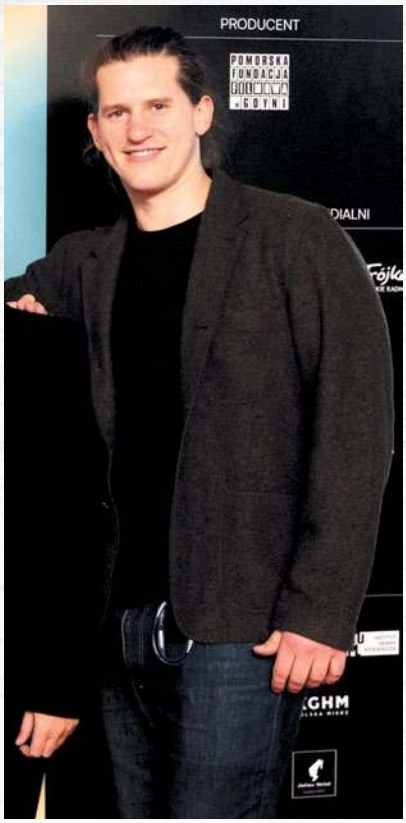

Z festiwalu w Gdyni wyjechał ze statuetką za zdjęcia do „Dziewczyny z igłą" w reżyserii Magnusa von Horna. Filmu, który w finale 49. FPFF rozbił bank z nagrodami. Zdobył ich w sumie 11, w tym 6 w głównym konkursie (Srebrne Lwy, scenografia, kostiumy, muzyka, drugoplanowa rola kobieca i wspomniane zdjęcia).

„Dziewczyna z igłą" to poruszający, czarno-biały obraz wyreżyserowany przez Szweda (absolwenta łódzkiej filmówki, który na życie i twórczą pracę wybrał Polskę), zrealizowany głównie przez polską ekipę, ale z duńskimi aktorami i w języku duńskim. Nawiązuje do historii, która 100 lat temu wstrząsnęła Danią. Film został zgłoszony przez Danię do oscarowych nominacji.

Niezwykle plastyczne zdjęcia do filmu były realizowane w Polsce. Ich autorem jest Michał Dymek, który pracował też za kamerą przy takich obrazach, jak „IO", „Sweat" czy wyczekiwany „Prawdziwy ból" Jessego Eisenberga i Kierana Culkina (premiera w listopadzie).

– W scenie, gdy robotnice wychodzą z fabryki, oczywiście pojawiło się bezpośrednie nawiązanie do legendarnego kadru braci Lumière (z nagranego 130 lat temu „Wyjścia robotników z fabryki") – opowiada Michał Dymek. – Zbliżyliśmy się do oryginalnych kadrów do tego stopnia, że nawet dach nad bramą jest odtworzony jeden do jednego, jak w archiwaliach braci Lumière. – Z kolei sceny przed wejściem do fabryki kręciliśmy w Łodzi, na Księżym Młynie – dodaje. – Na potrzeby filmu wnętrza fabryczne powstały w gmachu dawnej Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu. Kiedy weszliśmy tam podczas jednej z pierwszych dokumentacji, wydawała się nie do końca spełniać nasze potrzeby, choć spodobała się nam z powodu mniejszych pomieszczeń, które chcieliśmy przerobić na biura i lokacje do kameralnych scen. Jednocześnie cała ta przestrzeń, faktura, głębia, jakaś ażurowość od początku inspirowała nas do odważnego myślenia o obrazie w tym filmie.

A gdzie znajduje się ulica, którą główna bohaterka zmierza do miejsca najbardziej dramatycznego zapętlenia akcji? – W Bystrzycy Kłodzkiej, która została ostatnio tragicznie dotknięta powodzią, nad czym strasznie ubolewamy i zachęcamy do wspierania poszkodowanych – mówi operator. – Zdjęcia realizowaliśmy na ul. Podmiejskiej, która była bardzo inspirująca już w stanie, w jakim istniała na co dzień. Scenograficznie dodaliśmy jej dość dużo błota, a w postprodukcji rozszerzyliśmy perspektywę i zajęliśmy się m.in. zasłanianiem współczesnych dachów i usuwaniem anten satelitarnych.

Budujące niepewność i napięcie czarno-białe kadry, w których ekranowa Karoline wspina się do wyżej położonej części miasta, możemy dziś oglądać w zwiastunie „Dziewczyny z igłą". Dystrybutor zaplanował wejście filmu do polskich kin w styczniu przyszłego roku.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. 49. FPFF w Gdyni, materiały prasowe

eprasa.pl d64a508a41

SŁODKO-SŁONY

Dyniowy zawrót głowy

ANNA MONICKA

Jeszcze niedawno dynia była jedna – wielka, pomarańczowa, w twardej jak kamień skórze. Trudno się było do niej dobrać normalnymi kuchennymi narzędziami. Potrzebny był chłop z siekierą albo piłą. Zdecydowanie wolałam takie okazy oglądać, niż jeść. Robiło się z nich papkowate i mdłe zupy na mleku, które zniechęciły mnie do tego owocu na wiele lat. Dynię trochę odczarowała mama, bo pokrojone kostki marynowała w goździkowo-cynamonowej zalewie. W tej postaci traciła jednak swój naturalny smak i aromat.

Teraz w sklepach jesienią można kupić kilkanaście odmian, a w gospodarstwach rolników, którzy specjalizują się w dyniach, nawet więcej. Każda z nich ma inny smak, konsystencję miąższu i nadaje się na inne potrawy. Jedne są słodkie i kruche, inne maślane czy orzechowe. Są pomarańczowe, złote, zielone, białe, pasiaste. Okrągłe jak piłki, płaskie jak katowicki Spodek, długie jak potężne ogóry, a także karbowane, żebrowane, wyboiste, pokryte meszkiem. Moda na nie zaczęła się kilka lat temu i nabiera rozpędu. Mus dyniowy jest dodawany nawet do kawy latte i o dziwo całkiem nieźle smakuje.

Przez wiele lat usiłowałam namówić córkę do jedzenia dyń, ale zaskoczyła dopiero wtedy, gdy upiekłam jej pierwszą makaronową – posypaną pachnącym parmezanem i polaną balsamico. Wkrótce zainteresowała się hokkaido (genialną do pieczenia w plastrach, z jadalną skórką i zwartym miąższem) oraz błyszczącą pięknością – muscat de Provence. Zwłaszcza ta ostatnia jej posmakowała, bo pachnie jak melon i nadaje się do ciast. Pieczemy też w całości gruszkowatą butternut, którą potem można kroić nożem i podsmażać na patelni jak steki. Na curry idealna jest podłużna, gigantyczna piena lunga di Napoli (kroi się ją w talary wielkości talerzy) – upieczona na blasze w towarzystwie całych główek czosnku i skropiona olejem z pestek dyni nie ma sobie równej. Nasze ostatnie odkrycie to mała, wielkości jabłka japońska mini kabocha o błękitnozielonej skórce. Smakuje jak krzyżówka dyni z batatem lub mączystym ziemniakiem. Wystarczy ją przekroić, wypestkować i upiec polaną odrobiną oliwy. Od kilku dni córka zjada jedną albo dwiema dziennie – najwyraźniej jej organizm szykuje się już do zimy i uzupełnia witaminy.

Z każdej z nich, byle ładnie upieczonej, wychodzi genialna rozgrzewająca pasta. Trzeba tylko w czasie miksowania doprawić miąższ garam masalą, czosnkiem i ostrą papryczką. W takiej postaci nadaje się do smarowania tostów, a jeśli dolejemy bulion, mamy pyszną zupę.

WILCZYM OKIEM

Ciepło – zimno, jasno – ciemno

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

To, co jeden organizm usypia, inny pobudza. Co dla jednego jest porą spoczynku, dla drugiego jest okresem aktywności. O każdej porze roku i w każdych warunkach w przyrodzie coś się dzieje.

Wiosną coraz dłuższe dni, a zwłaszcza coraz wcześniejszy brzask i opóźniający się zmierzch oraz rosnące temperatury sprawiają, że ptaki, np. kosy i leśne drozdy, zaczynają śpiewać. Pierwszy czy drugi ciepły deszcz wywabia zaś uśpione wcześniej płazy i każe im kierować się do zbiorników wodnych na gody.

Lato to pora chociażby świetlików, które na samym początku tej pory roku w ciepłe i pogodne wieczory odbywają bezdźwięczne, za to pełne tajemniczych sygnałów świetlnych loty.

Zarówno wiosna, jak i lato są też jednak okresem, w którym niektóre organizmy korzystają ze światła i chłodu. W naszej strefie klimatycznej długie, słoneczne dni, świetne do przeprowadzania fotosyntezy i wzrostu, przeplatają się z krótkimi i wyraźnie chłodniejszymi nocami. Korzystają z tego trawy, w tym zboża – to, co wyprodukują w dzień, zostaje zaoszczędzone w nocy. Noc jest dla roślin porą oddychania, kiedy spalają to, co wytworzyły w dzień. Jeżeli jest krótka, a do tego chłodna i tym samym obniżająca aktywność, znacznie więcej zostaje zaoszczędzone niż zużyte. Przekłada się to na intensywny wzrost, a dla nas – obfite plony.

Czy czynnikiem pobudzającym może być ciemność? Ciemno i ciepło to wymarzone warunki dla nietoperzy. Ciepło jest zresztą pojęciem względnym. Wystarczy, jeżeli temperatura utrzymuje się kilka stopni powyżej zera i nie pada. Wówczas nawet jesienią latają owady, a więc i nietoperze, chcące się pożywić i odłożyć w ciele zapasy przed hibernacją.

Długie, pogodne, ale zimne jesienne noce z kolei pobudzają jelenie do rykowiska. Zimna, pogodna noc uaktywnia też różne gatunki sów. W taką noc, właśnie teraz, można usłyszeć nie tylko ryczącego jelenia, lecz także pohukującą lub wydającą inne dziwne głosy sowę, teraz bowiem te ptaki zajmują się podziałem terytoriów, co jest wstępem do godów mających miejsce zimą.

A kiedy w późnojesienną lub zimową noc pada śnieg albo jeszcze lepiej – deszcz ze śniegiem, to idealne warunki do tarła miętusów.

Fot. Archiwum Monicki, Shutterstock

d64a508a41

OGNIEM NA WPROST

Kozacka fantazja

No to wracamy na front. Są dwie wiadomości. Dobra i zła. Najpierw zła. Torećk (front południowo-wschodni). Nie jest najlepiej. Ukraińcom udało się wykorzystać fakt, że część moskiewskich jednostek zapędziła się za bardzo na północ do Niu-Jorku i kontratakiem przejściowo odzyskać tę miejscowość. Dzięki temu Moskale nie mogą obejść Torećka od zachodu i miasto wciąż można zaopatrywać oraz w razie potrzeby ewakuować oddziały. Ale nie wiadomo, czy uda się je obronić. Jeszcze gorzej jest trochę dalej na Zachód w kierunku Dniepru (kierunek doniecki). Ruski zajął Ukraińsk, ale nie to jest najgorsze. Idąc południowym brzegiem rzeki Łozowe i obchodząc pozycje ukraińskie przez Hostre, siły Kremla wyszły na przedmieścia Kurachowego. W tym momencie jego obrona traci sens. W zasadzie pada obrona w innych rejonach tego odcinka. Jest źle. Patrząc na ruchy wojsk moskiewskich, odnosi się wrażenie, że ich celem nie jest Pokrowsk, jak uważa wielu, ale głębokie wejście na ukraińskie tyły aż do Filii i Nowopawłówki. Na całym tym obszarze nie ma bowiem niczego, na czym Siły Zbrojne Ukrainy mogłyby oprzeć obronę, a zajęcie tego „języka" oznacza głębokie oskrzydlenie całości ukraińskich sił od Wuhłedaru do Wełykiej Nowosiłki i Zielonego Pola. Moskale znaleźli sposób na sparaliżowanie ukraińskiej logistyki za pomocą dronów, czyli dokładnie tak, jak wcześniej Ukraińcy paraliżowali logistykę wroga. Oznacza to, że Tryzuby nie mogą liczyć na zaopatrzenie, wsparcie czy rotację. Jeśli zaś gdzieś są lepsze umocnienia, pozwalające skutecznie pracować logistyce, są szybko niszczone za pomocą bomb FAB. Dopóki Ukraińcy nie znajdą sposobu na sparaliżowanie tego duetu, nie ma szans na zbudowanie skutecznej obrony.

Żeby nie było tak ponuro, przenieśmy się na północny-wschód, pod Kursk. W naszych mediach można przeczytać już takie androny jak to, że ukraińskie uderzenie na obwód kurski jest już prawie całkowicie zatrzymane i że wręcz znalazło się „w kotle". Jakim kotle, jak siły ofensywne Tryzubów w obwodzie kurskim opierają się o terytorium Ukrainy na szerokości ponad 80 km? W tym całkowicie kontrolują drogę z Sum do Kurska na długości od granicy do Martynowki. Ukraińcy posunęli się też trochę na północ od Małej Łokni, a raczej zajęli teren opuszczony już przez Moskali. Tymczasem zaczął się nowy ukraiński atak w samym środku „kotła" (o dziwo, już otwartego) nad rzeką Sejm w kierunku Głuszkowego. Co prawda po sześciu dniach nie ma tu żadnych trwałych zdobyczy ukraińskich, ale powstała całkiem spora szara strefa, co oznacza konieczność angażowania przez Rosjan w tym rejonie kolejnych jednostek. Owszem, czas ukraińskiego natarcia już dawno za nami, ale do likwidacji tego przyczółka przez Moskali równie daleko jak pierwszego dnia ukraińskiej operacji.

Historia wojen to również dzieje forteli. Jednym z najsłynniejszych było podstępne wzięcie mostu na Dunaju przez armię Napoleona w 1805 r. Rzeka rozdzielała dwie armie (austriacką i francuską). Żeby móc zaatakować wroga całością sił, trzeba było zdobyć przeprawę w stanie nienaruszonym. Dwóch marszałków Napoleona: Joachim Murat (kawalerzysta) i Jean Lannes, książę Montebello (dowódca straży przedniej) wzięło ze sobą gen. Bertranda i jednego z pułkowników wojsk saperskich. Cała czwórka wystrojona w galowe mundury jak gdyby nigdy nic, udając delegację pokojową, udała się samotnie na drugą (austriacką) stronę mostu. W krzakach po francuskiej stronie czaił się batalion grenadierów pod osobistym dowództwem gen. Nicolasa Oudinota. Jak tylko panowie marszałkowie zobaczyli szefa obrony mostu, oświadczyli mu uroczyście, że został podpisany rozejm. Ten wezwał austriackiego generała, księcia Auersperga. Francuzi powtórzyli mu bajeczkę o rozejmie. Nim tamten to sprawdził (w międzyczasie marszałkowie Napoleona dokonywali przeglądu żołnierzy broniących mostu), na dany sygnał z krzaków wyskoczyli grenadierzy Oudinota i błyskawicznie rozbili austriacki posterunek. Triumfujący Murat natychmiast poinformował Napoleona o tym niespodziewanym sukcesie, a ten, nie tracąc czasu, pchnął resztę armii na Wiedeń. Dziś na kierunku kurskim doszło do podobnej sytuacji. Zwiadowcy z 3. Brygady Szturmowej „Azow" (tej od obrony Mariupola) przebrali się w ruskie mundury. Zajechali na wrażą pozycję. Przeprowadzili inspekcję, a następnie... wzięli wszystkich do niewoli. Ułańska? Sorry, kozacka fantazja!

Andrzej Rafał Potocki
Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

epiasa.pl nr 04/15/03/24

Michał Korsun prezentuje: „Milion w środę, milion w sobotę", czyli kolesiostwo w Totalizatorze

Referencje: Shutterstock

Wycinki z przeszłości

„Najmodniejsza para sezonu – Oleńka i Kmicic" – ogłaszała „Przyjaciółka" w październiku 1974 r. Powód był oczywisty, uzasadnienie jasne: na ekrany wchodziła opowieść filmowa „Potop" w reżyserii Jerzego Hoffmana. W artykule stwierdzano, że pracowano nad nią pięć lat. „Scenariusz zaczęto pisać w 1969 r. Jego autorami są historyk prof. Adam Kersten, pisarz Wojciech Żukrowski, reżyser Jerzy Hoffman. Przy takiej znakomitej »obstawie« Sienkiewiczowi krzywda się nie stała. Film jest maksymalnie wierną adaptacją powieści. Twórcy nie pozwolili sobie na żadne zmiany i wtręty, jedynie na spore skróty".

Co ciekawe, „specjalnie dla filmu »Potop« wykonano niezliczone ilości pięknych, stylowych przedmiotów, zwłaszcza broni i ozdób. Ojcowie paulini otwarli częstochowski skarbiec i udostępnili filmowcom m.in. autentyczną monstrancję księdza Kordeckiego". Podkreślano też, że film został zrealizowany „za pomocą najlepszych obiektywów".

„Należy mieć nadzieję, że będziemy nareszcie oglądali doskonały obraz w naszym kinie" – stwierdzono na koniec. I trzeba przyznać, że to marzenie się spełniło. Mimo upływu lat „Potop" Hoffmana wciąż oglądamy z podziwem i zapartym tchem.

(mk)

Z WOLEJA

Sportowcy i... wiara

Ryszard Czarnecki

Młody amerykański koszykarz A.J. Griffin, przed dwoma laty zakontraktowany z wysokim numerem w tzw. drafcie przez Atlanta Hawks, wprawił w osłupienie sportową Amerykę. Nagle zrezygnował z kariery. Kontuzja? Nie. Wypalenie psychiczne lub depresja? Nie. Co się więc stało, że 22-letni chłopak, zarabiający ponad 3,5 mln dol. za sezon, nie chce już rzucać piłką? Sam powiedział o tym tak: „Odchodzę od koszykówki, aby podążać za Jezusem. Chrystus pojawił się w moim życiu w 2020 r. i wtedy wszystko się zaczęło [...]. Odejście od koszykówki pozwala mi [...] całym sercem służyć Bogu". I dodał: „W oczach wielu ta decyzja może uznawana być za porażkę, ale [...] dla mnie jest to przede wszystkim wielka ekscytacja i radość".

Kaka, najlepszy piłkarz świata Anno Domini 2007, mistrz świata z Brazylią z 2002 r., zawsze podkreślał swoją wiarę w Boga. Należy do międzynarodowej organizacji Sportowcy dla Chrystusa. Inaczej niż wielu brazylijskich mistrzów futbolu pochodzi z bardzo bogatej rodziny, ale nie przewróciło mu to w głowie: stał się twarzą walki z głodem i ubóstwem.

A w Polsce? Wiary w Boga nie wstydzili się naprawdę świetni sportowcy: „Istotą chrześcijaństwa jest nadzieja. Wierzę, że po każdej złej chwili przychodzi lepszy moment. Moją ulubioną biblijną księgą jest Księga Hioba. Bohater tej historii stracił wszystko, a mimo to nie przestał wierzyć w Boga. Każdy z nas powinien być takim Hiobem" – mówił piłkarz Marek Citko, najlepszy sportowiec Polski w plebiscycie 1996 r. „Uważam, że wszystko dzieje się według Boskiego planu [...] przed każdym konkursem się modlę" – to słowa Marii Andrejczyk, wicemistrzyni olimpijskiej w rzucie oszczepem. Mariusz Wlazły, mistrz świata z reprezentacją Polski w siatkówce w 2014 r. i najlepszy zawodnik tych mistrzostw, twierdzi: „Czym życie byłoby bez wiary? Ważne, by nosić Boga w sercu. We wszystkich momentach mojego życia – tych prostszych i tych trudniejszych – Bóg był przy mnie". Tomasz Adamek, jeden z najlepszych polskich pięściarzy, nie bał się mówić: „Piąte przykazanie mówi: nie zabijaj, a ludzie łamią je każdego dnia, dokonując aborcji". Inny pięściarz, mistrz olimpijski z Tokio 1964 r. (w finale pokonał zawodnika ZSRR, walcząc ze złamanym palcem), swój złoty medal olimpijski ofiarował klasztorowi paulinów na Jasnej Górze.

A więc można...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl d64a508a41

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Płaskie (nie)prawdy

Przypadek? Może. Algorytm platformy X (d. Twitter) podsuwa mema umieszczonego na koncie gościa o wielkich zasięgach. Musimy go opisać, bo nie ma zwyczaju dołączania ilustracji do felietonów.

Mem jest po polsku i składa się z dwóch części. Górna ma opis „Broń biologiczna w filmach" i przedstawia typowy kadr z laboratorium: grupa osób w kombinezonach ochronnych, na pierwszym planie ktoś niesie tackę z fiolkami. Dolna część jest podpisana: „Broń biologiczna w rzeczywistości" i jest fotografią kilkudziesięciu młodych mężczyzn z czarnej Afryki stłoczonych na pontonie.

Mem wywołał spory rezonans – umieszczony po południu 1 października następnego dnia wieczorem miał już ponad 800 tys. wyświetleń, 6 tys. polubień i setki komentarzy.

Jak długo utrzyma się demokracja w cywilizacji, w której paradoksy mnożą się jak grzyby po deszczu?

MEMOKRACJA?

W ostatnich latach memy stały się ważnym instrumentem komunikacji publicznej. Niektórzy mówią nawet, że demokracja po fazie mediokracji przeszła do memokracji, czyli przekazu omal już czysto emocjonalnego. Taki przekaz nie ma nawet trochę zarysowanej argumentacji.

A przy okazji: intuicja socjologiczna podpowiada nam, że zlekceważenie kanału komunikacji memowej – skierowanej głównie do młodych – także przyczyniło się do porażki Prawa i Sprawiedliwości w wyborach 15 października.

PRAWDA Z NIEPRAWDĄ W JEDNYM STOJĄ DOMU

Przekaz tego mema jest jednocześnie prawdziwy i nieprawdziwy, a na pewno niebezpiecznie spłaszczający.

Zacznijmy od górnej części: jeśli po zapoznaniu się z memem ktoś pomyśli, że na świecie nie ma już laboratoriów, w których jest tworzona broń biologiczna, to się myli. Prawda „filmowa" cały czas pozostaje prawdą, choć nie całą. Dolna część mema wskazuje, że migranci ekonomiczni i uchodźcy bywają instrumentalnie wykorzystywani przez niektóre państwa autorytarne i/lub profesjonalne międzynarodowe grupy przemytnicze. Jednym z celów tego mema jest, tak sądzimy, przeciwstawienie się „romantycznemu" podejściu do migracji, gdzie zapomina się o bezpieczeństwie, a błogosławi empatię i różnorodność.

Dodajmy, że w internecie dostępny jest tekst dr. Michała Wojnowskiego „Geneza, teoria i praktyka rosyjskiej inżynierii przymusowej migracji. Przyczynek do badań nad kryzysem migracyjnym na wschodniej flance NATO".

EMPATIA KONTRA BEZPIECZEŃSTWO

Można uznać, że jest to mem niebezpieczny, gdyż sugeruje dehumanizujące podejście do migrantów. Gdy postrzegamy kogoś jako „broń", którą posługuje się ktoś inny (a przecież taka właśnie sytuacja jest na granicy polsko-białoruskiej), możemy być skłonni do zapominania, że grupa młodych czarnoskórych mężczyzn to ludzie – dzieci Boże takie jak my. Że mają swoje nadzieje na lepsze życie, że chcieliby tak jak my żyć po tej lepszej stronie świata. Że mają swoją wrażliwość i mają bliskich, którzy cierpią, gdy w drodze do Europy migrujący toną w Morzu Śródziemnym.

Tutaj dochodzimy już do sedna tego, co chcemy przekazać naszym czytelnikom. Nie tylko analizowany tu mem, przekazując pewną prawdę, okrutną i niebezpieczną, jest jednostronny. Jednostronna jest również narracja nakazująca postrzeganie migrantów (zwłaszcza gdy w grę wchodzą niekontrolowane migracje masowe) wyłącznie jako bliźnich w potrzebie. Nie wolno bowiem zapominać starej prawdy: 500 migrantów to problem humanitarny, 500 tys. migrantów to przede wszystkim problem bezpieczeństwa.

Ale uświadomienie sobie tej obecności dwóch prawd, z których każda kieruje nasz umysł, naszą wrażliwość w inną stronę, to tylko zbliżenie się do sedna sprawy. To jeszcze nie samo sedno.

ILE JESZCZE PARADOKSÓW?

Sedno widzimy w tym, że nasza cywilizacja osiągnęła taki poziom złożoności i niestabilności, że coraz trudniej jest nam opierać się na prostych, klarownych prawdach oraz jednoznacznych interpretacjach nowych zjawisk i problemów. Musimy ćwiczyć myślenie wielopoziomowe, dające sobie radę z paradoksami współczesności. Ale nie możemy uciekać od pytania: jak długo utrzyma się demokracja w cywilizacji, w której paradoksy mnożą się jak grzyby po deszczu?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl d64a508a41

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

eprasa.pl d64a598a41

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	339	121
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	dekoder Mediabox	dekodery KAON i Horizon
					PLAY dawniej UPC	

eprasa.pl d64a508a41